

Liliana Fabisińska

Z jednej gliny

Cześć, jestem Lena. Chciałam po prostu spróbować. Na razie popatrzę, dobrze? Mogę? Nie jestem pewna, czy to dla mnie właściwe miejsce... Zwyczajnie popatrzę. Mogę?

Jestem Gośka. Nie żadna tam Małgorzata. Czy ja wyglądam na Małgorzatę? Małgorzata to może być królowa albo jakaś aktorka. A ja jestem Gośka. Zobaczyłam plakat, no i przyszłam. Normalnie we czwartki mam próby chóru. Śpiewam gospel. No, to tak naprawdę nie gospel. Gospel jest religijny, a ja akurat nie jestem specjalnie religijna. Nasz zespół śpiewa... no, taki świecki gospel. We czwartki o tej porze zwykle śpiewam. Ale przez najbliższe pół roku nie mogę, ze względów zdrowotnych. Głupia sprawa, opowiem przy okazji. Najważniejsze, że jak zobaczyłam ten plakat, to od razu pomyślałam, że mogę spróbować. Czemu nie, skoro akurat mam wolne czwartki od osiemnastej do dwudziestej. Nie wierzę w przeznaczenie, lecz to było prawie jak przeznaczenie. Przecież normalnie nie przechodzę tą ulicą. Znalazłam się tu pierwszy raz w życiu, przypadkiem, u dziewczyny, która kupiła moje kimono. Chodziłam na samoobronę, no ale już nie mogę... Pierwszy taki przypadek w historii. Długo by opowiadać. No tak, ja zawsze za dużo gadam. Już kończę. Zobaczyłam plakat, przyszłam, i już. Koniec, kropka. Nie wiem, co prawda, czy powinnam zaczynać coś nowego. Prawdopodobnie za cztery miesiące wyjadę z Polski na stałe. Z drugiej strony miski i kubki mogę robić wszędzie, prawda? Ta wiedza może się przydać. Mogłabym nawet robić butle na wino, dla specjalnych klientów... Dobra, już, przerwijcie mi! Jak zacznę opowiadać o winnicy, to nigdy nie skończę! No bo ta winnica...

Przerwać? Proszę bardzo. Przerrywam. Mam na imię Marta. I nie rozumiem za bardzo, dlaczego mamy mówić coś o sobie. I dlaczego koniecznie musimy być na ty. Jak ktoś zechce, to przejdzie na ty, a jak nie, to nie, tak? Ale chyba

zostałam przegłosowana, więc zgoda, nazywajcie mnie po prostu Marta. Chociaż wciąż nie rozumiem, po co to całe przedstawianie się na dzień dobry. To przecież nie randka w ciemno ani grupa wsparcia, tak? Nie musimy chyba nic o sobie wiedzieć, żeby działać efektywnie i razem. Wolałabym, żeby ktoś powiedział coś więcej o tym, co będziemy robić, w jakim tempie, co jest wliczone w cenę, a co nie. Czy jest wydrukowany program na cały rok? Chciałabym się z nim zapoznać, jeśli można. Jak to: nie ma? Więc jak organizator wyobraża sobie zajęcia, skoro nie przygotował programu? To jakieś żarty, tak? Wątpię, czy ten kurs w ogóle jest zarejestrowany. Czy można zobaczyć licencję na prowadzenie zajęć i kopię dyplomu instruktora? Jeżeli ta pracownia działa na dziko, to chyba należałoby to gdzieś zgłosić. Nie powinniśmy tolerować takich rzeczy, prawda? Mamy prawo wiedzieć, za co płacimy! Tyle się mówi o konkurencyjności, o wysokiej jakości usług, a tu ktoś otwarcie reklamuje swoją nielegalną działalność na słupach! Gdzie, do cholery, jest organizator?!

Mam na imię Nora. Organizator to właściwie jestem ja... Więc... No tak. Witam was serdecznie, bardzo się cieszę, że przyszłyście. Mam nadzieję, że będziecie zadowolone z tego, co mam do zaproponowania. Oczywiście, możemy wspólnie modyfikować plan, zająć się tym, co najbardziej wam odpowiada. Przecież jestem tu dla was...

Może chcecie na początek obejrzyć pracownię? Przygotowałam album, trochę zdjęć, żebyście zorientowały się, jakie piękne rzeczy możecie zrobić z gliny własnymi rękami. Chciałabym...

Nie, chyba... nie, to bez sensu. Przepraszam. Nie... muszę wam to powiedzieć od razu. Widzicie, ja nie mam żadnej szkoły, kursu, żadnego dyplomu instruktora. Po prostu...

Jestem ja. Nic nigdzie nie zarejestrowałam. I właściwie wcale nie jestem nauczycielką, sama też dopiero się uczę. I...

Przepraszam...

Pójdę, zaparzę herbatę, dobrze?

Przepraszam, jeśli to nie jest to, czego oczekiwaliście.
Chyba się pomyliłam.

Rozdział 1

Trzy to za mało

NORA

Wiem, to nie było profesjonalne. Nie powinnam wybiegać z płaczem w chwili, kiedy należało powiedzieć kilka słów o sobie... i o tym, dlaczego rozwiesiłam te kolorowe plakaty. Miałam opracowaną wspaniałą mowę. Wydawało mi się, że wszystko przewidziałam. A jednak ten tekst o nielegalnej działalności trochę mnie przerósł. Trafił w czuły punkt. Bo przecież tak naprawdę to jest nielegalna działalność. Nie zarejestrowałam mojej szkoły. Nie opracowałam żadnego programu. No i nie mam żadnych uprawnień do prowadzenia zajęć. Po prostu... wydawało mi się, że to może być miłe. Kilka kobiet siedzących razem i lepiących garnki. Chyba byłam naiwna.

Zwłaszcza że tak naprawdę umiem niewiele więcej niż one. To, że byłam żoną jednego z najlepszych ceramików w Polsce, nie znaczy przecież, że sama mam talent. Patrzyłam, co robi. Fakt. Czasami pomagałam mu szkliwić wazoniki czy miski, jeśli miał duże zamówienie i wyjątkowo krótki termin. No ale szkliwienie to żadna filozofia, nawet nasi chłopcy pomagali przed Wielkanocą z tymi śmiesznymi glinianymi pisankami dla agencji reklamowej, która zamówiła tysiąc sztuk. Nawet Jeremi, który skończył wtedy zaledwie trzy latka, trzymał w małej łapce pędzelek i robił nim kolorowe plamki na beżowym jajku, pokwikując z radości. Szkliwienie to przecież nic innego jak malowanie, tyle że szkliwem, a nie farbą. Trzeba uważać, żeby nie pobrudzić ubrania - szkliwo potrafi wyżreć dziury na wylot w najładniejszej bluzce. Ale poza tym to naprawdę żadna filozofia, jeżeli tylko ktoś ci powie, które szkliwo jak zachowuje się w piecu, które cieknie, a które nie, które trzeba nakładać cienko, a które grubo. Za to toczenie na kole, rzeźbienie w glinie twarzy, a nawet łączenie

elementów tak, żeby nie było tego później widać - to wszystko wciąż sprawia mi trudności.

Tak więc spójrzmy prawdzie w oczy, nie miałam prawa rozlepiać tych plakatów i wprowadzać ludzi w błąd. Dziewczyny mają rację. Zwłaszcza ta wysoka czarnula z kręconymi włosami. Wyprowadziła mnie z równowagi, lecz miała rację. Kurs powinien wyglądać zupełnie inaczej niż to, co im zaproponowałam. Fakt. Nie myślałam tylko, że od razu w drzwiach zorientują się, że nic nie potrafię i że to nie jest prawdziwa szkoła ceramiki.

No ale co powinnam na tym plakacie napisać? Ze nie mam za co żyć? Czy może, że dotarło do mnie, że nie mam żadnych przyjaciółek, i wymyśliłam sobie, że zdobędę je w ten sposób? Ze będziemy spędzać razem czas, jak kobiety w moim ukochanym Przemineńo z wiatrem} Mężczyźni byli na wojnie, a one siedziały, wyszywały pościel albo obrusy, robiły patchworki i rozmawiały całymi godzinami. Młode i stare, wesołe i poważne, mężatki, panny i wdowy, matki i bezdzietne. Wszystkie razem. Właściwie to nawet nie wiem, co dokładnie one robiły, nie pamiętam. To chyba nie były patchworki? W tamtych czasach to musiało nazywać się jakoś inaczej. Grunt, że siedziały razem, tak po prostu. Pewnie wymieniały się przepisami kulinarnymi, jadły kruche ciasteczka i piły herbatę z konfiturami. Te starsze radziły tym niedoświadczonym, jak postępować z mężczyznami, te młode pocieszały starsze po śmierci męża. Płakały, śmiały się, dyskutowały. A w dłoniach wciąż przesuwały te swoje kołdry, szaliki, obrusy, z każdą godziną piękniejące pod ich czułym dotykiem.

Nie wiem, dlaczego przez chwilę wydawało mi się, że mój garaż, przerobiony przez Jacka na pracownię, może stać się takim właśnie miejscem. Ze pracownia wcale nie musi zniknąć razem z nim. Zrobiłam tę kolorową tabliczkę, całkiem

nieźle mi wyszła. Julek nawet nie musiał wchodzić na drabinę, aby powiesić ją nad drzwiami. Mój najstarszy syn niedługo będzie się schylał, wchodząc do garażu. 181 centymetrów w wieku trzynastu lat to chyba lekka przesada? „Norka u Nory” - myślałam, że to zabrzmi miło i jakoś tak przytulnie. Nawet całkiem nieźle narysowałam norkę, a przecież nie robiłam tego od lat. Kupiłam trzy gatunki herbaty i konfitury różane. Podkrałam kilka monet ze skarbonki Jeremiego, obiecując sobie, że mu oddam dwa razy tyle, jak tylko te dziewczyny zapłacą za zajęcia.

Tak się cieszyłam, kiedy dzwoniły i pytały, kiedy pierwsze spotkanie. Telefonowało chyba z dziesięć kobiet, przyszły tylko trzy. No i dobrze, więcej i tak by się nie zmieściło, przynajmniej na razie, dopóki nie przesunę pieca i nie kupię jeszcze jednego stołu - myślałam, mówiąc im „dzień dobry”. Teraz to już bez znaczenia. Nie potrzebuję dodatkowego stołu. Sama powinnam zapisać się na kurs ceramiki, zamiast otwierać własny. Tak, kilka miesięcy nauki chyba wystarczyło. Tylko, cholera, jak mam za to zapłacić?! Narzędziami Jacka? Jakiś mężczyzna już tu dzwonił, zapytał, czy sprzedaję koło i piec. Nie sprzedaję. Nie ma mowy. Moglibyśmy przeżyć za to dwa czy trzy miesiące... No, razem z piecem to może i pół roku. Jest prawie nowy i kosztował fortunę. Tak, wystarczyłoby do wiosny. Ale co potem? Przecież ta pracownia to wszystko, co mam, oprócz kupy długów.

„Mamy w piwnicy prawdziwy skarb, będziemy kiedyś bardzo bogaci, zobaczysz” - powtarzał Jacek, patrząc czule na tonę gliny szamotowej, leżącej pod ścianą, i kolekcję szkliv, przywożonych przez znajomych, na zamówienie, z najdziwniejszych zakątków świata.

Skarb, jasne... Szkoda tylko, że nie dał mi klucza do tego naszego rodzinnego skarbcza! A może powinnam po prostu

powiedzieć o północy przy pełni księżyca: „Sezamie, otwórz się!“. Nic z tego. Nie działa. Nie mogę wyjąć ani jednej złotej monety.

Jacek, cholera, Jacek, jak mogłeś mnie tak zostawić? Mnie i swoich synów? Przecież obiecywałeś. Przecież miało być zupełnie inaczej!

MARTA

Wiem, nie powinnam tak na nią naskakiwać. Nie naskoczyłabym, gdybym wiedziała, że to ona zorganizowała ten cały kurs. Ale przecież nie wiedziałam, tak? Skąd miałabym wiedzieć? Myślałam, że przyszła na pierwsze zajęcia tak jak my, że też nic nie wie i że czeka razem z nami na kogoś z organizatorów. Nie miała napisane na czole, że jest właścicielką tego niemalowanego chyba od piętnastu lat domu z krzywą bramą! I naszą pseudoinstruktorką!

To w ogóle był idiotyczny pomysł, ta cała ceramika. Ja przecież nie nadaję się do spokojnego dłubania w glinie. W życiu bym się na to nie zdecydowała, gdyby lekarz nie powiedział, że hobby może mi pomóc. W końcu lepiej lepić garnki przez parę tygodni, niż faszerować się lekami i brać koszarne zastrzyki, tak? Czytałam w sieci, że robi się je w brzuch. To ja bardzo dziękuję, wolę już glinę.

No, ale przecież nie u kobiety, która sama nie ma pojęcia, jak toczy się na kole! To jakaś pomyłka, ten niby - kurs. Chciałam wyjść i jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie.

I wyszłabym, gdyby nie dwie pary wpatrzonych we mnie oskarżycielsko oczu. Ta gadatliwa, tęgawa dziewczyna w dresie, z włosami o dziwnym, lekko truskawkowym odcieniu, związanymi w jakieś śmieszne kitki, westchnęła przeciągle. Zaraz po niej niemal identyczne westchnienie wydała niższa o dwie głowy blondynka w garniturze. (Czy ona zwariowała? W garniturze na takie zajęcia? Przecież ta cała Nora mówiła wyraźnie przez telefon, żeby wziąć coś,

czego nam nie żal, bo może się zniszczyć. Chciała pokazać, że ma eleganckie ciuchy, czy co? Pewnie żona przy mężu, siedzi w domu i nie ma gdzie się fajnie ubrać, więc przyszła tutaj wystrojona jak na jakąś konferencję dyplomatyczną!).

- Przecież nie wiedziałam, że to ona! Głupio wyszło, przyznaję. - Poczulałam się w obowiązku coś powiedzieć, chociaż przyznanie się do błędu wcale nie przyszło mi łatwo. No, ale nie mogłam znieść tych ich oskarżycielskich spojrzeń.

- Pewnie zaraz wróci - westchnęła z nadzieją mała w garniturze.

Nie wróciła.

Czas mijał, a my siedziałyśmy, bez słowa, w tej Norce u Nory. Wiedziałam właściwie tylko tyle, że kobieta, która miała nas uczyć lepienia garnków, ma na imię Nora. I że wcale nie umie tych garnków lepić. I herbaty pewnie też nie umie zaparzyć. Gdyby umiała, chybaby już z nią przyszła z powrotem, tak?

- Powinnam iść, zaraz mam próbę - odezwała się truskawkowa w dresie. - A jeszcze muszę się przebrać. Nie mogę pokazać się zespołowi w takim stroju! Wyobrażacie sobie, wszyscy na czarno, neogotycki kościół, dyrygent we fraku i ja w dresie! - Zaśmiała się głośno, niemal po męsku i tak jakoś zaraźliwie, że ja i ta mała blondynka natychmiast zaczęłyśmy się śmiać razem z nią.

Chwileczkę... Przecież mówiła, że nie może śpiewać ze względów zdrowotnych. I że to świecki gospel. A teraz nagle kościół i dyrygent? Już chciałam o to zapytać, jednak mała blondynka odezwała się pierwsza.

- Mogłabym pożyczyć ci garnitur, ale chyba nogawki i rękawy będą za krótkie. - Po raz pierwszy powiedziała zdanie złożone! - Jestem prosto po pracy, nie miałam czasu się przebrać, wrzuciłam tylko do torby jakiś stary fartuch mojego

byłego narzeczonego. A teraz to już chyba nie mam się po co przebierać, prawda?

Fartuch narzeczonego? Był kucharzem? Rzeźnikiem? Nie zapytałam. W końcu co mnie to obchodzi. I tak się więcej nie zobaczymy.

- Lekarz? - odgadła od razu ta z truskawkowymi włosami.

Gośka, Kaśka czy jakoś tak. A może Aśka? Nie uważałam, jak się przedstawiała. Nie znoszę takich zdrobnień, które brzmią o wiele gorzej niż pełna forma. Gośka, Alka, Ulka, Ewka. Dobrze, że mojego imienia nie da się w żaden sposób zdrobnić ani skrócić. Marta to Marta, i już. Prosto, elegancko, pasuje do każdego wieku. Jeśli za coś jestem wdzięczna moim rodzicom, to właśnie za to, że nie jestem szaloną Ewką ani Zadzieram Nos Marysią, tylko Martą. To imię w sam raz dla mnie.

- Weterynarz. - Zaczerwieniła się, nie wiadomo dlaczego, ta nieduża w garniturze. Przecież weterynarz to nie jest wstydlivy zawód!

- Ja właśnie nie mam w domu żadnej, jak to określiła Nora przez telefon, typowej odzieży ochronnej - tłumaczyła się Aśko - Gośko - Kaśka. - Więc wzięłam stary dres. Nie będzie żal, jak się zachlapie tymi farbami do gliny. A poza tym pomyślałam, że to dobra okazja, żeby przybiec na zajęcia, zamiast jechać samochodem. W końcu to tylko osiem kilometrów ode mnie.

- Przebiegłaś osiem kilometrów? - Tym razem naprawdę mnie zaskoczyła. Wyglądała na taką, która nie jest w stanie wejść na drugie piętro bez zadyszki.

- Codziennie rano biegam przed pracą. Pięć kilometrów. A jak mam czas, to siedem... W weekend więcej, w ostatnią sobotę zrobiłam piętnaście. Moja Cloe ma wtedy kółko teatralne i od razu potem basen. Więc mam trochę czasu dla siebie.

Cloe! Co za imię!

- Przez C czy przez K? - zapytałam, chociaż byłam pewna, że znam odpowiedź.

- Przez C - potwierdziła moje przypuszczenia, jednocześnie zbierając się do wyjścia.

Kobiety z przaśnym imieniem często nazywają dzieci w taki nieznośnie pretensjonalny sposób. To się nazywa mechanizm kompensacji. Uczyłam się o tym na podyplomówce.

- No to chyba wszystkie pójdziemy, tak? - Spojrzałam na nie bezradnie. - Zatrzaśniemy drzwi, i już. W tej pracowni nie ma raczej nic cennego. A ta cała Nora na pewno zaraz wróci. Pewnie po prostu jej wstyd, że przejrzałyśmy jej nieuczciwe zamiary, i czeka, aż wyjdziemy.

Blondynka w garniturze chyba się wahała. W końcu i ona wstała z krzesła i sięgnęła do wieszaka po swój płaszcz. A potem znowu usiadła i zaczęła się bawić guzikiem. Truskawkowa biegaczka też posadziła swoje duże pośladki z powrotem na stołku. Co było robić, poszłam w ich ślady. I znów w milczeniu wodziłyśmy wzrokiem po ścianach.

Nie wiem, jak długo by to trwało, gdyby drzwi, o których istnieniu nie miałyśmy pojęcia, bo wisiały na nich setki haczyków z narzędziami, które całkowicie zakrywały klamkę i zawiasy, nie uchylły się w końcu. W szparze pojawiło się pięć par oczu. Jak w jakimś filmie animowanym, jedno nad drugim. Nie patrzyły oskarżycielsko, lecz z wyraźną ciekawością.

- Są tylko trzy! - pisnął jakiś cienki głosik ze szpary. - Nornica mówiła, że trzy to za mało.

- Pójdziemy z torbami, jak nie będzie ich więcej! - pisnął drugi.

- Ciekawe, czy im się spodobało. - Nie byłam pewna, czy to był ten sam głos co poprzednio, czy może jeszcze inny. - Jakoś tak siedzą, jakby się nudziły.

- Może damy im radio do posłuchania? - zaproponował najmłodszy chyba, sepleniący troszkę dziecięcy głosik. - Jak my się nudzimy, to Nornica włącza radio.

- Włącza - poprawił go chór cienkich głosów z tej samej szpary.

A potem drzwi otworzyły się nieco bardziej i zobaczyłyśmy, kto prowadził tę interesującą rozmowę.

Pięciu rudych chłopców. Chyba chłopców. Najmłodsze dziecko było płci niezidentyfikowanej. Miało co prawda dzinsowe ogrodniczki i krótką czuprynkę, najbardziej ognistą z całej piątki, ale w końcu jak ktoś ma czterech synów, to pewnie córkę czesze i ubiera tak samo, z rozpędu.

Albo z biedy - przemknęło mi przez głowę. Łatwiej dać dziewczynce spodnie po starszych braciach, niż kupić jej sukienkę za sześćdziesiąt złotych. Ubranka dla dzieci są strasznie drogie. Właściwie im mniejsze dziecko, tym droższe ciuszki. Ostatnio stałam się prawdziwą ekspertką od niemowlęcych ubranek najlepszych firm...

Przywołałam się do porządku i obrzuciłam chłopców spojrzeniem. Dwaj z nich byli identyczni. Bliźniaki! Mieli sześć, może siedem lat. Młodsze od nich było tylko dziecko w ogrodniczkach. Chłopiec w koszulce z dziwnym napisem „Dawaj, Julek, dawaj!” wydawał się może o dwa lata starszy od bliźniaków. Nad wszystkimi górował mierzący niemal tyle co drzwi, chudy jak patyk rudzielec w okularach. I to właśnie on odezwał się, popiskując dziwnie:

- Gdzie jest nasza mama?

Nie chciałam się z niego śmiać, ale nie mogłam się powstrzymać. Piszczął dokładnie tak jak stara szafa w domu mojej babci.

- To mutacja, normalna sprawa w moim wieku - wyjaśnił dryblas, niewzruszony. - Za kilka miesięcy powinno być po wszystkim, chociaż czasami mutacja trwa nawet trzy lata. Czytałem o tym w encyklopedii zdrowia.

- Też tak mówiłam przez pierwsze tygodnie po operacji strun głosowych - roześmiała się ta od biegania i Klotyldy, pulchna, z truskawkowymi włosami. Znów tak głośno i zaraźliwie, że po chwili chichotaliśmy wszyscy, nawet rude dzieci. A przecież w operacji gardła nie ma nic śmiesznego!

- Gdzie jest nasza mama? - Chłopak w okularach opanował się pierwszy i wyskrzypiał jeszcze raz to samo pytanie.

- Nie ma jej tutaj... na razie. - Truskawkowa chyba po raz pierwszy nie wiedziała, co powiedzieć.

Bliźniaki wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i rzuciły się na nią z pięściami.

- Porwałyście Nornicę, tak? To twoja sprawka! Oddawaj! Oddaj naszą mamę, i to już!

Nornica? Te dzieci tak mówią na własną matkę? Aż przeszedł mnie dreszcz, gdy zrozumiałam, że ta kobieta pozwala na takie zachowanie. Kto wie, może pewnego dnia wbiją jej nóż w plecy? Dzieci powinny mieć jasno wytyczone granice! Jak można tego nie wiedzieć?

- Gdzie jest nasza mama? - powtarzał okularnik jak mantrę, raz za razem.

Po chwili dołączył do niego młodszy brat, ten w koszulce „Dawaj, Julek, dawaj!”, najmniej rudy i najbardziej piegowaty z całej piątki. Bliźniaki natychmiast podjęły wyzwanie i skandowały razem ze starszymi. Oczywiście najmłodsze coś błyskawicznie uznało, że musi robić to, co wszyscy. I oto na środku garażu, zastawionego stołami i krzywymi krzesłami, piątka rudych dzieci tupiała miarowo nogami, krzycząc:

- Gdzie jest mama?! Oddajcie mamę! Gdzie jest mama?!
Oddajcie mamę!

Chciałam zatkać sobie uszy i wyjść, byle tego nie słyszeć. Na moment nawet je zatkałam, niestety, to niewiele pomogło. Krzesło, na którym siedziałam, trzęsło się od ich tupania.

- Wystarczy! No już, cisza! - Truskawkowa wstała i klasnęła w dłonie. - Najstarsza dwójka, idźcie zrobić braciom kanapki i dajcie im pić. Macie w lodówce coś do jedzenia? No to świetnie. Zajmijcie się kolacją. Bliźniaki w tym czasie pościelą łóżka, rozumiano?

Dzieci kiwały głowami zupełnie tak, jak tupaly, w tym samym rytmie. Jakby robiły to codziennie. Identycznie, równiutko. Powoli głowa w dół i szybko w górę. Sekunda przerwy i znów powoli w dół... Niesamowite!

- A ja? - zapytało dziecko płci nieznanej.

Ciekawe, co truskawkowa wymyśli dla takiego brzdąca?

- A ty narysujesz dla mamy laurkę, zgoda? Mamie jest dziś trochę smutno. Bardzo jej się przyda laurka z kwiatkami.

- A mogę zrobić kwiatki z gliny? - zapytało dziecko.

- Możesz - zgodziła się truskawkowa. - Tylko nie tutaj. Weź glinę ze sobą, do kuchni. Twoi bracia mogą potrzebować pomocy przy robieniu kanapek. A więc lepiej, żebyś tam był. Dobrze? Wszyscy wiedzą, co mają robić?

Dzieci znów pokiwały głowami i odeszły, gęsiego, w równych odstępach, za zamaskowane drzwi.

- Nie mamy wyjścia, musimy znaleźć ich matkę - powiedziała szeptem truskawkowa. - Najwyraźniej nie parzy nam herbaty, chłopcy coś by o tym wiedzieli. Od początku to podejrzewałam. Skręciła przy piecu w lewo, do drzwi na dwór. I nie wzięła kurtki! Zadzwońię do dyrygenta, że mnie nie będzie na próbie. Wy też szybko zadzwońcie tam, gdzie się wybieracie po zajęciach. Powiedzcie, że się spóźnicie. A potem zrobimy burzę mózgów. Jak się trochę skupimy, na

pewno zgadniemy, jak znaleźć Norę. Oglądałam taki program w BBC. Badali w nim, ile potrzeba czasu, żeby znaleźć dowolną osobę w dowolnym miejscu. To bardzo proste i wcale nie trwa tak długo, jak się zdaje. A dzieci nie mogą przecież zostać same na noc.

Rozdział 2

Norka nr 7/9

LENA

Siedziałyśmy w milczeniu, chyba z dziesięć minut. Mogłybyśmy dłużej, nawet z dziesięć lat, ale wtedy wróciła Gośka, która za drzwiami rozmawiała przez komórkę z dyrygentem.

- No, to do dzieła. Pomyślmy, gdzie może być Nora. - Klasnęła w dłonie. Odpowiedziała jej, oczywiście, głucha cisza. A ona, oczywiście, nie rezygnowała. - No, dziewczyny, skupcie się. Co o niej wiemy?

- Nic - mruknęłam. - Nawet jak ma na nazwisko. Na szczęście tego łatwo możemy się dowiedzieć.

- Brawo! - Gośka była chyba nieco zdziwiona, że coś powiedziałam, i to w dodatku z sensem. Czyżby zaklasyfikowała mnie jako bezbarwną i mało inteligentną cichą myszkę? - Dzieci podadzą nam swoje nazwisko. A także numer telefonu do dziadków albo do jakiejś ciotki. Znajdziemy krewnych, którzy się nimi zajmą, nawet jeśli matka nie wróci. Idziemy!

Zapukała do drzwi zamaskowanych dziwnymi narzędziami. Najpierw cicho, potem głośniej. A potem walnęła pięścią. Bez skutku.

Nie zastanawiając się ani chwili, weszła do środka. Faktycznie, nie było na co czekać. Chłopcy mogli gdzieś pójść, mogli próbować szukać matki na własną rękę. Jeszcze tego by brakowało!

Na szczęście nic takiego się nie stało. Spali jak zabici. Dryblas - z głową na stole, mały w ogrodniczkach - w koszyku dla psa pod stołem, bliźniaki - na długiej ławie przy oknie, a chłopiec w koszulce wspierającej Julka - po prostu na podłodze.

- Biedactwa, musieli być wykończeni - powiedziała ta wściekła na cały świat czarnula Marta, jakimś zupełnie innym tonem niż kilka chwil wcześniej, gdy doprowadziła matkę tych biedactw do łez. - Trzeba ich przenieść na łóżka, przykryć. Pomóżcie mi!

Wczołgała się pod stół i wyciągnęła stamtąd chłopczyka w ogrodniczkach. Szepnęła mu coś czule do ucha, odgarnęła włosy wchodzące do oczu.

- Nolnica? Mama? - zapytał mały przez sen, zarzucając jej rączki na szyję i wystawiając okrągłe usteczka do pocałunku.

- Nie jestem twoją... - zaczęła Marta, lecz nagle zmieniła zdanie, przytuliła chłopca do siebie i nadstawiła policzek tak, żeby mógł ją ucałować.

Zrobił to natychmiast, wtulił się w jej sterczący, jędrny, zupełnie niemaczyny biust i zaczął miarowo pochrapywać, uśmiechając się przez sen.

Po policzku Marty potoczyła się łza. Przez moment miałam wrażenie, że wiem, co czuje.

Rzuciłam okiem na jej prawą dłoń. Nosila obrączkę z białego złota, z pięcioma cyrkoniami. No, chyba że to były diamenty.

- Masz dzieci? - Zaryzykowałam. Właściwie wcale nie ryzykowałam tak wiele. Skoro była mężatką i to nie najmłodszą. ..

- Nie. - Łzy płynęły już z jej obu oczu. - Jeszcze nie...

- Ja też nie. - Uśmiechnęłam się, mając nadzieję, że wygląda to krzepiąco. - Jeszcze nie. Jeszcze nawet kandydata na ojca dla mojego dziecka nie mam. Tak dokładnie, to jeszcze i już nie mam.

Marta otarła łzy, odłożyła malca na kanapę przed telewizorem (chyba ta kanapa nie była jego łóżkiem - mógł się z niej w każdej chwili zsunąć!), wyprostowała plecy i... znów zachowywała się tak jak na początku, w garażu.

- To jakaś wyrodna matka, ta cała Nora - orzekła, rozglądając się dookoła. - Jak mogła zostawić dzieci same w domu?

- Najstarszy jest już prawie dorosły. Ja w tym wieku całymi dniami zajmowałam się rodzeństwem i małą kuzynką. - Gośka nie oceniała jej aż tak surowo. - On dałby sobie radę. No, gdyby nie zasnął.

Znów ten śmiech! Nigdy nie spotkałam kogoś, kto śmiałby się aż tak zaraźliwie. Żadna z nas nie umiała się oprzeć, po chwili wszystkie chichotałyśmy, jak najciszej, żeby nie obudzić chłopców.

Gośka zdjęła buty bliźniakom, a potem zarzuciła sobie jednego na lewe ramię, drugiego na prawe i zniknęła z nimi za zakrętem korytarza. Była naprawdę silna, chociaż wałeczki tłuszczu na jej biodrach i okrągłe ramiona wcale na to nie wskazywały.

- Pójdę zobaczyć, czy samochód Nory stoi przed domem - zaproponowałam, nie chcąc zostać sam na sam z Martą.

Znów miała zgarbione plecy i szkliste oczy. I wciąż trząsał się jej leciutko podbródek, jakby z trudem panowała nad sobą. Siedziała przy najmniejszym z rudzielców, który z całej siły trzymał jej palec swoją drobniutką rączką.

- Jak wrócisz, to zastosujemy tę metodę, którą widziałam w BBC. - Różowa fryzura Gośki, a potem ona cała, wyłoniła się zza zakrętu korytarza, już bez bliźniąt zwisających z ramion. - Na pewno szybko ją znajdziemy. Muszę tylko sobie przypomnieć, jak wyglądał pierwszy krok. No, tam w BBC. Robili burzę mózgów, na pewno. Ale co z niej wynikało? Chodziło chyba o miejsce, gdzie ta osoba była najszczęśliwsza. Próbowano je ustalić i od niego zacząć. Możemy zrobić to samo.

- Ciekawe, skąd niby będziemy wiedzieć, gdzie ta Nora jest szczęśliwa, a gdzie nie? - mruknęła Marta za moimi

plecami. - Przecież nic o niej nie wiemy. Wymyśl coś odpowiedniejszego w naszej sytuacji.

- Jest koszyk, a nie ma psa. - Wychodząc, usłyszałam głos Gośki. - Widać, że głodują, ale chyba go nie zjedli?! Musimy go poszukać!

Brr, aż przeszedł mnie dreszcz. Szybko wybiegłam przez garaż, zamieniony na pracownię, przed dom Nory. Było niemal całkiem ciemno. Na niebie kłębiły się chmury. Żadnego księżycy, żadnych gwiazd. Tylko mała lampka oświetlała wiszącą nad drzwiami tabliczkę. Spojrzałam na nią i po prostu musiałam się uśmiechnąć. Wyglądało na to, że napis pierwotnie głosił: „Norka u Nory”. Teraz jednak „u Nory” było przekreślone, a nad nim niewprawną - niemal na pewno dziecięcą - ręką dopisano „nr 7/9”. Norka nr 7/9. Dzieci Nory najwyraźniej mają poczucie humoru. To dobrze, może im się przydać. Bo ich matka bez wątpienia przeżywa ciężkie chwile.

Przez tę tabliczkę niemal zapomniałam zajrzeć za dom, gdzie stał samochód, kiedy przyszłam na zajęcia. Nie pamiętałam, jakiej był marki - zauważyłam tylko, że jest bardzo duży, wściekle pomarańczowy, z namalowanym na masce kwiatkiem. Dziwny jakiś taki. Teraz nie było go na podjeździe. Mogłam wracać do Marty, Gośki i rudych śpiących rycerzy, aby oświadczyć im, że właścicielka norki nr 7/9 może być już na drugim końcu miasta.

Zanim jednak nacisnęłam kłamkę, usłyszałam za plecami kroki, a potem cichy szept:

- Ta czarna dziewczyna... Ona jeszcze nie poszła?

To była Nora. Miałam ochotę uściskać ją z radości, że się znalazła. Uznałam jednak, że nie wypada, i powiedziałam tylko:

- Dobrze, że już jesteś. Martwiłyśmy się. Marta i Gośka kładą twoich chłopców spać.

Widziałam, że się waha. Wejść czy nie wejść. Nie wytrzymałam:

- To przecież twój dom, nie możesz go porzucić tylko dlatego, że w środku jest ktoś, kto cię zdenerwował.

Nora stała przede mną w świetle tej lampki nad drzwiami do garażu i nerwowo wykręcała sobie palce. Wokół jej nóg biegał pies. „A więc jednak go nie zjedli” - uśmiechnęłam się do siebie, wspominając słowa Goški. Zresztą, nie byłoby z niego za wiele mięsa. Mały, chudy, kudłaty i brzydki jak noc kundel. Trudno było tego nie zauważyć nawet przy słabej żarówce znad drzwi.

- Nie mogę porzucić domu... i dzieci. Fakt. - Nora kiwała głową. - I nie zamierzam tego zrobić. Ale mogę trochę opóźnić powrót. Skoro chłopcy i tak już śpią... Zdrzemnę się w samochodzie.

- Przecież go tu nie ma - zdziwiłam się.

I w tej samej chwili zobaczyłam, że pomarańczowe dziwadło stoi zaparkowane po drugiej stronie bramy. Najwyraźniej Nora gdzieś nim jeździła i właśnie wróciła.

- Musiałam trochę się uspokoić - wyjaśniła. - Nic mnie tak nie relaksuje jak jazda samochodem, z Pysią na siedzeniu obok. Nie mogę jechać za daleko, benzyna tyle kosztuje. .. Ale choćby kawałeczek, kilka chwil za kierownicą.

- Raczej nietypowy ten twój samochód - odważyłam się powiedzieć. - Taki... wesoły. I duży.

- To dostawczak - oświadczyła, jakbym mogła tego jeszcze nie zauważyć. - Mój mąż woził nim glinę i koło garncarskie, gdy prowadził zajęcia poza domem. Dostarczał też swoje prace do klientów. A kiedyś nawet zabrał piec na wakacje, do mojej ciotki na wieś. Właśnie wtedy chłopcy namalowali kwiatki i pluszowe misie w miejscach, w których samochód rdzewiał. To bardzo praktyczne auto, kiedy się ma pracownię. Ja woziłam dzieci fiatem, na raty, bo wszyscy się

nie mieściliśmy. Jak jechaliśmy gdzieś całą rodziną, to mąż jechał z Julkiem dostawczakiem, a ja z pozostałą czwórką fiatem. No ale teraz fiata musiałam sprzedać, żeby było za co kupić chleb... Szkoda, był taki śliczny. Jacek kupił mi go dopiero pół roku temu. Nie miałam wyjścia. Zresztą był za mały. Chciałam zamienić to pomarańczowe straszycło na jakąś osobówkę z sześcioma miejscami, po co mi dostawczak? Gliny nie wożę, prac też nie. Nie mam w ogóle nic do wożenia poza piątką dzieci. Sadzenie ich z tyłu, bez fotelików, bez pasów, na podłodze, jest nielegalne i niebezpieczne. Okazało się jednak, że na zamianę nie mam szans, musiałabym sporo dopłacić, a na to mnie nie stać. Nie wiem, co z tym zrobić. Codziennie mówię sobie, że pomyślę o tym jutro. Jak...

- Jak Scarlett. - Uśmiechnęłam się. A potem dodałam: - Jesteś bardzo dzielna.

Naprawdę tak myślałam. Ciekawe, co ja bym zrobiła, gdyby mąż zostawił mnie z piątką dzieci, bez grosza przy duszy? Gdyby całym moim kapitałem był pomarańczowy dostawczak i zapas gliny, który pewnie wystarczy na dwa lata?

Chyba strzeliłabym sobie w głowę.

Mama nauczyła mnie, że nie mogę być zależna od mężczyzny. I to jedno faktycznie mi się w życiu udaje. Poza tym jednym koszmarnym momentem, kiedy mogłam stracić wszystko przez Pawełka, jestem panią swego losu. Zarabiam na siebie. Mogę przyjąć od mężczyzny perfumy albo kwiaty, ale i sama, jeśli najdzie mnie kaprys, mogę kupić facetowi laptop albo wycieczkę do Egiptu. Nigdy nie miałam takiego kaprysu, lecz gdybym miała, to mogę, stać mnie. I za to jestem naprawdę wdzięczna mamie.

Brr, aż dreszcz mnie przechodzi, gdy pomyślę, że mogłabym się znaleźć w takiej sytuacji jak Nora. On zniknął,

ona została bez pracy, bez dyplomu dobrej uczelni - i bez grosza.

Przez chwilę chciałam zaproponować jej pożyczkę, ale to zabrzmiałoby idiotycznie. Dopiero się poznałyśmy, oficjalnie niemal nic o niej nie wiem. To, że znam jedną z jej tajemnic (fotel kierowcy w dostawczaku ma dodatkowe mocowanie z gumy do zucia, żeby nie trzeszczał przeraźliwie w czasie jazdy), nie znaczy, że mogę oferować jej jałmużnę.

Chciałam jednak jakoś ją wesprzeć. Czułam, że powinnam. Powiedziałam więc:

- Podoba mi się tutaj. Chciałabym przychodzić co tydzień, jeśli się zgodzisz. Wcale mi nie przeszkadza, że nie ma programu kursu, i że ty... no, że tak właściwie będziesz się uczyć razem z nami.

Nie zdradziłam jej tylko, że tak naprawdę muszę tu przychodzić w każdy czwartek. Zobowiązałam się do tego na piśmie już kilka dni temu. I niewywiązanie się z tego zobowiązania ściągnęłoby na mnie poważne kłopoty. Człowiek, który mnie o to prosił, bardzo źle znosi odmowę.

Numer tego człowieka wyświetlił się właśnie na ekranie komórki, wibrującej w mojej kieszeni.

- Były mąż - mruknęłam lekceważąco, odrzuciłam połączenie i popchnęłam Norę lekko w stronę domu. Najwyższy czas, żeby zajęła się dziećmi.

NORA

To był niesamowity wieczór. Te kobiety, dziewczyny właściwie, chyba tylko ta duża, energiczna Gośka, uczesana w różowe kitki, jest starsza ode mnie. Lenka wygląda prawie jak studentka. Na pewno ma nie więcej niż 29, może 30 lat. Zaskoczyło mnie, kiedy powiedziała, że jest rozwódką. Z kolei Marta to... to kobieta bez wieku. Może mieć 33, może mieć 47. Pewnie już na studiach wyglądała tak jak teraz. Taki typ.

No więc te dziewczyny są niesamowite. Zajęły się moimi chłopcami, położyły ich spać. Nakarmiły rybki. A potem Pysię, która wróciła z przejażdżki ze mną mokra i głodna. Pozmywały naczynia. I powiedziały, że będą przychodzić do mnie w każdy czwartek. Bo chcą, i już.

- Wiesz, dzięki temu, że będziesz się uczyć razem z nami, może być jeszcze fajniej. - Gośka klasnęła w dłonie tak głośno, że aż Pysia podskoczyła nerwowo przez sen. - Kurs bez nauczyciela, to jest coś. Razem będziemy kombinować. Na pewno mam w domu jakiś poradnik dla początkujących ceramików po francusku albo hiszpańsku. Przyniosę, będziemy miały od czego zacząć.

- Ja trochę potrafię. - Poczulałam się w obowiązku je uspokoić. - No, z kotem nie radzę sobie jeszcze najlepiej, ale parę rzeczy z dziećmi ulepiłam. A jakby co, to mam mnóstwo książek. No i mój najstarszy syn, Julian, na pewno chętnie pomoże. Nieraz pomagał ojcu w pracowni, chce iść do liceum plastycznego. No, chyba że zdecyduje się na twórczą klasę humanistyczną, ciągle się waha...

- Spoko, poradzimy sobie same. On niech lepiej odrabia lekcje z braćmi. - Gośka nie robiła nic innego, tylko się śmiała. Cały czas!

Śmiała się nawet wtedy, gdy parzyła herbatę. Po raz pierwszy w życiu siedziałam w swojej kuchni, przy swoim stole, obsługiwana przez inną kobietę. Ona zaparzyła cały dzbanek, dosypała do niego czubatą łyżkę cukru i jakieś przyprawy z mojej półki. Nie wiem, co to było, smakowało dziwnie, po turecku albo egipsku, słodko, intensywnie i przepysznie. Na pewno nie miałam nic arabskiego na półce z przyprawami! Gośka zrobiła też sałatkę. Nie przypuszczałam, że z resztek, które dzieci zostawiły w lodówce, da się zrobić coś jadalnego. A to było nie tylko jadalne, ale i wspaniałe. Najlepsza sałatka, jaką jadłam w życiu!

Dziwnie się czułam. Od wieków już nikt się o mnie nie troszczył. Zapomniałam, jak to jest. Przecież to ja jestem od karmienia, zmywania, martwienia się o psa, rybki i benzynę w baku...

Potem, kiedy już wyszły, rozkleiłam się na dobre. Siedziałam w kuchni i płakałam. Po raz pierwszy od odejścia Jacka po prostu ryczałam jak bóbr. Pysia przyszła i wskoczyła mi na kolana. A później lizała mnie po dłoni, zupełnie jakby rozumiała, co się dzieje.

- Twój pan zostawił nas bez grosza przy duszy - mówiłam jej to, co już i tak wiedziała. - Jeśli szybko nie znajdę jakiegoś sposobu, żeby zdobyć pieniądze, będę musiała zabrać Jędrzeja z prywatnej szkoły.

Właśnie jego szkoła martwi mnie teraz najbardziej. Julek poradzi sobie, bez względu na wszystko. Nawet gdyby w ogóle nie chodził do szkoły, gdybym nie mogła już płacić za jego angielski, gdyby przestał należeć do kółka młodych literatów, do klubu wynalazców i do grupy teatralnej, gdyby nie miał farb i płótna. On po prostu jest piekielnie zdolny i ma swoją wielką pasję. A nawet trzy pasje. Za to Jędrzej... on nie przetrwa w klasie z dwudziestoma pięcioma innymi osobami. Odchorowuje każdą zmianę. Po zniknięciu Jacka przez trzy tygodnie nie wychodził z pokoju. Do tej pory nie jada sernika ani wątróbki, ulubionych dań swojego ojca. Na znak protestu. Psycholożka wyjaśniła mi, że to całkiem normalne. I że mogą się pojawić inne oznaki, znacznie bardziej dla niego niebezpieczne. W jego obecnej szkole wszystko to rozumieją. Nie chcę myśleć, jak byłoby w naszym rejonowym państwowym molochu z sześcioma trzecimi klasami i nauczycielami, dla których dzieci są tylko numerami w dzienniku. W budynku z odrapanymi ścianami i wiecznie zatkanymi toaletami, od dwudziestu lat czekającymi na remont. W labiryncie korytarzy, z których jeden prowadzi do

skrzydła północnego, pełnego gimnazjalistów, regularnie odwiedzanych przez policję z powodu bójek i narkotyków. A jeśli nie wymyślę jakiegoś sposobu, żeby zarabiać pieniądze, regularnie, co miesiąc, pieniądze, które wystarczą na utrzymanie piątki dzieci, psa, rybek i samochodu... jeśli szybko czegoś nie wykombinuję, szkoła Jędrzeja pójdzie do odstrzału jako pierwsza.

Nie, nie chcę o tym myśleć. Będę jak Scarlett, pomyślę o tym jutro. I na pewno przyjdzie mi do głowy jakieś genialne rozwiązanie. I, tak jak Scarlett, nigdy już nie będę głodna. I moi chłopcy też nie. Ach, jak ja lubię tę scenę w książce.

I w filmie, gdzie ona klęczy pod drzewem, na tle czerwonego nieba, z garścią ziemi w dłoni. Ona przynajmniej miała ziemię.

No jasne, ja mam glinę. Wygląda prawie tak samo. Gdybym tylko umiała zrobić z niej coś, za co zapłacą inni ludzie.

Rozdział 3

Grunt to nie kisić

MARTA

Doktor Jędras nie rozumie, dlaczego wciąż się nie udaje. Hormony mam w normie. Jajeczka pękają pięknie, sama widziałam na USG dwa tygodnie temu. Dwa tygodnie temu. Czyli dziś powinnam zrobić test ciążowy, tak? Jasne, że tak. Ale zrobiłam go już trzy dni temu. I dwa dni temu. Tak naprawdę dwa dni temu zrobiłam dwa testy. No, trzy. W końcu przed zrobieniem pierwszego wypięłam trochę za dużo herbaty i mocz był rozcieńczony. Drugi test z kolei dziwnie się rozmazał. Przed zrobieniem trzeciego nie piłam nic przez sześć godzin. Myślałam, że padnę z pragnienia, lecz chciałam wreszcie mieć pewność. No i dostałam, co chciałam. Wyraźny, jednoznaczny wynik: jedna kreska. Tylko jedna. Znowu nic z tego.

Wczoraj powtórzyłam test, na wszelki wypadek. Jedna kreska.

Dziś też miałam go powtórzyć. Kupiłam nowy zapas testów. Specjalnie po pracy pojechałam do apteki na Żelazną. Tam mnie jeszcze nie znają. Dość już mam uśmiezków tej kobiety w aptece w Galerii Mokotów. Wydawałoby się, że mają tłumy klientów, w końcu to wielkie centrum handlowe. Guzik. Zapamiętała mnie. I ostatnio wyszeptała: „Mam nadzieję, że tym razem będą dwie kreski”. Kurde, jakbym szukała wsparcia, tobym poszła do psychoterapeuty, tak? Albo porozmawiała z przyjaciółką. No dobrze, może nie z przyjaciółką. Anka, której jeszcze rok temu mogłam się zwierzyć właściwie ze wszystkiego, ma już chyba serdecznie dość mojej wałki o dziecko. Zawsze próbuje zmienić temat. Nie mogłabym jej powiedzieć, że wydaję miesięcznie stówę albo i więcej na testy ciążowe. Nie powiedziałam.

Ale gdybym miała z kimś o tym porozmawiać, zdecydowanie wolałabym z Anką niż z jakąś farbowaną na rudo stuletnią aptekarką!

Więc do GalMoka już więcej nie pójde. Aptekę koło domu też mam spaloną. Trzy apteki koło domu, dokładnie licząc. Nie, cztery. Koło pracy jest jeszcze gorzej. Tym razem pojechałam więc tam, gdzie nikt mnie nie zna. I spokojnym głosem powiedziałam:

- Poproszę dziesięć płytkowych testów ciążowych. Najlepiej różnych firm. I koniecznie paragon. Muszę je wysłać przyjaciółce do Anglii, tam są znacznie droższe.

Byłam bardzo dumna ze swojego pomysłu. Stałam sobie taka spokojna i uśmiechnięta, czekając, aż farmaceutka zeskanuje ceny wszystkich testów. Mnie to nie dotyczyło. To nie moje starania o dziecko, tylko jakiejś przyjaciółki bezimiennej. No i w tym właśnie momencie, gdy niemal osiągnęłam stan relaksacji o częstotliwości alfa na środku apteki, szlag by jasny to trafił, wtrąciła się jakaś baba. Ze pracuje w Anglii i może je zabrać i stamtąd wysłać, to przyjaciółka zaoszczędzi na przesyłce, bo z Polski to jednak drożej i dłużej. A widać, że przyjaciółka się z każdym groszem liczy.

- Chociaż ja osobiście nie rozumiem, dlaczego nie kupuje testów w Anglii - szczebiotała na całą aptekę. - Może jej pani podpowie, że tam lepiej kupować takie rzeczy w supermarkecie niż w aptece? A jeśli już w aptece, to w samoobsługowej, koniecznie jakiejś dużej sieci. Jeśli zapisze mi pani jej numer telefonu, zadzwonię i jej podpowiem, gdzie iść, żeby było taniej.

Numer telefonu, jasne! I co jeszcze? Może odciski palców Marii Kowalskiej - Nieistniejącej?

- Dziękuję bardzo, strasznie dziś zimno - odparłam trochę nie na temat i uciekłam z apteki.

Uczynna na szczęście stała w kolejce za mną, więc nie mogła wybiec i kontynuować rozmowy, chociaż najwyraźniej bardzo chciała.

- Oczywiście, zawsze musi mnie spotkać najbardziej idiotyczna rzecz na świecie - mruknęłam do siebie.

I w tej samej chwili okazało się, że najbardziej idiotyczną mam dopiero przed sobą. Z kolejki wysunęła się dziewczyna w błękitnej kurtce i wypadła za mną na ulicę, o mało nie przytrzasnęły jej zamykające się drzwi.

- Nic nie wiedziałam, że Anka wyjechała do roboty do Anglii! - krzyknęła, łapiąc mnie za rękaw. - I że stara się o dziecko. Ale numer, ona przecież nie znosiła dzieci! No, Marta, nie mów tylko, że nie masz czasu na małą kawę. Chodźmy do jakiejś knajpki, musisz mi wszystko opowiedzieć. Kim jest jej szczęśliwy wybranek, przyszły tatuś? Poznała kogoś w tym Londynie?

- To nie Londyn, tylko Manchester - sprostowałam tak spokojnie i tak lodowato, jak tylko umiałam. - I nie chodzi o Ankę, ale o moją przyjaciółkę z... no, z kursu lepienia misek. Nie znasz jej. Ma na imię... yyy... Maria.

„Maria Kowalska - Nieistniejąca” - przypomniałam sobie w ostatniej chwili. I w jeszcze bardziej ostatniej wskoczyłam do autobusu, który akurat zatrzymał się na przystanku.

- Cześć, Ewelina! Trzymaj się! - zawołałam z bezpiecznego wnętrza. Z ulgą opadłam na siedzenie.

Autobus był pośpieszny. Wywiózł mnie osiemnaście przecznic dalej. Wracałam do samochodu w ulewnym deszczu, pieszo, a po policzkach ciekły mi łzy. To miały być zwykłe, małe zakupy w aptece, tak? Tysiące ludzi robią je codziennie. Lecz ja musiałam się wpakować na uczynną mieszkankę Wielkiej Brytanii, a potem na Ewelinę, największą plotkarę z naszej grupy ze studiów. Nie miałam

cienia wątpliwości, że zaraz zadzwoni do Anki. A Anka do mnie.

Kompletnie nie miałam na to wszystko ochoty.

Chciałam po prostu wrócić do domu, iść do łazienki i zrobić test. Jeden z dziesięciu.

Nie zrobiłam. Bo okazało się, że nie mam po co. Znow mam okres. Regularnie jak w zegarku.

Przeryczałam cały wieczór, a potem postanowiłam dwie rzeczy. Po pierwsze następnym razem pójdę do apteki w ciemnych okularach i kapturze. I opowiem tę samą historię, choć tym razem wyślę Marię dwojga nazwisk do Kazachstanu. Albo na Fidżi. Z Anglią faktycznie nie wyszło mi najlepiej, tam teraz pracuje co drugi Polak. Za to żeby spotkać kogoś, kto zna ceny z aptek na Fidżi, musiałabym mieć gigantycznego pecha. Albo powiem, że Maria jest w Jemenie? Tam w ogóle może nie być testów ciążowych. Kto wie, a jeśli odkryję jakąś lukę na rynku i wielkie możliwości eksportowe dla polskiego przemysłu farmaceutycznego?

Drugie postanowienie będzie wymagać czegoś więcej niż charakteryzacji i zmiany głosu. Wreszcie powiem Piotrowi, że badanie nasienia jest jednak niezbędne. Nie ma wyjścia: musi wrócić do kliniki i postarać się wydalić kilka plemników. To, że nie udało się już trzy razy, z moją pomocą i bez niej, nie oznacza, że nie może spróbować jeszcze raz, tak? Oczywiście, że tak. Ze mną - przynajmniej na pierwszy rzut oka - wszystko jest w porządku. Jajowody są drożne, jajeczka pękają jak w zegarku, w trzynastym albo czternastym dniu cyklu. Poziom hormonów mam książkowy. W takim razie coś może być nie tak z plemnikami. Musimy nareszcie to sprawdzić. Jeśli się potwierdzi, trzeba po prostu zająć się leczeniem Piotra. A ja nie będę musiała brać serii bolesnych zastrzyków w brzuch i poddawać się laparoskopii, żeby się przekonać po raz kolejny, że wszystko jest okej, ani nawet chodzić we czwartki do Norki

u Nory. Bo zalecenia doktora Jędrasa odnośnie relaksacji („Im bardziej się pani spina, tym trudniej zajść w ciążę.”) nie będą już miały żadnego zastosowania do mojej osoby. Nie będę musiała lepić garnków, żeby się oderwać od myśli o dziecku, którego nie udaje mi się począć. Zresztą, to odrywanie się jest dość trudne w towarzystwie małego chłopca, wtulającego się w mój biust. Boże, jaka ja się czułam beznadziejnie pusta, trzymając go na rękach. Jaki sens mają piersi, jeśli nie można nikogo nimi wykarmić? Najchętniej nigdy już nie szłabym do tej pracowni w zapyziałym garażu. Towarzystwo tej nieudacznicy, jej znerwicowanego psa i bandy rudych dzieci wcale nie jest relaksującym doświadczeniem!

LENA

Najchętniej nigdy więcej nie szłabym już do tej pracowni. Polubiłam Norę od pierwszego wejrzenia, z każdym tygodniem lubię ją coraz bardziej. A to niedopuszczalne w tej sytuacji...

Właściwie mogłabym iść do szefa i powiedzieć, że mam do sprawy osobisty stosunek i proszę o odebranie mi zadania. Wysłałiby kogoś innego, a ja mogłabym o wszystkim zapomnieć. Albo chodzić do Norki nr 7/9 po prostu dla przyjemności, jak Marta i Gośka. Bez żadnego ukrytego planu, bez mamrotania nazwiska pod nosem, żeby nie zapamiętały. To może być całkiem fajne, dwie godziny w tygodniu takiego oderwania od rzeczywistości, dłubania w glinie. Tak, to mogłoby być fajne.

Ale nie będzie. Nie pójdę do szefa i nie oddam tego zadania. Bo wiem, że jeśli zamiast mnie zajmie się tym Mirek albo Beata, Nora może mieć poważne kłopoty. Wolę ją nadal oszukiwać, niż narażać na coś takiego. Naprawdę ją polubiłam. Ją i te jej dzieciaki.

GOŚKA

Byłam u Nory na zajęciach już trzy razy. Świetnie się wszystkie bawimy. Lepienie też wychodzi nam całkiem nieźle, wspólnymi siłami, z pomocą książek. Chociaż wciąż nie mogę zapomnieć o tym, co widziałam za pierwszym razem. Ta pusta lodówka, te dzieci zasypiające na stojąco. No i ich matka na skraju załamania nerwowego, wybiegająca z domu, gdy tylko ktoś podniesie głos. Wczoraj znów zaczęła płakać bez żadnego powodu. Jej najstarszy syn, Julek, od razu przybiegł ją pocieszać. Zupełnie jakby cały czas czaił się pod drzwiami, wyczekując kolejnego ataku hysterii. W dodatku zaraz za nim wpadł do pracowni ten mały, Jeremi, i zapytał, co będzie na kolację. „Oczyścimy organizmy. Dziś nie będzie kolacji” - odpowiedziała Nora, odwracając wzrok. „Wczoraj też nie było” - mruknął żałośnie mały. A potem zniknął za drzwiami obwieszonymi narzędziami.

Nie, nie mogę ich tak zostawić i czekać do następnego czwartku, jakby nic się nie stało! Przecież Nora kompletnie sobie nie radzi! Emocjonalnie i finansowo. Ten jej mąż to jakiś drań. Trzeba mu pokazać, że nie wolno tak bez grosza przy duszy porzucać żony i dzieci, bo się ma nagle inny pomysł na życie. Muszę się tym zająć.

Zadzwoiłam do Baśki, prawniczki, którą wyszukałam rok temu w jakiejś fundacji. Wtedy moja sąsiadka walczyła z kuzynką o spadek. No i po kilkunastu minutach miałam już listę siedemnastu rzeczy, które może zrobić Nora, żeby odnaleźć tego drania, skopać mu tyłek, puścić go z torbami, zapewnić sobie i dzieciom pieniądze oraz święty spokój.

Wzięłam kije, plecak z zakupami i ruszyłam do Nory. Znacznie dłuższą drogą niż zwykle, za to przez park. Pogoda była idealna na nordic walking. Po dwóch godzinach dotarłam na miejsce. Spojrzałam na zegarek. Tętno 126? Bardzo dobrze. Teraz tylko trzy głębokie wdechy i mogę spokojnie zająć się szczuciem Nory na jej byłego męża.

Furtka była otwarta. Dostawczak w kwiatki stał zaparkowany tuż przy wejściu do garażu. Po raz kolejny na widok tabliczki nad drzwiami z napisem „Norka nr 7/9” po prostu musiałam się uśmiechnąć. Wyszła na dwór, najwyraźniej mnie usłyszała.

- Coś się stało? - Była przerażona.

Chyba nawet w pierwszej chwili mnie nie poznała, co wcale mnie nie zdziwiło. Z tymi kijami, w nausznikach kryjących słuchawki i w wielkich okularach przeciwsłonecznych. I z szalikiem zakrywającym pół twarzy, bo przecież po operacji krtani muszę uważać na gardło.

- A co się miało stać? - uspokoiliam ją. - Nie no, nic. Chciałam się trochę przejść z kijami. Skorzystać z jesiennego słońca. I pomyślałam, że zajrzę przy okazji i zapytam, czy ci w czymś nie pomóc. Masz tyle roboty przy dzieciakach. Wiem, jak to jest. Nas było w domu czworo i rodzice czasami nie wyrabiali.

Patrzyła na mnie jak na kosmitkę. Śmieszna jest. Na szczęście przypomniałam sobie, że przecież przyniosłam im jedzenie.

- Mam nadzieję, że nie byłaś przed chwilą na zakupach i nie zapełniłaś szczelnie lodówki? - Puściłam do niej oko. - Bo trufle to jednak trzeba trzymać w chłodnym miejscu, wtedy przetrwają nawet tydzień. A jak położysz na blacie, to wystarczy trochę słońca wpadającego przez okno, żeby się rozpaćkały i skwaśniały. A nadprogramową zupę możesz zamrozić. Odparowałam ją, żeby zajęła mniej miejsca. Potem dodasz wodę i będziesz miała sześć porcji.

- Zupa! - Nagle między nogami Nory pojawiła się ruda główka, szczerząca zęby w szczerbatym uśmiechu.

- Dyniowa. Lubisz dyniową zupę, Jeremi?

- Zupa! Zuuupaaa! - śpiewał z radości, więc chyba lubi dyniową.

Czyżby te biedne dzieci nie jadały na co dzień zupy? Przecież to najtańsze i najprostsze, czym można nakarmić taką gromadkę. Zwłaszcza o tej porze roku.

Oczy Nory wpatrywały się we mnie bez mrugnięcia, wielkie jak spodki. Czy ja mówię po chińsku? Weszłam do środka i postawiłam na stole jedzenie. Trzy słoje kremu dyniowego, dwa do zjedzenia od razu, a trzeci do zamrożenia, pudło z truflami czekoladowymi i drugie, z grzankami do zupy. Na wypadek gdyby nie mieli ich w domu.

Jeremi w tym czasie ułożył się na ławie w kuchni i usnął. Te dzieci były chyba ciągle niewyspane? Zasypiały w okamgnieniu, niemal na stojąco.

- Muszę odebrać Janka i Jonka ze szkoły - powiedziała w końcu Nora, przenosząc spojrzenie ze mnie na tarczę zegarka.

- A Jeremi śpi. Oni tak zawsze! Jak mamy gdzieś wyjść, od razu zasypiają. Cholera, nie zostawię go tu przecież samego.

- Ja mogę z nim posiedzieć. Leć po bliźniaki, załatw sobie po drodze wszystko, co masz do załatwienia. Mam książkę, pouczę się w tym czasie do egzaminu. No, idź już, żeby chłopcy nie czekali. A jak wrócisz, dam ci listę rzeczy, które możesz zrobić. I ludzi, którzy mogą ci pomóc. No, ale to potem. Leć już, leć.

Popatrzyła na mnie, jakby chciała coś powiedzieć, w końcu jednak nie odezwała się ani słowem, rzuciła w moją stronę klucz do drzwi, złapała kluczyki do samochodu (z breloczkiem kwiatkiem wielkości bochenka chleba) i wybiegła.

Drzwi zaskrzypiały potwornie, aż Jeremi drgnął przez sen. Kurczę, czy ona nie może naoliwić zawiasów? To przecież żadna filozofia.

NORA

Miało mi to zająć nie więcej niż pół godziny, a zajęło prawie trzy. Skorzystałam z okazji i poszłam z chłopcami na

pocztę i do biblioteki. Ich wychowawczynie już dwa razy zwracała mi uwagę, że nie bywają regularnie w bibliotece. Nie bywają, fakt. A jako zerówkowicze zdecydowanie powinni tam bywać. Zaczną, przysięgam. Już zaczęli, właśnie dzisiaj. Zapoznali się z katalogiem i doprowadzili do rozpaczyny jakiegoś siwego pana przy księgozbiornie podręcznym. Chyba nie przeczytali wielkiego napisu nad drzwiami: „Cisza! Biblioteka publiczna oazą spokoju i skupienia". Przed następną wizytą muszę im wyjaśnić, że w tej oazie nie wolno wspinać się na regały ani rozpędzać wózka z książkami do odstawienia i jechać na nim przez całe przejście między literaturą germańską a współczesną poezją polską.

Trochę nam zeszło przy układaniu germańskiej z powrotem na półkach. Gdyby zrzucili skandynawską, poszłoby znacznie szybciej...

Okazuje się, że trzy godziny w zupełności wystarczą, by nie poznać własnego domu. Już przy drzwiach zauważyłam wyraźną różnicę. Nie zaskrzypiały! Zaniepokoiło mnie to... Zdążyłam polubić to skrzypienie. Takie jednocześnie metaliczne i drewniane, dźwięczne i głucho. Nic na całym świecie nie skrzypi tak jak moje drzwi. Teraz nawet one już tak nie skrzypią!

Nie zdążyłam się nad tym dobrze zastanowić, nagle bowiem uderzyły mnie bodźce znacznie silniejsze niż cisza. Zapachy. Prawdziwe, domowe zapachy. Nie umiałam ich zidentyfikować. Ciasto drożdżowe? A może placek po zbójnicku? Przecież w moim domu nikt nie robi placeka po zbójnicku, od kiedy nie ma tu Jacka...

Nagle moje serce zatrzepotało jakoś tak, jakby chciało się wyrwać, coś zakłuło mnie w boku, a potem serce całkiem przestało bić. Oddychanie też jakoś mi nie wychodziło.

To niemożliwe. On przecież... przecież od kilku miesięcy przystosowywałam się do tej okrutnej, prostej prawdy: on już nie wróci. Nie zrobi mi placka. I nie naoliwi drzwi...

Ale w takim razie... w takim razie dlaczego drzwi nie skrzypią, a placek pachnie jak szalony?

- O, jesteście! Cześć, chłopaki, myjcie ręce i siadajcie do stołu! - zawołała Gośka do Janka i Jonka. - Wolicie naleśniki z serem czy z dżemem?

Nie miałam w domu sera ani dżemu! Naleśników zresztą też nie...

- Byliśmy z Jeremim w sklepie. Znowu wyszło piękne słońce, pomyślałam, że przyda mu się spacer... Zupę możecie sobie zostawić na jutro albo pojutrze. W słoikach nawet miesiąc przetrwa, jeśli tylko nie doda się śmietany ani mleka kokosowego. Nie wiedziałam, z czym jecie naleśniki. Zrobiłam więc na wszelki wypadek ser na ostro i na słodko. I jeszcze kupiłam dżem wiśniowy. Ja w dzieciństwie zawsze jadłam z dżemem wiśniowym, chociaż teraz wolę wytrawne. No i kupiłam mrożone truskawki, żeby zrobić z nich mus. Naleśniki z serem i musem, to dopiero coś. No, ale to dopiero za siedem minut. Nie mogę tych truskawek rozmrażać we wrzątku, bo sflaczeją. Trzeba z nimi ostrożnie, wiesz, najlepiej, żeby temperatura...

Trajkotała jak szalona! I cały czas się śmiała. Jakby coś śmiesznego było w truskawkach, które nie chcą się rozmrozić bez flaczenia!

Sama nie wiedziałam, czy jestem jej bardzo wdzięczna, czy raczej bardzo na nią wściekła. A może jedno i drugie równocześnie? Przecież bez mojej zgody zabrała Jeremiego na ulicę, pełną rozpędzonych samochodów i groźnych psów, które mogły rzucić mu się do gardła... Bez mojej zgody użyła mojej patelni i ułamanej łopatkę do przewracania placków na teflonie... A z drugiej strony zapewniła mojemu

najmłodszemu dziecku spacer w słoneczny dzień. I całej naszej szóstce prawdziwy obiad, jakiego nie jedliśmy od miesiący.

Chyba jednak byłam wdzięczna, bardziej niż wściekła.

- Dziękuję - odezwałam się niepewnie.

- Ale co ty, przecież i tak siedziałam beczynnio! - Znów ten śmiech! - A, jeszcze jedno. Pomyślałam, że nawet twoja wesoła gromadka nie zje od razu dwustu naleśników. Wsadziłam więc część do zamrażalnika. W porcjach po trzy, sześć i dwanaście. Żebyś mogła coś zjeść, jak będziesz sama. Albo żeby Julian odgrzał sobie, jak wróci ze szkoły. Bo Jędrzej chyba jeszcze sobie nie odgrzewa obiadów?

- Jeszcze nie - potwierdziłam odruchowo, usiłując przypomnieć sobie, ile naleśników usmażyłam ostatnio. Dziewięć? Nie, chyba osiem... Po jednym dla każdego i po dodatkowym dla Julka i Jędrka. Miało być dziewięć, bo Jeremi miał wtedy fazę wilczego apetytu, ale dziewiąty przywarł i musiałam go zeskrobać nożem (wiem, nie używa się noża do teflonu!) i wyrzucić.

A ona - dwieście...? Dobrze słyszałam? Dwieście naleśników, plus spacer, plus zakupy, plus...

- Nie byłam pewna, czy mały może się bawić w pracowni. Przynieśliśmy więc trochę gliny tutaj i zrobiliśmy z niej całą waszą rodzinę. Zwłaszcza Jasiek wyszedł jak żywy, popatrzcie sami!

...plus robienie rodziny z gliny.

Ta kobieta jest chyba robotem?!

Dziwnie się przy niej czułam. Do tej pory wydawało mi się, że nieźle sobie radzę. Jak na sytuację, w której się znalazłam, dosłownie z dnia na dzień, chyba szybko się pozbierałam, nie? Byłam z siebie dumna, że nie siedzę i nie płaczę od rana do nocy, że wpadłam na pomysł prowadzenia tych lekcji, że moje dzieci raczej nie chodzą głodne, że dom

nie zarasta brudem... Podśpiewywałam nawet pod nosem Supermenkę i chwilami właśnie tak się czułam. Do chwili, gdy w moim życiu zjawiała się Gośka, udowadniając mi, że tak naprawdę jestem słaba, niezorganizowana, wręcz rozlazła. Jak miałam się przy niej czuć? Podziwiać ją? Być jej wdzięczna? Czy może zła, że odarła mnie ze złudzeń? Chyba czułam to wszystko naraz...

- Dzwoniła twoja teściowa. - Słowa Gośki sprawiły, że ugięły się pode mną nogi. - Jakaś wścibska z niej osoba. Wypytywała, gdzie jesteś i co ja tu robię. W końcu powiedziałam, że jestem niańką, i wtedy ją zatkało.

No, wcale się nie dziwię! Teściowa wie doskonale, że nie mam grosza przy duszy. Ani pracy. Ciekawe, po co miałabym wynajmować niańkę. Po co i za co.

- Zapisałam ci tutaj numer prawniczki. - Gośka nie przestawała mówić. Poprowadziła mnie w kąt przy schodach, gdzie dzieci nie mogły nas słyszeć, i wcisnęła mi do ręki jakąś kartkę. - Mam nadzieję, że się nie obrazisz, że z nią o tobie rozmawiałam. Powiedziałam jej tylko, że mąż zostawił cię z piątką dzieci bez grosza przy duszy. Ze po prostu zniknął i nie poczuwa się do żadnej odpowiedzialności. Obiecała, że sobie z nim poradzi. Znajdzie i przygwoździ. Musisz tylko zadzwonić i podać jej kilka faktów. Na pewno nie rozplynał się w powietrzu. A więc ona go odnajdzie, zobaczysz.

Przez chwilę nie rozumiałam, o czym Gośka w ogóle mówi. Znaleźć Jacka i go przygwoździć... ?

- Musi ci płacić alimenty, i już. Regularnie, co miesiąc. Zawsze tego samego dnia, ustaloną sumę. Zastanowimy się, ile powinnaś zażądać. Możesz też ograniczyć mu prawa rodzicielskie. Przecież sam zrezygnował z widywania synów. To może przydać się na przyszłość. Baśka wszystko ci wyjaśni. ..

Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy płakać.

- Chyba mnie źle zrozumiałaś - rzekłam więc po prostu.

GOŚKA

No tak, zrobiłam z siebie konkursową idiotkę. Nie wiem, jakim cudem uznałam, że mąż Nory porzucił żonę i dzieci. To znaczy wiem, jakim cudem. Jak ktoś mówi „odszedł”, to człowiek widzi kogoś, kto odchodzi. Z walizką i naręczem koszul, niesionych razem z wieszakami, ostrożnie, żeby się nie pogniotły. Bez pożegnania. A on odszedł, bez pożegnania, ale i bez walizki. On po prostu umarł!

- Jacek nie żyje. - Powiedziała to jakimś takim nieswoim, drewnianym głosem. I zaraz wyjaśniła: - Pierwszy raz mówię to zdanie głośno, wiesz? Wolę myśleć, że on... że odszedł, zniknął, zostawił nas... Tak jest łatwiej.

- Łatwiej? - Pokręciłam głową. Próbowałam zwalczyć panikę i wściekłość na samą siebie. I jeszcze powiedzieć coś logicznego. Coś jej poradzić. - O nie, moja droga, to fatalna strategia. Nie możesz udawać, że nic się nie stało. Rozpacz trzeba przeżyć, a nie kisić w środku. Pamiętaj, najważniejsze to nie kisić. Możesz krzyczeć, płakać, walić pięściami w ścianę. Ale nie kisić. Kiszenie zabija.

Mogłabym opowiedzieć jej pięć różnych historii o moich koleżankach. O kuzynce. I nawet o mnie samej. Nie ma nic gorszego niż kiszenie bólu. Sama to przeżyłam, kiedy miała się urodzić Cloe. Nikt do dziś nie wie, przez co przeszłam. Wtedy nie umiałam mówić o smutku i rozczarowaniu. Teraz już potrafię, na szczęście. Potrafiłabym, gdyby się w moim życiu pojawiły...

Teraz mogę już walnąć ze złości pięścią w stół. Na przykład dlatego, że nie domyśliłam się wcześniej, że mąż Nory nie żyje. I że zrobiłam z siebie idiotkę, podsuwając jej prawniczkę, która go odnajdzie i przemówi mu do rozumu!

Rozdział 4

Polowanie na muchy

LENA

Przyniosłam dziś na zajęcia ciasto ze śliwkami. Pomyślałam, że miło będzie zjeść coś przy lepieniu. A jeśli my nie zjemy ani kawałka, to synowie Nory będą mieli jutro drugie śniadanie. Właściwie to nawet miałam nadzieję, że nie ruszymy tego ciasta i zostanie dla nich. Nie wygląda, żeby często jadali ciasto.

- Akurat przechodziłam koło cukierni, fajnie pachniało - zaczęłam tłumaczyć, ale nagle spojrzałam na Norę i odebrało mi głos. Bo wyglądała jakoś... jakoś tak dziwnie. Bardzo dziwnie.

Z początku nie wiedziałam, co jest nie tak z jej twarzą. Ale to trwało nie więcej niż ćwierć minuty. Bo potem dotarło do mnie, że chodzi o okulary. Miała na nosie coś niewiarygodnego. Zamiast swoich malutkich drucianych okularków nosiła całkiem przedpotopowe (przynajmniej na pierwszy rzut oka), wielkie, plastikowe, z jednym szkłem pękniętym wzdłuż. Wyglądała jak z filmu o szaleńcach!

- Masz nowe okulary? - zapytałam, uznając, że wypada jednak jakoś zareagować.

- Stare - mruknęła, desperacko próbując umieścić na kole kulę gliny.

Ostatnio szło jej to już całkiem nieźle (choć nie tak dobrze jak Gośce), lecz dziś wyglądała, jakby siedziała przy kole po raz pierwszy. Kulka trzy razy spadała na ziemię, ona kładła ją na środku koła, dotykała... i znów klap, kulka na ziemi, gliniany naleśnik...

- Nic nie widzę! - krzyknęła w końcu wściekła, zdjęła z nosa okulary a la Roy Orbison i wstała od koła. - Co będziesz dzisiaj robić? Masz jakiś pomysł? - Najwyraźniej nie chciała o sobie mówić. Nie to nie.

- Tak, zrobię miseczkę, taką jak poprzednio, tylko większą - odpowiedziałam szybko, żeby nie narażać jej na pomaganie mi w czymkolwiek w tych okularach.

Nora jednak znów założyła je na nos.

- O rany, istna Anna Jantar! - Gośka na progu pracowni dosłownie turlała się ze śmiechu.

A ja oczywiście razem z nią, jak zwykle. Zaraziła tym śmiechem nawet Norę, która przed chwilą była wyraźnie zdenerwowana. W dodatku przyniosła ze sobą... ciasto ze śliwkami! Wielką blachę, którą upiekła tuż przed wyjściem z domu.

- Jak ją wsadzałam do samochodu, była jeszcze gorąca - opowiadała. - Aż mi się dywanik w nogach pasażera trochę stopił. Jak głupia postawiłam blachę bezpośrednio na nim. A przecież powinnam zastosować jakąś przegrodę termiczną.

Przegrodę termiczną? Chciałam zapytać, co na przykład mogłoby być taką przegrodą, lecz wtedy Nora powiedziała do Gośki poważnie:

- Te okulary to dlatego, że skorzystałam z twojej rady.

- Z mojej? - Gośka wyraźnie nie rozumiała, o co chodzi. - Czy ja mówiłam coś o tym, że nie podobają mi się twoje drucziane oprawki? Uważam, że były bardzo twarzowe, naprawdę.

- Nie mówiłaś o okularach, ale o kiszeniu - wyjaśniła Nora.

O kiszeniu? Niby że co? Ze Gośka ma jakiś świetny, prosty i szybki przepis na pikle, zgodnie z którym do słoików trzeba dorzucić trochę metalu? I Nora wykorzystwała oprawki? Właściwie, znając Gośkę, wcale bym się nie dziwiła.

Drzwi do garażu trzasnęły po raz kolejny. Nora wykonała taki gest, jakby chciała zdjąć okulary i schować za siebie, jednak zrezygnowała. Do pracowni weszła Marta. I

oczywiście na moment zaniemówiła, wpatrując się w twarz naszej gospodyni.

- Idealne - orzekła w końcu, z wyraźnym podziwem. - Skąd je wzięłaś? Zupełnie jak Małgorzata Braunek w Polowaniu na muchy Wajdy. Moja kuzynka pisze do „Nowej Mody i Urody”. Wczoraj przyniosła najnowsze wydanie, egzemplarz prosto z drukarni. Jest tam duży artykuł o modzie retro. Styl a la Braunek będzie od wiosny najbardziej trendy. Ale przecież tego numeru jeszcze nie ma na rynku? Gdzie czytałaś o tych okularach? A przede wszystkim skąd je wzięłaś? Są idealne, naprawdę. Nawet to pęknięcie, wyjątkowo stylowe. Wygląda tak naturalnie.

Nora przez chwilę milczała, a potem wybuchnęła wariackim śmiechem, który niepostrzeżenie zamienił się w płacz. Zdjęła okulary, cisnęła nimi o stół i ukryła twarz w dłoniach.

- Gośka powiedziała, żeby nie kisić w sobie bólu - chlipała. - Żeby z siebie wyrzucać. No to wyrzuciłam. Z siebie i z domu. Wszystkie rzeczy Jacka.

- I wśród jego rzeczy znalazłaś okulary Anny Jantar? Znaczy Orbisona? Znaczy Małgorzaty Bra...

- Wyrzuciłam! Wyrzuciłam swoje okulary, razem z trzema parami Jacka. Albo czterema. Nigdy nie rozumiałam, po co mu tyle okularów. Wsadziłam wszystkie do worka, razem z jego swetrami, butami, pianką do golenia. Chciałam sobie zrobić przestrzeń życiową. Wypełniłam worek po brzegi, a potem poszłam się myć, bardzo z siebie zadowolona. Zrobiłam sobie taką superkąpiel... Dzieci już spały, więc mogłam poszaleć. Pierwszy raz od... no, od... od dawna. Piana, muzyczka, relaks. Wzięłam nawet do wanny kieliszek wina, tego, które Gośka przyniosła poprzednim razem. Postanowiłam, że wyrzucę wszystkie jego rzeczy i zacznę oddychać pełną piersią, zamiast żyć jak w izbie pamięci.

Wyszłam z wanny i zobaczyłam okulary na półce nad umywalką. Wściekłam się: wszędzie zostawił jakieś ślady! I wrzuciłam je do worka. A potem w szale jakimś, z mokrymi włosami, w szlafroku, wyniosłam ten worek na śmietnik. Strasznie się zasapałam, był wielki i ciężki.

- Trzeba było rozłożyć na dwa - wtrąciła trzeźwo Gośka. - Na przyszłość: zawsze warto tak robić. A jeśli nie masz dwóch worków, to ten jeden ciągnij po ziemi. Gdy nie da się uciągnąć, pozostaje dorobienie dwóch pasów, dzięki czemu można go będzie zarzucić na grzbiet, tak jak zakłada się plecak.

Ona powinna chyba napisać książkę 1000 porad cioteczki Gosi. Na każdą okazję.

- Nie rozłożyłam na dwa. Nie ciągnęłam. Nie przyszyłam taśm. Po prostu go wyniosłam! - prychnęła Nora, chyba nieco zniecierpliwiona. - Rano obudziła mnie śmieciarka hałasująca pod oknem. Zawsze przyjeżdżają o szóstej. Leżałam w łóżku, między trójką moich synów, i myślałam, że teraz zacznę nowe życie. Ze nareszcie mam przestrzeń psychiczną, tak jak mówiła Gośka. Poderwałam się z łóżka bardzo zadowolona, żeby przygotować jakieś specjalne śniadanie na tę specjalną okazję. Sięgnęłam na szafkę po okulary. I... no i...

- I ich nie było - dokończyłyśmy chórem.

- Nie mogłaś dogonić tej śmieciarki? - zapytała Gośka. - Na pewno stali gdzieś przy następnym domu.

- Gdybyś nie zauważyła, tu nie ma następnego domu. Mój jest na końcu ulicy. - Nora smutno się uśmiechnęła. - Zanim do niego dojadą, przystają przy każdym po drodze. A potem, potem jadą prosto do bazy. Próbowałam. Zarzuciłam szlafrok i pobiegłam. Ale już ich nie znalazłam. Bez okularów niewiele widziałam, mało nie wpadłam pod samochód sąsiada wyjeżdżającego z garażu.

No tak, jeszcze tego brakowało! Matka piątki synów ginie o świcie, w szlafroku i kapciach, w bramie sąsiada.

Pokiwałyśmy głowami. Lepiej stracić okulary niż życie, nie ma wątpliwości.

- To jeszcze nie koniec - westchnęła Nora. - Okazało się, że nie zabrałam kluczy. I zatrzasnęłam za sobą drzwi do domu.

- Przecież macie dzwonek? - Nie rozumiałam problemu.

- Była szósta - przypomniała mi Gośka. - Chłopcy spali, prawda?

- Spali. - Nora pokiwała głową, coraz energiczniej wyrabiając odruchowo wielką kulę gliny. - Dzwoniłam i waliłam pięściami, psy sąsiadów szczekały, Pysia drapała w drzwi jak szalona i piszczała. A chłopcy nic. Wciąż spali. Pysia przecież piszczy co rano, od piątej. To suka po przejściach.

- Jak my wszystkie - odezwałam się, chyba nie najmądrzej.

Marta zmroziła mnie wzrokiem.

- Julek opowiadał mi potem swój sen - mówiła dalej Nora. - Śnił, że przed naszymi drzwiami stoi kolejka ludzi. Naciskają dzwonek, każdy osobno, on wpuszcza tę osobę, która dzwoniła, zamyka drzwi, a wtedy dzwoni następna. Zastanawiał się nawet, czy to ma cokolwiek wspólnego z symboliką przejścia. Jakby nie wystarczało, że ma mnóstwo wspólnego z tym, że jego matka od kwadransa dzwoni do drzwi!

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Co za historia!

- Ale w końcu weszłaś. - Gośka wyraźnie chciała wysłuchać całej opowieści, od początku do końca. - Jak?

- Jonasz, najbardziej obowiązkowy z moich synów, miał nastawiony budzik. Usłyszał alarm i chwilę później usłyszał też, że walę w drzwi. Oczywiście uczyłam go, żeby nikomu

nie otwierał, więc obudził Jędrzeja i Julka. A kiedy zobaczyli, kto stoi pod drzwiami, powiedział im jeszcze: „Pamiętacie bajkę o siedmiu kozłatkach? Ona może tylko udawać naszą mamę. Niech pokaże, czy nie ma czarnej łapy, jak zły wilk”. Jeszcze trochę, a w ogóle by mnie nie wpuścili! Gdyby nie Julek, pewnie przekonałby Jędrka do sprawdzania koloru moich kończyn. Jędrus ma dziewięć lat, ale jest wciąż taki naiwny...

- A okulary? - Ten temat interesował Martę znacznie bardziej niż opowieści o dzieciach. - Znalazłaś je w kartonie ze swoimi rzeczami z liceum?

- Nie jestem AZ TAK stara, żeby mieć takie okulary w jakimkolwiek kartonie - roześmiała się Nora. - Chyba że z przedszkola. To okulary mojej sąsiadki. Prawie dobre.

Pokręciłam głową załamana. Czy ta kobieta naprawdę chce stracić wzrok? Czy ona nie wie, że tak się nie robi?

- Musisz jechać do optyka. Do okulisty i do optyka. Muszą cię zbadać i zrobić ci nowe okulary. Odpowiednie dla ciebie, nie dla sąsiadki - wyjaśniłam najprościej, jak umiałam. I najdobitniej, jak się dało.

- Wiem, że muszę. - Nora pokiwała głową. - Niestety, na razie nie mogę. Nie mam za co. Te okulary mi wystarczą. Na razie.

- Przecież zapłacimy ci dziś za zajęcia. No, to nie wystarczy na całe okulary, ale może na szkła przynajmniej...? - pocieszała ją Marta, sięgając do torby. - Od razu ci zapłacę, żeby nie zapomnieć. Cholera, przez te okulary zapomniałam zupełnie. Przyniosłam ciasto śliwkowe, moja gospośka piecze bezbłędne, musicie spróbować!

Wyciągnęła z przepastnej torby szczelnie wypełnione ciastem pudełko. A my zaczęłyśmy się śmiać jak wariatki. Marta oczywiście nie wiedziała, o co chodzi. Aż do chwili,

gdy zobaczyła wielką brytfankę Goški i moją paczuszkę z cukierni, wciąż nieodwiniętą.

- O czym ja mówiłam? - Na chwilę zbiłyśmy ją z tropu. - A, pieniądze... Dziś ci zapłacimy, to wystarczy na nowe szkła. Możemy zapłacić za dwie lekcje z góry. Albo za trzy, prawda?

- Jesteście kochane, dzięki. Nie chcę nic z góry, mowy nie ma. Pieniądze za dziś wystarczą na chleb i mleko dla dzieci - powiedziała Nora. - Na kredki dla Janka i Jonka do szkoły. I może jeszcze na bilety autobusowe dla Julka na cały tydzień. I na nic więcej.

- Kup Julkowi miesięczny, będzie taniej - podsunęła szybko Goška.

- Na razie nie stać mnie na miesięczny - przypomniała jej Nora. - Nie martwcie się, może już za kilka dni będę miała pieniądze. Przecież Jacek...

- Alimenty. - Marta westchnęła z ulgą. - Wreszcie będzie je płacił! Całe szczęście. Nie zostawia się bezkarnie kobiety z piątką dzieci, tak?

Goška syknęła i pokręciła głową, dając jej dziwne znaki.

- Co? - szepnęła Marta, nic nie rozumiejąc. - Co? O co chodzi? - szepnęła trochę głośniej.

- Goška wie i wy chyba też powinnyście - westchnęła Nora. - Nieświadomie wprowadziłam was w błąd, mówiąc, że on odszedł. Odszedł, lecz na zawsze. Rozumiecie? On nie żyje, po prostu, Jacek nie żyje. Muszę w końcu zacząć mówić o tym głośno. Nie żyje.

- Jak możesz tak mówić?! Jak możesz?! - Od strony drzwi zamaskowanych haczykami rozległ się nagle krzyk. Na środku pracowni stanął Jędrzej, cały we łzach. - Nie masz prawa mówić, że tata nie żyje. On wróci! Wróci, wiem o tym. I dopóki nie pokażesz mi jego grobu... dopóki nikt nie znajdzie jego ciała, nie wolno ci mówić inaczej! Nawet tej pocztówki, która miała niby być dowodem jego śmierci, wcale nam nie

pokazałaś! Więc przestań mówić, że już go nie ma! To nieprawda!

- Jędrzej, poczekaj! Jędrus! - zawołała bez zbytniego przekonania w kierunku drzwi, które zatrzasnęły się z hukiem. Chłopak nie chciał słuchać.

- Chyba powinniśmy iść - powiedziała Gośka, odliczając pieniądze. - Porozmawiaj z dziećmi, potrzebują cię. Idź do nich, szybko.

- Idź, idź. - Uśmiechnęłam się, kładąc na stole kilka monet.

- Nie mogę od was wziąć ani grosza za dzisiaj, nie przecież nie ulepiłyśmy - zaprotestowała Nora.

- Idź. - Marta położyła rękę na jej ramieniu, a banknot stużłotowy na stole.

- Nie ma mowy, nie przyjmę jałmużny. Nie i już.

Na to Nora nigdy nie chciała się zgodzić. Choćby przymierała głodem. Nawet pożyczki nie chciała, bo nie była pewna, czy będzie w stanie oddać. Wcisnęła Marcie tę stówę do kieszeni kurtki.

- Zadzwoń do ciebie rano. Mam pewien pomysł w sprawie okularów, chyba całkiem niezły, może uda się załatwić to znacznie taniej. - Marta nie należała do osób, które łatwo się poddają.

A potem wyszłyśmy, wszystkie trzy jednocześnie. I nie zamieniłyśmy ze sobą ani słowa, idąc do zaparkowanych pod pracownią samochodów. W całkowitej ciszy każda z nas po prostu wsiadła do auta i pojechała w swoją stronę, myśląc o tym, co zobaczyłyśmy. I zastanawiając się, co to mogło znaczyć.

LENA

Chciałam wysłać do Marty esemesa, od razu po wejściu do domu, że chętnie się dołożę do tych okularów. Nie wątpiłam ani przez moment, że zamierza za nie zapłacić z

własnej kieszeni. Chciałam, żeby wiedziała, że może w tej sprawie na mnie liczyć. Tyle że okulary, glina, Nora i tajemnicze słowa jej syna wyleciały mi z głowy natychmiast, gdy zaparkowałam pod moim blokiem. Wszystko dlatego, że zobaczyłam, kto zaparkował tuż obok. Nie sposób pomylić tego samochodu z żadnym innym. Bo czy jakiś inny garbus ma kolor wściekłej limonki, błękitną meduzę namalowaną na dachu i rurę wydechową długości trzydziestu centymetrów? To był on. Jak on śmiał przychodzić tutaj po tym wszystkim, co ostatnio zrobił? Przecież obiecywał, że zniknie z mojego życia na zawsze. A jednak był tutaj. Siedział na ławce pod blokiem i palił papierosa. Nienawidziłam, jak palił!

- Zimno. Czekam od trzech godzin - syknął.

Jakbyśmy byli umówieni! Chciałam powiedzieć coś jadowitego, pasującego do tego syknięcia, lecz zmieniłam zdanie, rejestrując kątem oka lekki ruch firanek.

- Nie będziemy robić scen pod oknem dozorczyńni - szepnęłam więc tylko. - Jeśli masz mi coś do powiedzenia, wejdź do mojego samochodu. Chociaż wydaje mi się, że wszystko już ustaliliśmy. Chyba w poniedziałek wyraziłam się dostatecznie jasno?

- Dostatecznie jasno, fakt. - Nagle zmienił taktykę i uśmiechnął się tym swoim zabójczym uśmiechem, który na szczęście przestał na mnie działać siedemdziesiąt dwie godziny temu. - Jest tylko jedna sprawa, której nie poruszyliśmy.

- Jaka sprawa? - Nie rozumiałam.

- Opieka nad kotem.

- Słucham? - Miałam wrażenie, że śnię. - Nie będę rościć sobie żadnych praw do twojego kota, możesz się nie martwić.

- Kot - powtórzył lodowato. - Wiesz przecież, że wyjeżdżam na narty. Pamiętasz może, że mieliśmy jechać razem, a kot miał zostać z twoim ojcem.

- Pamiętasz może, że się rozstaliśmy? - przypomniałam. - I że mój ojciec omal nie dostał przez ciebie zawału? Rozstaliśmy się, to koniec! Nie mamy ze sobą nic wspólnego!

Firanka dozorczyńni zafalowała złowrogo. Na szybach był szron. Przeziębi całą rodzinę, jeśli zaraz nie zamknie tego okna!

- No ale rozstanie to jedno, a kot to drugie. - Gracjan naprawdę nie rozumiał, co do niego mówię. - Jesteś wciąż za niego odpowiedzialna.

- Ja? - Zaczęłam się histerycznie śmiać. - Za kota? Twojego kota? A czemu nie za twoją złotą kartę kredytową?

- Karta jedzie ze mną. Kot zostaje z tobą - oświadczył krótko.

I zanim zdążyłam zareagować, wyciągnął z samochodu transporterek z zziębniętym i przerażonym Dropsem. A potem po prostu postawił go na chodniku, wskoczył za kierownicę i odjechał.

- Gracjan! - wrzasnęłam, ale oczywiście huk wydobywający się z podrasowanego silnika jego garbusa zagłuszył mój krzyk.

Firanka odchyliła się nieco bardziej.

- Przedstawienie skończone. Dobranoc - powiedziałam dozorczyńni.

A potem wzięłam klatkę i ruszyłam na górę. Przecież nie zostawię Dropsa na mrozie! I Gracjek, oczywiście, dobrze o tym wiedział.

Dopiero w okolicach drugiego piętra poczułam, że coś cieknie mi po nodze. Coś ciepłego.

„Cholera, krew!” - pomyślałam przerażona. Gracjek jeździ tą swoją tuningowaną meduzą jak szalony, pewnie skręcał na czwórce albo gwałtownie zahamował, jak to on. No i biedny Drops rozbił sobie głowę o sufit transporterka.

- Dropsik, trzymaj się, zaraz opatrzymy rany! - pocieszałam go półgłosem, licząc tylko na to, że dozorczyini nie usłyszy dramatycznego komunikatu.

Nie mogłam się zdecydować, czy powinnam biec po dwa schodki na górę, najszybciej jak się da, czy raczej iść powoli, żeby kocur nie doznał dodatkowych wstrząsów.

- Mam nadzieję, że się nie wykrwawisz. Tylko półtora piętra i będziemy w domu. Nie zamykaj oczu. Nie zasypiaj. Zaraz się tobą zajmę. - Podtrzymywałam go na duchu, jak tylko mogłam.

Niepotrzebnie! Otwierając drzwi, spojrzałam na nogawkę swoich spodni. Wcale nie była oblepiona gęstą kocią krwią. Była mokra. I śmierdząca. Drops zsikał się z nerwów!

Czułam ulgę i wściekłość jednocześnie. Na Dropsa, na siebie, a przede wszystkim na Gracka. Cholerny egoista, liczył się tylko jego wyjazd na narty! To rozstanie było najlepszą decyzją w moim życiu.

Kot, przerażony, mokry i śmierdzący, od razu schował się pod moje łóżko i nie wyszedł do rana. I całe szczęście. Nie miałam w domu żadnego kociego żarcia, a jechać po nocy do supermarketu nie zamierzałam. Gracek mógłby pomyśleć o miskach i zapasie żywności. Ale to nie było w jego stylu.

Postawiłam koło łóżka kryształową salaterkę z wodą i drugą - z białym serem, w razie gdyby Drops był bardzo głodny. Potem przypomniałam sobie, że mam rybę w zamrażalniku. Po dziesięciu minutach w mikrofalówce przestała być twarda jak kość, wrzuciłam ją więc do trzeciej miski, odsunęłam nieco od łóżka, żeby nie śmierdziała mi pod nosem, wzięłam bardzo długi prysznic, żeby zmyć z siebie kocie wonie, a potem spałam dwanaście godzin.

Cholera, dwanaście godzin! Znów zawałam spotkanie!

Obudził mnie smród. Potworny smród. Drops najwyraźniej w końcu wyszedł spod łóżka, pożarł rybę i zrobił

wielką kupę na środku dywanu. No jasne, nie dałam mu kuwety. Bo Gracek nie zostawił mi kuwety. Cholera, jak można nie dać kotu kuwety i spać dwanaście godzin?

Posprzątałam, wytarłam dywan, niestety, smród wciąż był nie do wytrzymania. Narzuciłam więc szlafrok i uchylłam drzwi na balkon. Wolałam chłód niż smród. Miałam nadzieję, że zimne powietrze nie zabije rozpieszczonego Dropsa.

- Jest listopad, to jeszcze nie taki prawdziwy mróz - szepnęłam, żeby uspokoić kota i siebie. A potem otworzyłam szerzej drzwi.

Drops jakby tylko na to czekał. Czmychnął między moimi nogami i już po chwili był po drugiej stronie barierki. Na gzymsiku szerokości może pięciu centymetrów. Na gzymsiku na czwartym piętrze!

Wstrzymałam oddech. Powtarzałam sobie: „Kot zawsze spada na cztery łapy. Kot zawsze, ale to zawsze...”. Zresztą co za głupoty z tym spadaniem. On zaraz wróci do mieszkania. On nie lubi zimna. O, już patrzy, jak by tu wrócić. Już podniósł jedną łapę. I w tym momencie, cholera jasna, jakiś bezdomny zaszeleścił torbami przy śmietniku. A dla Dropsa szelest oznacza przysmak, którym należy się zainteresować.

Oczywiście postanowił się odwrócić i sprawdzić, co tak szeleści. Nie oddychałam i chyba nawet się modliłam. Pierwszy raz od stu lat. Jednak modlitwy grzeszników najwyraźniej nie docierają do nieba tak szybko, jak powinny. Kot zniknął z gzymsiku.

Nie powinnam patrzeć w dół. Spojrzałam. Drops odbił się od skrzynki na kwiatki pani Marianny (po co komu w listopadzie wystająca za obrys bloku skrzynka z kikutami pelargonii?), a potem runął jak długi na trawnik.

Wreszcie zaczęłam oddychać i ruszyłam na dół. Boso. W szlafroku. Prosto pod okno dozorczyńni.

Drops leżał, sztywny jak po trzech dobach w zamrażalniku. Na plecach. Z łapami skierowanymi w niebo, jakby z pretensją, że moje modlitwy nie zostały wysłuchane.

Dzieci dozorczyńni stały na balkonie zafascynowane.

- Nie powinniście być w szkole? - zainteresowałam się odruchowo.

Dozorczyńni wybiegła za swymi pociechami i zaczęła zakrywać im niewinne oczęta. Pewnie, na pijanego ojca całującego panią Wiesię przy trzepaku mogą patrzeć. Na martwego kota - nie.

Szeleszczący bezdomny zmaterializował się nagle obok mnie.

- Kierowniczo, ma kierowniczo szpadek? - wychrypiał. - Za dyszkę wykopię piękną mogiłę, pod samym oknem. A nie będzie łatwo, ziemia już zamarznęta... Kierowniczo, za dyszkę. A za dwie jeszcze krzyżyk zrobię. Toż to boże stworzenie, należy mu się.

- Stuł pysk - warknęłam, nie panując nad sobą.

Kot nagle się poruszył. Raz, potem drugi. Leżał teraz na boku i piszczał. Piszczął, czyli żył.

- Stuł pysk i pilnuj kota, inaczej wezwę policję - dokończyłam i pognałam na górę, po transporter, koc, koszyk i pudełko. Nie miałam pojęcia, w czym powinno się przewozić rannego kota.

Dwadzieścia minut później stałam w szlafroku i zielonych kozaczkach (wciśniętych na gołe nogi) w progu Marcela. W końcu w całej Warszawie nie ma lepszego weterynarza niż on. Jeżeli ktoś mógł uratować Dropsa, to tylko Marcel.

Rozdział 5

Seropozytywna

MARTA

W przerwie na lunch postanowiłam zadzwonić do Lenki i zapytać, czy nie zna jakiegoś okulisty, który dałby się wciągnąć w małe oszustwo. Albo optyka, jeszcze lepiej. Bo moja nieoceniona Iwona akurat nurkuje w Egipcie. Wróci za dwa tygodnie. Nora nie może czekać dwa tygodnie na nowe okulary!

Lenka najpierw przez dwie godziny nie odbierała, a potem, kiedy mnie usłyszała, zaczęła płakać.

- Cholera, cholera, cholera! Siedzę uwięziona z kotem! Nie mogę go spuścić z oka przez czterdzieści osiem godzin. Nie mogę... a muszę. Wywalą mnie z pracy, jak nie przyjadę.

- Weź go ze sobą - odpowiedziałam. I dopiero potem zdziwiłam się lekko: - Nie wiedziałam, że masz kota.

- Nie mam kota. Cholera, nie mam żadnego kota! Tylko mój eks zostawił mi swojego... Ech, długa historia. Kiedyś ci opowiem. W każdym razie siedzę w domu z rannym kotem, który przeżył upadek z czwartego piętra. Ma dwie łapy złamane. Weterynarz orzekł, że nie można ich włożyć w gips, bo są spuchnięte. Trzeba czekać. Dostał zastrzyki nic go nie boli, ale nie można pozwolić mu chodzić, bo sobie przemieści kości i będzie kaleką do końca życia. Nie można wsadzić go do klatki, bo dostaje obłądu i rozbija się o ścianki. Nie można zostawić go w klinice, bo stres może go zabić. Gracek nigdy nie zostawiał go z nikim obcym, nawet na godzinę. Musi być z kimś, kogo zna. Mnie zna. Więc siedzę w areszcie domowym i robię to, co kazał weterynarz. Cholera, nawet po chleb nie mogę wyjść!

- Przywiozę ci jakieś warzywa na zupę, chleb kupię - zaproponowałam odruchowo. - Powiedz, co jeszcze jest ci potrzebne, i podaj adres. Będę za godzinę.

Dokładnie sześćdziesiąt trzy minuty później wdrapywałam się na czwarte piętro w jednym z typowych ursynowskich bloków z wielkiej płyty, z torbami pełnymi zakupów. Surowego mięsa nie dotykam, żeby nie zarazić się różą albo innym paskudztwem. Ryb też nie, nie pamiętam już dlaczego. Muszą jej wystarczyć warzywa i ciemne pieczywo. Lena jest taka szczupła, pewnie i tak nie je nic prócz warzyw.

Już na drugim piętrze dopadła mnie zadyszka. Nie chodzę na basen, żeby nie złapać grzyba. Nie chodzę na siłownię, bo przecież po zapłodnieniu nie powinnam robić ćwiczeń siłowych (a co miesiąc przez dwa tygodnie nie wiem, czy doszło do zapłodnienia, czy nie). Karnetów na dwa tygodnie w miesiącu, niestety, nie sprzedają. W dodatku objadam się wszystkim, co jest zalecane przy staraniach. Nawet czerwone wino piję co wieczór, bo ono dobrze robi na grubość endometrium. A przecież wino jest takie kaloryczne! Nic dziwnego, że spodnie ledwo się dopinają, a ja mam zadyszkę na schodach.

- Kochana jesteś. - Lenka wyglądała na wykończoną. Kot nie wyglądał w ogóle. Leżał pod kocykiem, w koszyku, który Lena trzymała w prawej ręce. - Nie mogę go ani na chwilę spuścić z oczu. Nawet do łazienki z nim chodzę. Nie myłam się od wczoraj, bo się boję, że spróbuje zeskoczyć na ziemię, kiedy będę pod prysznicem.

- Weź prysznic, umaluj się i jedź do pracy. Ja z nim posiedzę - powiedziałam bez wahania. - Nie możesz zrujnować sobie życia przez kota, w dodatku cudzego. Jedź i o nic się nie martw, moja babcia miała siedem kotów, umiem z nimi postępować.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem, a potem rzuciła mi się na szyję. Pachniała jakoś dziwnie, ale wolałam jej tego nie mówić. I tak była dostatecznie zdenerwowana. Zresztą przecież się zaraz umyje, tak?

Po kwadransie wyszła z łazienki, całkiem odmieniona. Umalowana, ubrana w zielony kostiumik, ze srebrnymi koralikami na szyi. Tylko pachniała wciąż dziwnie. Wyczułam ukochane perfumy Lenki - „Roma” Laury Biagiotti. Ten zapach znałam z naszych czwartkowych spotkań. Ale dziś był wymieszany z czymś niezbyt przyjemnym.

Nie byłam pewna, czy powinna tak pachnieć na spotkaniu z szefem.

- Dziwnie pachniesz - ośmieliłam się powiedzieć.

- Cholera, włosy! Nie umyłam włosów. Musiałam ich dotknąć na schodach. Ten kot, gdy go wносиłam na górę... Nie chcesz tego słyszeć. Zapewniam cię, że nie chcesz. Muszę umyć włosy.

Pół godziny później stała w progu jeszcze piękniejsza. Na ramiona narzuciła zjawiskowy szary płaszcz, szyję otuliła mięciutkim szalem w kolorach przydymionej tęczy. Czy jest coś takiego jak przydymiona tęcza?

- Wiesz, że już wpół do siódmej? - upewniłam się. - Zastaniesz jeszcze kogoś w pracy? Jest piątek, pamiętasz?

Roześmiała się, pokazując równe, małe ząbki.

- U mnie w pracy ludzie siedzą nawet o trzeciej w nocy. W weekendy też. W każdym razie mam klucz, gdyby nagle uciekli z jakiegoś powodu.

Chciałam zapytać, czym tak naprawdę się zajmuje. Wciąż tego nie wiedziałam. Ale to chyba nie był dobry moment. Ona się śpieszyła. A kot nerwowo kręcił się w koszyku.

- Jakby się obudził, to podsuń mu miskę pod nos. I trzymaj rękę na jego boku, żeby nie wstawał - tłumaczyła Lenka z progu. - I nie dawaj mu za dużo pić, bo siusianie stanowi pewien problem. On nie akceptuje pampersów...

- Idź już! - krzyknęłam. - Poradzę sobie. Obiecałam ci, tak? A jak obiecałam, to tak będzie.

Lenka wyszła, kot pochrapywał, a ja zaczęłam przeglądać gazetę, którą miałam w torbie. Był tam bardzo ciekawy artykuł o szczepieniach, którego nie zdążyłam do tej pory przeczytać, chociaż zaczynałam już pięć razy. Nareszcie mogłam się na nim skupić.

Szczepienia... Nagle przebiegł mnie zimny dreszcz. Zarazki. Wirusy. Bakterie. Kot. Niech to szlag. Kot. Przecież milion razy czytałam, że koty są niebezpieczne. Ze kobiety, które starają się o dziecko, powinny ich unikać jak ognia. Toksoplazmoza. Wady wrodzone płodu. Wodogłowie. Zapalenie mięśnia sercowego. I dwadzieścia innych chorób, których nazw nie pamiętałam. Coś z gałką oczną chyba?

Odsunęłam się od kota. Wytarłam ręce o kolana. Wstałam. Umyłam je w kuchni, starając się jednocześnie nie spuszczać oka z koszyka. Zwierzak na szczęście ciągle spał. Lecz co będzie, gdy się obudzi? Przecież obiecałam. Dwie złamane łapy. Lekarz powiedział, że jak zacznie biegać, to całe jego wysiłki na nic. Nastąpi przemieszczenie i kot będzie kaleką do końca życia. Niech to diabli! Moje dziecko jest ważniejsze niż wszystkie sierściuchy świata! Powinnam wstać i wyjść. I pobiec do apteki po jakieś środki odkażające. A potem się w nich wykąpać. Ale przecież obiecałam. Obiecałam, tak? Nigdy nie łamię danego słowa. Mam zasady. Obiecałam. Cholera jasna!!!

Zadzwoiłam do Piotrka. Błagałam, żeby przyjechał.

- Jestem na kolacji z klientem. Mogę być za trzy godziny - szeptął, najwyraźniej znad talerza z jakimś tatarem z łososia albo innym serem pleśniowym, którego nie jadam od roku, żeby uniknąć ryzyka zakażenia listeriozą.

Za trzy godziny to Lenka będzie z powrotem! A ja będę miała zarazki toksoplazmozy wszędzie, nawet w płucach i naczyniach limfatycznych. Brrr!

Wykręciłam numer mojej ginekolog. Nie odbierała. Wykręciłam numer mojego ginekologa. Było zajęte. A więc kolejnego ginekologa. I jeszcze jednego. Mam ich w notesie dwie strony, u każdego figuruję w kartotece, u każdego zostawiłam co najmniej kilkaset złotych. Powinni mi pomóc.

W końcu odebrała asystentka doktora Zalewskiego. Doktor był zajęty. Sugerowała, żebym spróbowała jutro rano. Jutro rano! Jutro będzie za późno. Jutro moje dziecko będzie miało wodogłowie!

- Chodzi mi o toksoplazmozę - powiedziałam, zanim zdążyła się rozłączyć. - Jestem sam na sam z kotem. Boję się. Co mam zrobić?

- W którym jest pani miesiącu ciąży? - zapytała. Miałam ochotę skłamać, ale nie pamiętałam, w którym miesiącu toksoplazmoza jest najgroźniejsza. Powiedziałam więc prawdę.

- Nie jestem w ciąży... chyba nie jestem. Staram się. I właściwie mogę być.

- A czy pani robiła badanie na obecność przeciwciał przeciw *Toxoplasma gondii*? - zapytała.

Oczywiście, że robiłam. Robiłam wszystkie możliwe badania. Nawet te, których nikt mi nie zlecił. Kłopot tylko w tym, że nie pamiętałam, jaki mam wynik. Lekarz mówił, że dobry. Ale dobry, czyli jaki? Ten lekarz to nie był doktor Zalewski. U niego w kartotece nie ma kopii mojego testu.

- Może jest pani seropozytywna? - W głosie asystentki, nie wiadomo czemu, zabrzmiała nadzieja.

- Nie, na pewno nie - oburzyłam się. - Gdybym była seropozytywna, musiałabym się chyba leczyć? A lekarz mówił, że wszystko jest w porządku.

- Czy pani miała koty w dzieciństwie? - Asystentka zadawała kolejne niezrozumiałe pytania.

- Ja - nie. Moja babcia - tak. Siedem. Wychowywałam się z nimi. To było dawno temu.

- W takim razie na pewno jest pani seropozytywna, proszę się nie martwić. Na wszelki wypadek niech pani umyje ręce po głaskaniu kotka.

Głaskaniu kotka? Mowy nie ma, nie zamierzam go głaskać!

Seropozytywna. To brzmiało, jakbym miała AIDS. Postanowiłam poszukać w mieszkaniu Lenki komputera i sprawdzić w necie, jak postępować przy zagrożeniu toksoplazmozą. Jak ja mogłam tego nie zapamiętać? Na pewno o tym czytałam! Nie no, wiem, nie miałam w otoczeniu żadnych kotów, nie stykałam się z nimi od dzieciństwa. Nawet sąsiedzi nie mieli żadnych kotów, tylko świnki morskie, psy i żółwie. Dotąd ze strony kotów nie miałam się czego obawiać. Tej sprawie nie poświęciłam zbyt wiele uwagi. Skupiłam się na tych, które mogły dotyczyć mnie bezpośrednio. Na przykład na listeriozie z sera i grzybicy z basenu. Zupełnie jakbym nie wiedziała, że kota mogę spotkać na każdym rogu ulicy! Komputer, niestety, został zablokowany. Usiłowałam odgadnąć hasło, wpisywałam „Lenka”, „Lena” i „Lena Tokarska”. A potem „12345”, jak u Piotra w służbowym laptopie. Bez skutku. Nie udało mi się przeczytać żadnej fachowej porady. Gdybym tylko odebrała z działu technicznego tego smartfona, który przysługiwał mi już od kwartału... Postanowiłam, że pójdę po niego od razu w poniedziałek. I już zawsze będę miała dostęp do sieci. Ale na razie musiałam radzić sobie inaczej.

LENA

Wróciłam do domu w doskonałym nastroju. W pracy wszystko jakimś cudem toczyło się w dobrym kierunku, bez mojego aktywnego udziału. Szef podpisał moje podanie o grant w Japonii. A tak się bałam, że nie podpisze, bo dla firmy

mój doktorat nie ma żadnego znaczenia. Nie przysporzy im żadnego pożytku, tylko kłopoty, bo będę znikać co chwilę na sympozjach i konferencjach albo kolejnych grantach. Nie doceniałam szefa! Podpisał i pogratulował pomysłu. W dodatku John w końcu zamknął tę upiorną sprawę firmy budowlanej, z którą bujałam się od lipca. Teraz marzyłam tylko o kolacji i ciepłej herbacie. Marta wypełniła mi lodówkę po brzegi. Co prawda z niewiadomych przyczyn kupiła same warzywa, ale chyba z nich też da się zrobić coś smacznego dla niej, no i dla mnie.

Zapukałam do drzwi. I wrzasnęłam, kiedy zobaczyłam postać, która mi otworzyła. Cholera, nie było mnie dwie godziny i akurat w tym czasie Ursynów zaatakowali kosmici? Czyżby w moim bloku odkryto promieniowanie radioaktywne? Albo bombę? A może złodzieje noszą teraz takie dziwne stroje?

- Bronię się przed toksoplazmozą - wyjaśnił zduszony głos zza dziwnej maski.

To była Marta.

Przyjrzałam się jej uważnie. Miała na sobie wielki worek na śmieci. Dłonie ukryła w moich gumowych rękawiczkach do zmywania (nigdy ich nie używam, ale trzymam przy zlewie, bo mama twierdzi, że powinnam chronić ręce. I ma rację, ale to takie niewygodne!). Na głowie zamotała różowy ręcznik. Najdziwniejsze było to, co zakrywało jej usta. Moja pończocha samonośna, wykończona koronką? Z wacikami do zmywania makijażu w środku?

- Nie wiem, czy to cholerstwo przenosi się drogą kropelkową, czy przez skórę. Więc zabezpieczyłam się i tak, i tak. Rozumiesz, nie mogę ryzykować.

Nie rozumiałam. Jednak uznałam, że lepiej będzie nie zadawać zbyt wielu pytań. Zresztą okazało się, że nie mam czasu na żadne pytania. Bo nagle wszystko zaczęło dziać się

jednocześnie. Zabrzęczał telefon. To był Gracek. Głosem zimnym jak lód zapytał, co słyhać u Dropsa.

- Właśnie chciałam do ciebie dzwonić - wyznałam zgodnie z prawdą. - Mieliśmy mały wypadek, Drops spadł z balkonu. Nic mu nie będzie. Marcel powiedział...

- Marcel? Nie życzę sobie, żeby ten palant zajmował się moim kotem! Wiedziałem, że nie można ci ufać. Jesteś nieodpowiedzialna. Jak mogłaś wypuścić Dropsa na balkon? Gdzie ja miałem rozum, zostawiając go z tobą?

- Też uważam, że to był kiepski pomysł - wysyczałam, trzęsąc się ze złości.

W tym momencie ktoś zaczął walić do drzwi. Marta, wciąż w worku na śmieci i maseczce z mojej pończochy, zapytała mnie wzrokiem, czy ma otworzyć. Pokiwałam głową, wysłuchując jednocześnie obelg Gracjana.

W progu stał Marcel. I najwyraźniej na widok Marty radykalnie odebrało mu głos, chyba pierwszy raz w życiu.

- Gracek, muszę kończyć, przyjechał... przyjechał weterynarz do Dropsa - rzuciłam, unikając imienia Marcel. Mój eks i tak wiedział, o kim mówię.

- Nie życzę sobie, żeby twój kochanek zajmował się moim kotem, zapamiętaj to sobie.

- Marcel nie jest moim kochankiem - zaprotestowałam.

- Może nie jest, ale był. I pewnie jeszcze nie raz będzie. - Gracek zaprezentował dar jasnowidzenia. - Przerывam urlop i wracam do Polski.

- Świetny pomysł, byle szybko - ucieszyłam się, jednocześnie dając Marcelowi znaki, żeby wszedł do środka.

Kot chyba poczuł jego zapach i najwyraźniej skojarzył go z bólem. Usiłował wstać i uciec z koszyka. Marta zacisnęła powieki i próbowała do tego nie dopuścić, przyciskając go gumową rękawiczką do kocyka. Drops wył wniebogłosy.

- Wracam najbliższym samolotem! - rzucił Gracek i nareszcie się wyłączył.

Stałam na środku pokoju. Marta wciąż przyciskała kota do dna koszyka tak mocno, że obawiałam się o jego pozostałe kości. Marcel wciąż się nie odzywał, zafascynowany strojem Marty. A ja wciąż się trzęsłam ze złości na Gracjana.

Ciszy nie przerywały nawet piski kota, który nagle chyba zrozumiał, że nie wygra z gumową rękawicą, i przestał się wyrywać.

- Oę ił? - zapytała Marta przez maskę, która nieco się jej przesunęła, zatykając wacikami szczelnie usta i nos.

- Słucham?

- Yłał y oę usz ił? - Chyba rozwinęła swoją wypowiedź.

- Słucham?!

Poderwała się z miejsca, zostawiając kota, i wybiegła na klatkę schodową. Tam zdarła z siebie strój badacza ufoludków, odkaszlnęła dramatycznie i wrzasnęła (nareszcie bez maski):

- Pytałam, czy mogę już iść! No i chyba mogę, tak?

- Oczywiście, że możesz - odparłam, wciąż z trudem łapiąc oddech.

- Po co te worki? - zapytał Marcel spokojnym głosem. - Czy pani się czegoś boi?

- Boję się kotów - syknęła Marta zza drzwi. - A dokładniej toksoplazmozy.

- Czy pani jest w ciąży? - zapytał. Ciekawe, skąd mu to przyszło do głowy. - Koty mogą być niebezpieczne tylko dla kobiet, które spodziewają się dziecka. Czy pani... ?

- Tak... Nie... Nie wiem... - Marta nagle zrobiła się czerwona, potem blada, a potem zatrzasnęła za sobą drzwi. Słysząc było tylko stukanie jej obcasów na schodach.

- Następną, która od lat stara się zająć w ciążę i świruje - zdiagnozował Marcel. - Kot, jak widzę, ma się nieźle.

Możemy więc napić się wina. Masz za sobą chyba strasznie ciężki dzień. Zrobię ci coś do jedzenia. Zobaczmy, co masz w lodówce. O Boże, kobieto, ty nie powinnaś mieszkać sama! Naprawdę zamierzasz się żywić wyłącznie warzywami?

MARTA

Lena zadzwoniła do mnie w samo południe. Żeby podziękować. Dzięki mnie nie wyleciała z pracy. Mówiła o tym chyba z dziesięć minut, wyrzucała z siebie dosłownie potoki słów. Tak naprawdę chyba chciała mówić o czymś zupełnie innym. Postanowiłam ją wyręczyć.

- Chcesz wiedzieć, czy jestem w ciąży, tak? - wypaliłam prosto z mostu, bo nie znoszę niedopowiedzeń. - Nie jestem. Już wiem, że nie jestem. Wczoraj miałam jeszcze nadzieję, dziś już nie mam. Może się uda za miesiąc? Tak, staram się o dziecko, jeśli musisz wiedzieć. Wolałabym jednak, żebyś zachowała to dla siebie. Niepotrzebne mi współczucie Nory i całej reszty.

- Jasne. - Słyszałam wyraźnie, że Lena jest zakłopotana. I chyba...

- Za dużo wypiałś? - zgadłam od razu. - To przez tego kota? Jak on się czuje?

- Kot? - Lena chyba zupełnie nie kojarzyła, gdzie jest. - Cholera jasna, kot. Zapomniałam! Cholera, poczekaj, nie widzę go! Dropsik? Dropsiu, gdzie jesteś? Cholera! Marcel, widziałeś kota? Marcel? Marta, przepraszam, zadzwonię później. Mam kłopot, kot zniknął. Cholera jasna, przecież nie otwierałam balkonu!

Odłożyła słuchawkę. Cholera jasna, tak? Cholera jasna, ten weterynarz najwyraźniej spędził u niej noc! I to wcale nie z powodu kota. Oni nawet nie wiedzą, gdzie jest pacjent! A to oznacza, że... no tak. Na pewno ze sobą spali.

Nagle przed oczyma stanęły mi silne, ruchliwe plemniki weterynarza. On na pewno nie ma problemów z jakością

nasienia. On mógłby zostać ojcem w każdej chwili. Powinnam chyba zadzwonić do Leny i powiedzieć jej, żeby skorzystała z tego, co się jej pcha w ręce. No, może niedokładnie w ręce. Jest jeszcze młoda, pewnie zajdzie w ciążę bez problemu. Z jurnym weterynarzem. Ależ ja bym chciała być na jej miejscu!

Przez sekundę, pół sekundy dosłownie, miałam ochotę zadzwonić i zapytać, czy nie zechciałaby zostać matką zastępczą.

Boże, jakie idiotyczne pomysły przychodzą mi do głowy! A przecież wiem doskonale, że Piotr nigdy się nie zgodzi na adopcję. Nie tylko na adopcję gotowego dziecka, ale nawet komórki jajowej. Podsunęłam mu ostatnio artykuł Nowe wynalazki w służbie płodności, nawet nie doczytał do końca. Bo nas to nie dotyczy. My mamy spłodzić nasze dziecko naturalnie. Naturalnie i już, tak?

Tylko jak to zrobić?

A Lena... Lena pewnie robi, co może, żeby nie zajść w ciążę z jednym ze swoich adoratorów o dziwnych imionach. Gracjan, Marcel. Ciekawe, kogo jeszcze ma na składzie. Założę się, że nie ma wśród nich żadnego Krzyśka, Wojtka albo Pawła.

LENA

Paweł zadzwonił dokładnie w chwili, kiedy Marcel smażył jajecznicę na późne popołudniowe śniadanie, nie zdejmując lewej ręki z mojego poślodka. Wyglądał na wniebowziętego. Jakby chciał tu wrócić na dobre i spędzić resztę życia, smażąc jajecznicę z pieczarkami i trzymając mnie za pupę.

Nagle jednak zadzwonił Paweł.

- Lecisz służbowo do Stanów, prawda? - Bardziej stwierdził, niż zapytał. - We wtorek, prawda?

- Skąd to wiesz? - Byłam wściekła na tego, kto mu powiedział. Kimkolwiek był.

- Nieważne. Potrzebuję mojego obrazu. Wiesz, kubiści XXI wieku.

Kubiści XXI wieku? Czyli nieudolna podróba wszystkich sławnych kubistów, połączonych w jednym dziwnym pseudodziele? Tkwiąca do niedawna w piwnicy, za regałem ze słoikami dżemu jagodowego mojej mamy? I wyciągnięta stamtąd tydzień temu z powodu remontu pionów wodno-kanalizacyjnych w całym bloku? I zawieszona chwilowo na jedynym porządnym haku w moim mieszkaniu?

- Mam nadzieję, że odpowiednio o niego dbasz? Wiesz, ten obraz potrzebuje stałej temperatury powietrza, nadmierna wilgotność i chłód mogłyby być zabójcze.

Czekałam, aż doda, że trzeba go przechowywać w półmroku, jak pastele impresjonistów w paryskim d'Orsay. O dziwo, półmrok sobie darował.

- Paweł, nie wybieram się do Miami, tylko do Nowego Jorku, mam zaledwie trzy dni na wszystkie spotkania, naprawdę nie mogę... - próbowałam wyjaśnić, lecz on nie zamierzał mnie wysłuchać.

- Zostawiłem ci mieszkanie, samochód, firmę. - Jego głos był zimny jak lód.

- Firmę? Ty dupku! Zostawiłeś mi kupę długów i wściekłych kontrahentów, których zawiodłeś! Przez rok wiałam się jak piskorz, żeby ich pospłacać i zamknąć tę firmę, zanim ktoś zamknie mnie!

- Mieszkanie, samochód, firmę i nazwisko - kontynuował niezrażony. - W zamian chcę tylko kubistów. Masz mi ich dostarczyć do Miami. Over.

Over??? Cholerny James Bond! Over! Bez odbioru! Sygnał ciągle w słuchawce. Duppek! Cholerny duppek!

- Nazywam się Tokarska od urodzenia. - W tej samej chwili płakałam na ramieniu Marcela. - Jak on może

podarować mi coś, co mam od trzydziestu dwóch lat? W zamian za kubistów?

Marcel nie powiedział ani słowa, tylko zaczął mnie całować. Po czole, po włosach, po policzkach, po których płynęły łzy. A potem po szyi.

Po raz trzeci w ciągu ostatnich dwunastu godzin wylądowaliśmy w łóżku, pod którym leżał Drops. Nad nami, na haku po dawnej rurze centralnego ogrzewania, wisieli ci cholerni kubiści. Dwa metry na dwa i pół.

Nagle ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Pewnie listonosz z jakimś poleconym. Chociaż nie, listonosze nie chodzą w sobotę. Włożyłam szlafrok i ruszyłam do drzwi, nakazując Marcelowi wzrokiem, żeby pilnował kota.

- Jestem weterynarzem, nie zrobię mu krzywdy - roześmiał się, siadając na łóżku.

W progu stał Gracjan, trzymając w dłoni moją pończochę samonośną, wypchaną wacikami. Maską ochronną Marty, rany boskie!

- Rany boskie, orgie na klatce schodowej? - Pokręcił głową z niesmakiem. - Drops, nie martw się, twój pan się tobą zajmie. Czy możesz mi podać jego klatkę? Nie wiedziałem, że jesteś tak nieodpowiedzialna. Twój szef naprawdę powinien się o tym dowiedzieć.

Rozdział 6

Pingwiny na Giewoncie

LINA

Trzęsłam się przez pół lotu do Stanów. Ze śmiechu, na wspomnienie tej całej afery z Dropsem. I ze złości, na myśl o kubistach, przez których o mały włos w ogóle bym nie odleciała. Bo nie miałam jakiegoś papieru, który by stwierdzał, że to nie jest dzieło sztuki ani przedmiot o wartości historycznej. Chryste, wystarczy przecież na to spojrzeć, by nie mieć żadnych wątpliwości! W dodatku w walizce wiozłam dwa kilogramy gliny, szczelnie owiniętej folią, żeby nie wyschła. Wiedziałam, że opuszczę następne zajęcia, i z jakiegoś powodu było mi smutno. Przyzwyczaiałam się do tych czwartkowych wieczorów w Norce u Nory. Traktowałam dziewczyny jak przyjaciółki, chociaż nie miałam do tego żadnego prawa. Nie można być przyjacielem kogoś, kogo się okłamuje. A jednak... Chyba od dawna nie miałam żadnej prawdziwej przyjaciółki. I może właśnie dlatego tak szybko poczułam się z nimi związana. A może powody były całkiem inne...? Nieważne. Grunt, że wpakowałam tę glinę do walizki i obiecałam sobie, że w czwartek o 19.00 polskiego czasu wyjmę ją i coś ulepię. Coś małego, krzywego dzięki czemu będę w pewien sposób z dziewczynami.

Nie wyszło. W czwartek o 19.00 polskiego czasu w Miami właśnie dochodziło południe. A ja zupełnie nie miałam głowy do gliny i telepatycznego połączenia z Norką u Nory.

GOŚKA

Dostałam dziś propozycję pracy. Naprawdę fantastycznej i dobrze płatnej. Oczywiście, od razu odmówiłam. Nie tylko dlatego, że niedługo wyjeżdżam z Polski na stale. Nawet gdybym nie wyjeżdżała, etat by mnie nie interesował. Wyrosłam z pracy na etacie już dawno temu. To straszna strata czasu. Robię swoje w trzy godziny, a przez następnych

pięć udaję, że pracuję. To nie dla mnie. Zresztą, Cloe potrzebuje mnie w domu. Muszę ją odebrać ze szkoły, zaprowadzić na basen, potem na francuski...

- Wyjedziemy do taty wtedy, gdy wreszcie stracę polski akcent? - zapytała mnie dzisiaj po południu. - Tata nie chce, żeby się ze mnie śmiali w szkole, i dlatego czeka z przysłaniem po nas samolotu?

Nieźle to sobie wymyśliła.

- Tata nie przyśle samolotu - zaczęłam od wyprostowania tego, co najłatwiejsze. - Polecimy dużym samolotem, zwyczajnie. Tak jak zawsze latamy na wakacje. Z innymi ludźmi.

- Ale przecież tata ma swój własny samolot, prawda? - Cloe była uparta. - Dlaczego go po nas nie przyśle?

- Bo to mały sportowy samolocik. - Uśmiechnęłam się. - Nie można nim lecieć tak daleko. Tata lata nim nad winnicą. Ogląda z góry cały teren. Czasami leci nad morze, popatrzeć na fale. - Trochę improwizowałam. Nigdy przecież nie pytałam Claude'a - Oliviera, po co mu tak naprawdę ten samolot, na który wydał fortunę w zeszłym roku.

- Będę mogła z nim polatać? Jak się już przeprowadzimy? - nie ustępowała Cloe.

- Nie jestem pewna. Nie wiem, czy w takim samolocie są dwa miejsca, czy tylko jedno. - Naprawdę tego nie wiedziałam.

- Nigdy nie leciałaś z tatą? - Cloe wyraźnie się zdziwiła. Pokręciłam głową.

- Musisz mu powiedzieć, że o tym marzysz. - Moja córka najwyraźniej miała plan. - Chcesz, to ja do niego zadzwonię i mu powiem? Mnie nie odmówi.

- Wiem - przytaknęłam. - Tobie nikt nie umiałby odmówić.

- W takim razie zadzwonię i zapytam, czy cię przewiezie samolotem. I czy przygotował już dla mnie pokój. Pani Irenka mówi, że już prawie nie mam polskiego akcentu. Niedługo możemy się przeprowadzać.

Cloe podała mi komórkę i zaczęła niecierpliwie stukać małymi paluszkami w stół. Zupełnie jak facet przy barze, czekający na swojego drinka. Musiałam szybko coś wymyślić.

- Nie możemy o tej porze dzwonić do tatusia. Jest w piwnicy. Ogląda najstarsze butelki wina, te najcenniejsze. Telefon nie ma tam zasięgu.

- Na Gwiazdkę kupimy mu taką specjalną antenkę wzmacniającą - natychmiast postanowiła Cloe. - Widziałam reklamę w telewizji. Można rozmawiać przez telefon w windzie i w piwnicy. Tata już zawsze będzie mógł się z nami połączyć. Fajnie, nie?

- Fajnie - powiedziałam i się do niej uśmiechnęłam.

Co za spryციuła z tej mojej córki! Ciekawe, po kim ona to ma?

- A jak zabierzemy moje łóżko do samolotu? - Nie ustępowała Cloe.

- Nie zabierzemy. Tata kupi ci nowe łóżko - obiecałam.

- W takim razie muszę do niego wieczorem zadzwonić - stwierdziła Cloe. - Bo on chyba nie wie, że ja najbardziej lubię kolor zielony. Jak myślisz?

- Chyba nie wie - przytaknęłam. Skąd miałby wiedzieć? Nie widzieli się przecież od pół roku, a Cloe lubi ten kolor dopiero od pięciu tygodni. Czyli od dnia, kiedy postanowiła, że jak dorośnie, to założy hodowlę żab. - Zadzwonię do taty i mu powiem, że łóżko koniecznie ma być zielone - zapewniłam ją. - A teraz wkładaj buty, podrzucę cię do babci.

- Wykluczone, nie mogę dziś zająć się Cloe - powiedziała mama przez domofon. - Mam inne plany. Właśnie zadzwoniła Kryśka, że zdobyła bilety do filharmonii. Sama rozumiesz.

Cloe wyglądała, jakby zamierzała się rozplakać.

- Nikt mnie nie chce - szepnęła z buzią w podkówkę. - Ty nie masz dla mnie czasu, babci przeszkadzam, ciocia Iza wyjechała do Anglii i już o mnie nie pamięta, a tata nie chce mnie widzieć...

- Kto ci naopowiadał takich głupot? - wściekłam się. - Tata bardzo cię kocha, babcia i ciocia też. A ja nie marzę o niczym innym niż lepienie garnków razem z tobą. Chcesz iść ze mną do tej pani, która ma pięciu rudych synów? Pamiętasz, opowiadałam ci o nich.

- Mówiłaś, że to nie są zajęcia dla dzieci i że nie ma tam dla mnie miejsca. - To dziecko najwyraźniej ma doskonałą pamięć, po mamusi. - I że ci chłopcy są bardzo smutni i na pewno nie chcieliby się ze mną bawić.

- Dziś nie będzie Lenki, wyjechała do Stanów, więc miejsce się znajdzie. - Przytuliłam ją do siebie. - A Nora i Marta na pewno chętnie cię poznają.

- Synowie Nory też? - Głosik Cloe stał się nagle zalotny. - Już nie są tacy smutni?

Synowie Nory otoczyli Cloe wianuszkami. Jeden przez drugiego tłumaczyli jej, jak się toczy na kole, dlaczego glinę wyrabia się na gipsowym stole, co to jest szlam i mnóstwo innych rzeczy. Nawet Nora była zaskoczona.

- Podrapać, posmarować szlamem. I dopiero potem zlepić dwie powierzchnie. Dzięki temu nie rozejdzie się w czasie schnięcia ani w piecu - powtórzyła zdumiona za Jonkiem.

Cloe z pomocą pięciu rudzielców zrobiła piękne pudełko na ołówki. Równiutkie ze wszystkich stron. Ze wzorkiem w szarotki.

- To dla taty. On kocha Tatry, a symbolem Tatr jest szarotka - wyjaśniła Cloe głośno i wyraźnie. - Mój tata mieszka we Francji, a tam w ogóle nie ma Tatr, wiecie?

- A co jest? - zapytał Jeremi zdezorientowany.

- Nic. Tam nie mają gór. Jest całkiem płasko i z każdego domu widać morze - wyjaśnił mu Janek.

- Mają góry, ale inne - wtrącił się Jonek. - Takie spiczaste, z zaokrąglonym końcem i na nich mieszkają pingwiny.

Hmm. Chyba należało zrobić porządek z wiedzą geograficzną tych dzieci. A Nora nic, nie reagowała. Zupełnie jakby tego nie słyszała! Byłam już pewna, że ma depresję. Osoba bez depresji nie mogła przecież słuchać tego spokojnie. W końcu to są jej dzieci, ich przyszłość powinna być dla niej najważniejsza!

- Nasz tata też kocha góry - powiedział Jędrzek i wybiegł z pracowni.

Julek popędził za nim.

NORA

Śliczna ta córeczka Goški. I jaka rezolutna! Ech... Za każdym razem byliśmy z Jackiem przekonani, że urodzi nam się córka. Miała mieć na imię Julia. Zamiast niej urodził się Julek. Julek i Julka - tak, to byłoby fajne. A więc czekaliśmy na młodszą siostrę dla naszego Juliana. Urodził się Jędrzej. A potem bliźniaki. I w końcu Jeremi. Mieliśmy zamiar spróbować jeszcze raz. Jacek marzył o dziewczynce. Powtarzał, że spróbujemy, gdy tylko Jonek i Janek pójdą do pierwszej klasy. Za niecały rok.

No cóż, już nie będę miała córki.

Patrzyłam na Goškę, gdy nie widziała. Miała w oczach jakiś taki smutek. Gdybym jej nie znała, stwierdziłabym, że jest bardzo nieszczęśliwą kobietą. Słuchała przekomarzania się Cloe i moich chłopaków i wyraźnie była smutna. Czyżby marzyła skrycie o synu? A może myślała o swoim mężu? O ile to w ogóle jest mąż? No, o tym facecie od wielkiej winnicy we Francji, czyli ojcu Cloe. Miały chyba wyjechać do niego na stałe jeszcze przed Gwiazdką, mówiła o tym tyle razy. A teraz nic, cisza, w ogóle nie wspomina o przeprowadzce. A Boże

Narodzenie już tuż - tuż, zaraz zacznie się grudzień. O Boże, jak ja mam urządzić chłopakom te święta? Mam udawać, że to radosna okazja? Śmiać się z nimi, śpiewać kolędy i lepić pierogi? To chyba ponad moje siły...

LENA

Gośka umówiła się ze mną i z Martą pół godziny przed następnymi zajęciami na stacji benzynowej. Nie chciała powiedzieć, o co chodzi. Zaintrygowane stawiliśmy się punktualnie. Zresztą Marta chyba nigdy się nie spóźnia. Ceni czas swój i innych, jak to powtarzała wiele razy przy najróżniejszych okazjach. Ja też się nie spóźniłam, sama nie wiem jakim cudem. Jechałam przecież prosto z lotniska.

- Moim zdaniem Nora ma depresję - oświadczyła Gośka. - Musimy jej pomóc. Znalazłam terapeutkę, która będzie z nią pracować. Raz na tydzień, całkiem za darmo. To nie jest żadna znana terapeutka. Dziewczyna dopiero zaczyna, ale jest niezła. Widziałam, jak pięknie pozlepiła rodzinę po zdradzie. Potrzebuje praktyki, więc się zgodziła. Zresztą jest mi winna przysługę. Zajmie się Norą, i już. W razie potrzeby skonsultuje się z psychiatrą, który przepisze leki. Kłopot w tym, że Nora na pewno nie będzie chciała do niej chodzić. Powie, że nie może zostawić dzieci wieczorem samych. Mogę się założyć. Więc musimy jej wytrącić broń z ręki. Zaproponujemy, że będziemy się chłopakami zajmować przez te dwie czy trzy godziny raz w tygodniu. Co wy na to?

- A może odwrotnie? - podsunęła Marta. - Może powiemy, że to oni muszą zająć się nami? To znaczy, że chcemy trochę poćwiczyć toczenie na kole i dłubanie wzorków, a Julek i Jędrzej są w tym najlepsi, bo regularnie pomagali ojcu...

- To jest myśl! - zapaliła się Gośka. - Tak, to się może udać. My będziemy wdzięczne jej, a nie ona nam. Tak! Marta, jesteś genialna!

No i tym sposobem zaczęłyśmy przychodzić do Norki dwa razy na tydzień: raz na lekcje u Nory, a raz u Julka i jego młodszych braci. Nawet Jeremi upierał się, że pokaże nam, jak lepić języki. A my oczywiście nie miałyśmy nic przeciwko temu.

Rozdział 7

Fioletowe podkolanówki

GOŚKA

Dziś Nora przysłała w nowych okularkach. Podobno kupiła je na raty, z wielkim rabatem. Niby u jakiejś ciotki Leny, która jest optykiem. Tryskała energią i postanowiła przeprowadzić prawdziwą lekcję. To znaczy: pokazać nam nową, wspaniałą technikę.

- Na kole toczycie z Julkiem we wtorki, więc dzisiaj zrobimy coś zupełnie innego. Będziemy lepić z wałeczków - oznajmiła radośnie. - Czyli budować wielkie formy z niezbyt grubych, długich pasków gliny, o przekroju koła. To bardzo proste. Robimy wałeczki, tysiące wałeczków... i nalepiamy je jeden na drugi, formując naczynie i nadając mu pożądany kształt. W podobny sposób robili gliniane misy Indianie, wieki temu.

Jakoś mnie ta metoda nie przekonała. Ugniatanie w dłoniach setek wałeczków? A potem jeżdżenie nimi po stole, jak Cloe plasteliną? Po to, żeby były równe i obłe? Wydaje mi się to kolosalną stratą czasu. Przyszłam do Norki tylko na godzinę. Potem wybierałam się na spotkanie organizacyjne kursu tańców w kole, wyłącznie dla kobiet. Chciałam zrobić szybko coś fajnego z gliny. Rozejrzałam się dookoła. Pod oknem leżał stary kawałek drutu. Niewiele myśląc, złapałam go i wygięłam tak, by powstała pętelka. Takie oczko. Wyrównałam, by było całkiem okrągłe. A potem wbiłam je w kostkę gliny i pociągnęłam. I proszę, miałam wałeczek. Równy, obły, taki jak trzeba.

- Powinien być chyba trochę węższy, to znaczy o trochę mniejszym przekroju - powiedziała Nora niepewnie.

Nie ma sprawy. Zmniejszyłam pętelkę.

A potem zauważyłam kubek, w którym pełno było takich pętelek. Metalowych, okrągłych, na drewnianych uchwytach.

Pewnie ktoś wyprodukował je specjalnie do robienia wałeczków. Nora najwyraźniej wciąż nie wie, co ma w pracowni. Warto byłoby kiedyś usiąść z książką albo z jakimś doświadczonym ceramikiem i przejrzeć te wszystkie narzędzia. Może dzięki temu nie będzie proponowała nam robienia ręcznie tysiąca głupich wałków?

- Początkujących należy zachęcać, żeby robili wałeczki wyłącznie ręcznie, bez używania narzędzi - odczytała z grubej książki, najwyraźniej odgadując moje myśli. - Pozwala im to zaprzyjaźnić się z gliną. Czują, jak nabiera kształtu pod ich palcami, w sposób niemalże organiczny.

Jasne, organiczny. Ja dziękuję. Zaprzyjaźnię się z nią w inny sposób.

- Podstawę naczynia możecie zrobić z wywałkowanego plastra - powiedziała Nora.

Złapałyśmy więc za wałki do ciasta i pochyliłyśmy się nad stołami.

W tej samej chwili do pracowni zajrzał niewysoki facecik w okularach, z wielkim pudłem pod pachą.

- Robicie pierogi? - zapytał jakimś takim ciepłym głosem i rozejrzał się dookoła.

- Bardzo śmieszne! - prychnęła Nora. A on się zaczerwienił.

Postał chwilę, porozglądał się. A potem podał jej pudełko i wyszedł. Bez słowa, zawstydzony i niepewny.

Szybko wymieniłam porozumiewawcze spojrzenia z Leną i Martą. Wszystkie trzy najwyraźniej myślałyśmy o tym samym: ten facet kocha się w Norze. A przynajmniej się w niej podkochuje. Musimy coś zrobić, żeby zwróciła na niego uwagę. Może wreszcie przestałaby w kółko wspominać swojego idealnego Jacka! Oczywiście, wiem, że to jeszcze trochę za wcześnie. Tamta sprawa jest bardzo świeża. Wiele razy słyszałam, jak ksiądz Marek mówi, że żałoba powinna

trwać co najmniej rok, że to naturalny cykl, pozwalający przeżyć wszystkie święta, urodziny, imieniny, wakacje itp. bez zmarłego. I poczuć ból tego pierwszego razu w samotności. Ból, który potem zamieni się w ukojenie, czy coś w tym stylu. No ale skoro trafia się taki kandydat, to trzeba go łapać! I trzymać w pogotowiu, aż Nora będzie gotowa na nowy związek. Terapia na pewno w tym pomoże.

MARTA

Widziałam tego faceta już drugi raz. Kiedyś był tu, jak przyszedłam na zajęcia jako pierwsza, punktualnie o osiemnastej. Siedział i rozmawiał z Norą. A gdy mnie zobaczył, od razu się poderwał z miejsca i uciekł. Wtedy też zostawił Norze takie wielkie pudło. Wielkie i chyba ciężkie. Schowała je głęboko pod stół i nie chciała, żebym jej pomogła je przestawić w inne miejsce. Ciekawe, co tam jest? Co takiego jej przynosi?

Rozmawiałam o tym po lekcji, tej z lepieniem z wałków (bardzo fajna metoda!), z Gością i Leną. Jak zwykle stałyśmy pół godziny przy samochodach. Akurat padał śnieg, pierwszy porządny śnieg w tym roku. Przez ploty musiałyśmy dwa razy odśnieżać szyby. Ciekawe, co będzie wiosną, gdy pojawią się komary? Też będziemy tak stały i gadały, a one będą jadły kolację wprost z naszych rąk i gołych łydek? Lenka uważa, że to gość z pomocy społecznej albo jakiejś fundacji, który przynosi Norze jedzenie dla dzieci. Pewnie zauważył, że matka ma depresję i nie zaprzęta sobie głowy dostarczaniem im pożywienia. Może i tak. Ja jednak wolę koncepcję Gości, że on się śmiertelnie kocha w Norze. Co prawda nie wyjaśnia to sprawy wielkich pudeł, ale co tam. Miło by było, gdyby Nora znów miała faceta, tak? Jasne, że tak. A więc musimy coś zrobić w tej sprawie. Gośka kazała nam na następne zajęcia zapisać na kartkach po trzy pomysły na to, jak możemy go zatrzymać dłużej w Norce, kiedy znowu

przyjdzie. Albo, jeszcze lepiej, pomyśl na to, jak możemy się przekonać, czy naprawdę jest zakochany w Norze po same uszy. Myślę, że jest zakochany, na pewno jest. Był przecież speszony samą jej obecnością. Co by to mogło oznaczać innego?

Zasadniczo nie lubię ludzi, którzy się peszą z byle powodu. Miałam kiedyś taką pracownicę, co chwilę stawała w pąsach. Strasznie mnie to denerwowało. W końcu powiedziałam jej, żeby zrobiła coś z tą nieśmiałością, bo to źle działa na klientów. Porażka. Na szczęście sama złożyła wypowiedzenie i odeszła.

Teraz mam wyłącznie pracowników, którzy umieją panować nad emocjami. Trochę to trwało, jednak stworzyłam zespół prawie idealny. Nie ma plotek, chichotania, ukrytych motywacji. Wszystko działa jak w zegarku. W poniedziałek Magda wyjeżdża na szkolenie, w środę wraca, a na dwutygodniowy staż wyjeżdża Michał. Mają możliwości rozwoju, uczą się nowych rzeczy, dobrze zarabiają. To idealna sytuacja nie tylko dla mnie, lecz także dla nich. Prezesi też są zadowoleni. A ja bardzo lubię patrzeć, jak podskakują z radości na widok pnących się w górę wykresów sprzedaży naszych gier.

Gdyby tylko w życiu prywatnym mogło być równie prosto... Piotr unika tematu dziecka jak ognia i powtarza, że mamy jeszcze dużo czasu i nie mam się czym martwić. Jasne, on ma mnóstwo czasu. Do osiemdziesiątki. Charlie Chaplin płodził dzieci do końca życia, Picasso chyba też. Niestety, zegar biologiczny kobiet tyka znacznie szybciej. Mój zegar... Nie, on nie tyka, on wyje na alarm. Ciekawe, ile cykli zostało mi do menopauzy. Sto? Pięćdziesiąt? Dwanaście? Czytałam o dziewczynach, które przekwitają już koło czterdziestki. Kto wie, jak będzie ze mną? Samo słowo menopauza brzmi koszmarne. A Piotr tego nie rozumie. No dobrze, wiem, był

ze mną w klinice, nawet trzy razy. Chciał spróbować. „Skoro tak ci, kochanie, zależy na tym badaniu”. Tak, zależy mi. Jak cholera. Nic mu z tego nie wyszło. Bo nie umie się wyluzować na żądanie. Wczoraj rozmawiałam o tym z doktor Pawłowską. Chciałabym jakoś wesprzeć Piotra. Klinika jest przygotowana na takie sytuacje. Lecz mój mąż to wyjątkowo ciężki przypadek. Oglądanie pornosów w zacisznym pokoiku na pięterku nad ambulatorium nie pomaga. Moja obecność w tym pokoiku tylko pogarsza sprawę. Raz próbowałam. Lekarz powiedział: „Niech pani pomoże mężowi”. No, to poszłam pomóc, ale nie dał mi się dotknąć.

Doktor Jędras w czasie dzisiejszej rozmowy był bardzo miły i wyjaśnił, że możemy zebrać nasienie w domu i dostarczyć do laboratorium o niemal dowolnej porze. To byłoby idealne rozwiązanie. Tyle tylko, że między zebraniem a dostarczeniem nie powinno minąć więcej niż pół godziny. A my mieszkamy półtorej godziny od kliniki. W nocy jedzie się czterdzieści pięć minut, bo nie ma ruchu. Ale w nocy laboratorium nie pracuje. A zresztą czterdzieści pięć minut to wciąż o kwadrans za dużo.

- Może jacyś znajomi mieszkają bliżej? - podpowiadał lekarz, wyraźnie już zniecierpliwiony. - Wzięliby państwo klucze i wpadli do ich mieszkania, kiedy są w pracy.

Skończyłam tę rozmowę, obiecując, że coś wymyślę i że dostarczymy próbkę jeszcze w tym tygodniu. Tak żeby wyniki były przed moją owulacją.

No i wymyśliłam.

Skoro w klinice Piotr nie umie się wyluzować, trzeba pozyskać próbkę poza laboratorium. I na tyle blisko, żeby plemniki nie wyzdychały, uwięzione w korku na Puławskiej albo na Trasie Łazienkowskiej.

Wzięłam mapę i cyrkiel i zatoczyłam koło. Oczywiście w jego centrum jest klinika. Koło ma promień półtora kilometra.

Niestety, nie ma tam żadnego hotelu. Obawiam się zresztą, że hotel działałby na Piotra podobnie jak klinika. Sytuacja przymusowa i jak on to nazwał: „żałosne tworzenie pozorów naturalności”. Nie znalazłam żadnego miejsca, gdzie takie pozory mogłyby wypaść mniej żałośnie. Parking supermarketu, zwłaszcza w zimowe popołudnie, nie jest chyba wymarzonym miejscem do pobierania próbki. Właściwie jest tylko jedno miejsce, gdzie można byłoby to zrobić.

- Wygodnie, ciemno, ciepło. Jest łazienka - zachwalałam, gdy Piotr wychodził do pracy dzisiaj rano.

Popatrzył na mnie nieufnie.

- Gabinet rentgenologa? Tam chyba jest ciemno - zgadywał. - Widziałem jakąś spółdzielnię lekarską po drodze. A może piwnica? Jakaś dyżurka palacza centralnego ogrzewania w piwnicy? Na pewno jest tam ciepło...

Przerwałam mu. Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam szybko:

- Kino.

A on wyszedł z pokoju. Po kwadransie wrócił.

- Zgoda. Pójdę do kina i to załatwię. Albo do supermarketu. Albo w jakiegokolwiek inne miejsce, które nie jest kliniką i ma toaletę. Tylko o nic już nie pytaj. I się nie wtrącaj. Zrobię to jeszcze dzisiaj. Od razu po pracy. Idealny moment, właśnie kończy ci się okres, cztery dni abstynencji, zalecane przed badaniem, mamy załatwione. Zajmę się tym po pracy, obiecuję. A ty idź lepić miski. Zrelaksuj się i nie myśl o plemnikach.

Jasne! Idź i nie myśl. Jeśli jeszcze raz jakiś facet każe mi się zrelaksować, chyba zacznę wrzeszczeć.

GOŚKA

Marta była dziś strasznie zdenerwowana. Kręciła się po całej pracowni, brała narzędzia i odkładała je, nie używając

ich. Patrzyła na zegarek, na ekran komórki, potem bawiła się kulką gliny.

A kiedy Lenka wpadła do Norki (spóźniona chyba o czterdzieści minut), tłumacząc, że Puławska była zakorkowana w obie strony na amen, Marta cisnęła tą kulką o stół, tak że glina zamieniła się w smutny placek. Odkrobywała ją potem z blatu chyba przez kwadrans. Za to gdy skończyła, sprawiała wrażenie znacznie spokojniejszej.

- Nic nie relaksuje tak jak praca fizyczna - roześmiałam się.

A Marta nagle znów zaczęła wyglądać gorzej.

MARTA

- Mamy to robić w klinice?! - Piotr miał oczy okrągłe jak spodki.

- Nie w klinice, tylko w domu. Potem musimy pojechać do kliniki - wyjaśniłam. - To znaczy... ja muszę. Osiem do dziewięciu godzin po stosunku. Nie mniej i nie więcej. A to oznacza, że...

- Że powinniśmy robić to rano, tak? - westchnął Piotr. - Ale przecież wiesz, że ja rano nie potrafię. Myślę o pracy, nie umiem się odprężyć. No, chyba że w niedzielę.

- W niedzielę klinika jest nieczynna. - Zaczynał mnie denerwować.

Czyżby tylko mnie zależało na dziecku? Przecież to nasz wspólny projekt, tak? Nasze dziecko! Nie udało mu się oddać plemników do badania mimo pięciu prób. A teraz zaczął go przerażać zwyczajny małżeński seks?! Spędziłam dziś godzinę na rozmowie z lekarzem. Szukaliśmy jakiegokolwiek rozwiązania, nawet odrobinę niestandardowego...

- To może wieczorem? Moglibyśmy pójść spać trochę później niż zwykle. - Piotr najwyraźniej postanowił jednak współpracować. - Wiesz, możemy trochę zmienić plan dnia. Oczywiście, w granicach rozsądku.

Oczywiście, w granicach rozsądku. Jasne.

Zmieniliśmy więc plany. Zrobiliśmy to dokładnie o północy. Klinika jest czynna od 8.30. Miałam nadzieję, że uda mi się wejść do gabinetu przed 9.00. Nie spałam tej nocy najlepiej. Kiepsko się śpi z oparciem kanapy zdjętym z tejże kanapy i podłożonym pod biodra, z nogami na piramidzie z poduszek, która rozpada się przy najmniejszym ruchu. Mogłam oczywiście budzić Piotra i prosić, aby mi je poprawił. Chciałam jednak, żeby się wyspał. W końcu miał rano przedrzeć się przez korki i dowieźć mnie, mój śluz i swoje plemniki do kliniki. Koniecznie przed 9.00.

- Objazd! - jęknęłam o 8.25 z tylnego siedzenia.

Leżałam tam, ignorując przepisy o używaniu pasów bezpieczeństwa. Pod biodra wsunęłam kurtkę Piotra, a stopy oparłam o szybę.

- Policja! - jęknął Piotr w tej samej chwili.

Obok moich stóp, ubranych w fioletowe podkolanówki (jedyne, które udało się Piotrowi znaleźć w szafie bez mojej pomocy), pojawił się nagle lizak drogówki.

- Czy tej pani coś dolega? - zapytał policjant, zamiast poprosić o dokumenty.

- Nie - zaprzeczył Piotr, przerażony najwyraźniej wizją wyjaśniania, dlaczego leżę.

- Tak, źle się czuję - interweniowałam. Przecież zaraz dostaniemy mandat za to, że nie zapięłam pasów!

- Wezwę karetkę - postanowił natychmiast blondyn w stalowym mundurze.

No nie! Tylko nie to! Wzięłam głęboki oddech.

- Ja po prostu... Ja nie mogę w tej chwili wstać - wyznałam zgodnie z prawdą. - Ale nic mi nie jest.

- Osoby, którym nic nie jest, wstają bez problemu. - Blondyn najwyraźniej uwielbiał logikę. - Pani nie wstaje, więc coś pani jest. Zgadza się?

- Nie zgadza się. - Cierpliwość właśnie mi się skończyła. - Po prostu mam pochwę pełną plemników. Kiedy usiądę, plemniki wypłyną, zgadza się? - Tak, wiem, nie powinnam przedrzeźniać funkcjonariusza. - Na Ziemi działa przyciąganie ziemskie, tak? Usiłuję je ominąć, jadę bowiem na badanie wrogości śluzu szyjkowego. Musimy sprawdzić, czy mój śluz nie morduje podstępnie plemników mojego męża.

A przy okazji w końcu się dowiedzieć, czy mąż w ogóle produkuje te plemniki. Lekarz już na nas czeka. Musimy dotrzeć do niego przed dziewiątą.

Policjant zrobił się czerwony, potem biały jak ściana, a potem jeszcze bardziej czerwony.

Najwyraźniej nie wiedział, co mi odpowiedzieć.

- Możemy już jechać? - zapytałam, unosząc nieco głowę z tylnego siedzenia i niecierpliwie stukając stopą w szybę.

- Obawiam się, że nie. - Policjant powoli wracał do formy. - To, co pani mówi, w żaden sposób nie usprawiedliwia jazdy bez zapiętych pasów bezpieczeństwa. Muszę wypisać mandat. Czy zechce pani usiąść? Byłoby nam wygodniej.

- Ale naszym plemnikom nie byłoby wygodniej! - warknęłam, doprowadzona do ostateczności. - Piotr, wsiadaj i jedź. Pan może spisać nasz numer i wezwać nas na komisariat. Może pan nas nawet aresztować. Za godzinę. Teraz naprawdę musimy jechać. Piotr, wsiadaj!

Policjant uznał, że to jednak kiepski pomysł. Sam usiadł za kierownicą naszego samochodu i zaczął spisywać dane. Wolno, najwolniej jak się da.

Spojrzałam na zegarek. 8.39. Podjęłam nagłą decyzję. Dbałam o te plemniki bardziej, niż powinnam. Spałam z nogami do góry. Ubierałam się na leżąco. Piotr zaniósł mnie do samochodu na rękach. Żeby tylko żaden cenny plemnik nie wydostał się na zewnątrz. Tak naprawdę było to małe

oszustwo. Chcieliśmy, żeby testy wykazały, że wszystko jest w porządku. A przecież, gdyby było w porządku, dawno już zaszłabym w ciążę. Po co więc to robiliśmy? Doktor mówił wyraźnie: „Zachowywać się tak jak zwykle”. A Piotr zwykle nie nosi mnie na rękach przez cały parking. Więc chyba mogę wstać?

8.40. Oderwałam stopy od szyby, włożyłam buty i puściłam się biegiem w stronę kliniki. Mniej więcej w jej stronę. W końcu zaliczyliśmy objazd i nie byłam pewna, gdzie jestem. Leżąc na tylnym siedzeniu, nie mogłam obserwować trasy.

- W lewo! Biegnij między blokami w lewo! - dopingował mnie Piotr.

- Proszę się zatrzymać! - krzyczał policjant. Czekałam, aż doda: „Stój, bo strzelam!”. Szczęśliwie to sobie darował. Biegłam w lewo, jak radził Piotr. Biegłam i biegłam, i nigdzie nie widziałam budynku, który przypominałby klinikę. Ani nawet ulicy, która przypominałaby jakąkolwiek ulicę, którą znam. Choćby z nazwy. Zateęskniłam za samochodem. W jego schowku na pewno tkwiła mapa Warszawy. Piotr zawsze wozi mapę, w przeciwieństwie do mnie. A to był jego samochód.

W końcu się poddałam i zaczęłam machać na taksówki. Jedna na szczęście była wolna.

- Co, spóźnialska? - zagadał taksówkarz bezpośrednio.

- Słucham? - Nie rozumiałam.

- No, spóźniona do pracy, tak? Karty zegarowej nie da się oszukać. - Najwyraźniej o tej porze woził głównie posiadaczy takich kart.

Wzruszyłam ramionami. Nie było sensu z nim dyskutować.

- Śpieszę się. Bardzo - powiedziałam więc tylko. - Może zna pan jakiś skrót?

Znał, a jakże. Wpakował się w ten sam objazd, po którym krążyłam z Piotrem dwadzieścia minut wcześniej. O mały włos, a wpakowałby się także w tył naszego krzywo zaparkowanego samochodu.

- O, złapali jakiegoś frajera - zachichotał złośliwie. - Pewnie nie zauważył, że jest na podporządkowanej i wymusił pierwszeństwo.

Policjant zasalutował Piotrowi, zamykającemu właśnie drzwi swojej toyoty, i machnął lizakiem przed nosem taksówkarzowi, przepuszczającemu wszystkie samochody z lewej i z prawej strony.

- Jeździmy na pamięć, tak? - powiedział, wkładając głowę przez okno. - Jest objazd, zmieniono znaki. Od wczoraj ta ulica nie jest podporządkowana. Miał pan pierwszeństwo. Poproszę dokumenty.

W tym momencie zauważył mnie kątem oka. Przez twarz przebiegł mu dziwny grymas.

- Daleko to pani nie ujechała - mruknął. Miałam dość.

Wybiegłam z taksówki i ruszyłam w pogoń za samochodem Piotra. Bez skutku. Nadal nie nauczył się patrzeć w lusterko wsteczne. Oblał z tego powodu trzy egzaminy na prawo jazdy i wciąż nic! Tupnęłam ze złości, czując coś lepkiego na udzie, a potem na łydce. Najwyraźniej ostatni żywy plemnik wydostał się właśnie na zewnątrz. Spojrzałam na zegarek. 9.30. Nie było sensu iść już do kliniki, bez względu na to, gdzie się przede mną ukryta.

- Należy się dwanaście złotych! - zawołał taksówkarz, wychylając się zza policjanta.

A ja dopiero teraz zauważyłam, że nie zabrałam torebki ani komórki. Zostały na tylnym siedzeniu. Klucze do domu też. Musiałam więc iść do pracy w fioletowych podkolanówkach. I błagać taksówkarza, żeby przyjechał po

pieniądze wieczorem do mnie do domu. Zgodził się - za pięć dych.

GOŚKA

Marta przyszła dziś do pracowni w naprawdę niesamowitych podkolanówkach. Zawsze myślałam, że brakuje jej polotu. Ubierała się w garnitury albo grzeczne sweterki i spodnie w kancik. A tu nagle, proszę bardzo: szeroka falbaniasta spódnica i fioletowe podkolanówki. Między ostatnią falbaną a ściągaczem podkolanówek wyraźnie lśniły gołe kolana. Pod koniec listopada!

- Super! - pochwaliłam szczerze.

- Nie pytaj - mruknęła. - Miałam koszmarne dzień... Nie pytałam. Ona niechętnie mówi o problemach. To błąd.

Najważniejsze to nie kisić złości, smutku, lęku. Mówiłam jej chyba ze sto razy. No, ale Marta najwyraźniej nie potrafi inaczej. Nora chyba też. Nie to nie. Wyciągnęłam aparat. Miałam na karcie zdjęcia z pobytu we Francji. Już dawno chciałam im pokazać, gdzie będę mieszkać.

- To winnica Claude'a - Oliviera. - Pokazałam najpiękniejsze, jakie udało mi się zrobić. - Widzisz te winogrona po lewej? To wyjątkowo rzadki szczep. W dobrym roku robi się z niego sto butelek wina. W gorszym dwadzieścia albo trzydzieści. Każda z nich warta jest fortunę.

- Gdzie jest dom? - zapytała Nora, spoglądając przez ramię milczącej Marcie.

- Tam, w głębi. - Pokazałam palcem punkcik na horyzoncie.

- Nie masz zdjęć ze środka? - zdziwiły się obie. Nawet Marta nagle wyraziła zainteresowanie.

- Nie mam. Nie byłam w środku - musiałam przyznać zgodnie z prawdą. - Robiłam zdjęcia z samochodu.

- Z samochodu? - Lena oderwała się od swoich wypieszczonych szamotowych listków. Na moment przestała

rzeźbić w nich igłą drobną siatkę niteczek. I spojrzała na mnie zdumiona.

- Z samochodu - przytaknęłam. - Przecież nie będę tam wchodzić, dopóki nie wyprowadzi się ta... ta... no, ta jego żona. Ekszona. Nie mówiłam wam? On się rozwodzi, od dziesięciu lat. To już nie rozwód, to wojna. Właśnie zaczyna się apelacja w trzeciej instancji. Ta baba chce przejąć winnicę. Udowadnia, że trzydzieści pięć lat temu były tam tylko chaszczce. I że ona postawiła całą tę firmę na nogi. Sąd powołał już dwustu osiemdziesięciu świadków. Nie wiem, ile to jeszcze potrwa.

- No to chyba nie przeprowadzisz się na Boże Narodzenie, tak jak zamierzałaś? - zapytała Nora.

- Chyba nie. - Po raz pierwszy przyznałam to głośno. - Wyjazd nieco się opóźni. Nie mogę na razie pokazywać się w pobliżu. Aż do dnia, kiedy rozwód będzie prawomocny. Claude - Olivier bardzo mnie o to prosił. Nie zależy mi przecież, żeby ta baba zostawiła go bez grosza przy duszy. Ale w lipcu na pewno już będę tam mieszkała. Claude - Olivier obiecał, że ja i Cloe będziemy nadzorować w przyszłym roku zbiór winogron. Cloe będzie miała piękny pokój, z widokiem na winnicę. I własnego konia. Właśnie zapisałam ją na jazdę konną, musi się do lipca nauczyć porządnie jeździć. Claude - Olivier ma jej kupić konia w przyszłym tygodniu. Tak żeby trochę podrósł do naszej przeprowadzki. I żeby Cloe od razu mogła zacząć jeździć. Przyśle nam zdjęcie. I Cloe będzie mogła wybrać mu imię...

- Z tego, co wiem, imiona nadaje się koniom, kiedy jeszcze są przy matce, czyli zwykle w ciągu pierwszych sześciu miesięcy po urodzeniu - mruknęła Lena zupełnie bez sensu. - Wpisuje się je do ksiąg stadnych, do paszportu. Konie mają tyle samo dokumentów co ludzie. Jak wyobrażasz sobie człowieka bez imienia i nazwiska? A ten koń powinien mieć

co najmniej trzy lata, żeby ktoś mógł na nim jeździć w lipcu. Ktoś, czyli doświadczony dorosły, który zajmie się jego układaniem, a nie twoja córka. Ona jest przecież zdecydowanie za mała na konia. Będzie na niego patrzeć przez kilka pierwszych lat...? Chyba lepszy byłby kucyk. Marcel kiedyś miał pod opieką całą stajnię, z końmi skaczącymi przez przeszkody. Wydaje mi się, że mówił...

- Wydaje mi się, że próbujesz mi powiedzieć, że twój Marcel wie o koniach więcej niż mój Claude - Olivier - warknęłam. I zaraz zrobiło mi się głupio. - Przepraszam. Trochę mnie stresuje fakt, że ta przeprowadzka znów się opóźnia. Od sześciu lat żyję na walizkach. Co prawda mamy plan B: zakup domu letniego, gdzie mogłabym zostać z Cloe do czasu uprawomocnienia się rozwodu... Ale to byłaby ostateczność.

Lena przytuliła mnie i szepnęła, że nic się nie stało.

- Przepraszam - powiedziałam jeszcze raz. - Przepraszam was wszystkie. Chyba jestem dziś nie w sosie.

- Ja też - mruknęła Marta. - Miałam cholernie ciężki dzień. Nie mówiłam wam jeszcze, to znaczy, mówiłam tylko Lence...

Wyglądało na to, że Marta wreszcie przestanie kisić swoje problemy i powie, co ją dręczy. Nie zdążyła jednak. Bo do pracowni znów wparował kurdupel z wielkim pudłem. Sapiąc i dysząc, postawił je delikatnie pod stołem.

- Cześć. Dzień dobry. Wszystko gotowe. Nora, te zielone jeszcze poprawiłem, tak jak prosiłaś. No to cześć. Zadzwoń jutro - wyrzucił z siebie jednym tchem, całując ją w policzek. A potem rozejrzał się dookoła i zapytał bez sensu: - Może wam w czymś pomóc?

Nikt się nie odezwał, więc naciągnął czapkę na uszy i wyszedł.

- Cześć, Karol! - zawołała za nim Nora.

No to coś już wiemy. Ma na imię Karol. I są po imieniu. A więc chyba nie przychodzi tu z ramienia pomocy społecznej. Tylko dlaczego poprawił zielone? Co to miało znaczyć?

LENA

Nie podoba mi się ta historia z facetem Goški. Zdecydowanie mi się nie podoba. Nie wolno jej wejść do jego domu. Robi zdjęcia jak prywatny detektyw, z samochodu, pewnie w ciemnych okularach, żeby nikt jej nie rozpoznał. Od sześciu lat ma z nim zamieszkać, lecz nie może, bo on wciąż ma żonę. A Cloe ma dziewięć lat. A więc co się działo przez pierwsze trzy lata jej życia? I gdy Goška była w ciąży? Nie widywała się z tym swoim Claude'em? Nie zamierzali razem zamieszkać?

Coś nie bardzo wierzę w ten jego rozwód i tabuny świadków.

I jest jeszcze coś. Ona powiedziała: „Trzydzieści pięć lat temu”, kiedy ta żona się wprowadziła do winnicy. Czyli ile on ma lat? Sześćdziesiąt? Siedemdziesiąt? Niezły partner dla naszej żywiołowej Goški z czarnym pasem karate, jeżdżącej po śniegu na rowerze i przebiegającej piętnaście kilometrów bez śladu zadyszki. Chciałabym go zobaczyć!

A sprawa Nory i poprawiania zielonych? Aż mnie zmroziło, jak to usłyszałam. Czy ona z biedy wplątała się w jakąś aferę z podrabianiem dolarów? Jeśli tak, to w żaden sposób nie zdołam jej pomóc.

Rozdział 8

Żadnej policji!

MARTA

Kolejna próba dojechania na badanie wrogości śluzu była przekładana z dnia na dzień. Nie ma chyba nic trudniejszego niż namówienie Piotra na seks określonego dnia, o określonej porze.

- Nie mogę, kiedy muszę - jęczy mi zawsze w takich okolicznościach.

- Proszę nie stresować męża - powtarzają mi kolejni ginekolodzy.

A ja już nie umiem mu współczuć. I tak ma sto razy lepiej niż ja! Nikt nie chce mu zaglądać przez miniaturową kamerkę, wpuszczaną przez nacięcie w skórze, do wnętrza jąder i nasieniowodów. Nikt nie każe mu robić świecy, jak na WF - ie w podstawówce, przez kwadrans po stosunku, żeby „szyjka macicy dosłownie kąpała się w życiodajnym nasieniu” - jak to opisała obrazowo jedna z gazet. Nikt nie domaga się, żeby mierzył temperaturę codziennie o 6.30.

- Nie wyglądasz seksownie z tym termometrem w ustach - zażartował kiedyś Piotr.

To znaczy: wydawało mu się, że zażartował. Tego typu żarty od dawna już nie są śmieszne. Tak jak słowo „seksowna” od dawna już nie robi na mnie wrażenia. Nie chcę być seksowna, tylko płodna!

- Może dziś? - zaproponowałam, bez wielkiej nadziei. - Mogłabym pójść jutro do pracy trochę później, prezes wyjechał do Norwegii... No i jest już północ... Idealnie, osiem i pół godziny przed wizytą w klinice.

- Nie mogę cię jutro zawieźć, mam zebranie o ósmej - odparł. I nie wyglądał wcale, jakby mu było przykro.

- Dojadę do kliniki sama - powiedziałam bez zastanowienia. - Jeśli tylko zechciałbyś teraz...

O dziwo, zechciał. Udało się. Pozostała mi tylko realizacja drugiej części planu. Czyli dojechanie do kliniki o własnych siłach, do 9.00. I zatrzymanie w sobie choćby kilku plemników.

Schodzenie po schodach z zaciśniętymi nogami nie jest proste. Zwłaszcza jeśli człowiek spotyka po drodze pięciu sąsiadów.

- Ojej, zwichnęła pani nogę? - zapytała na półpiętrze miła starsza pani mieszkająca nad nami.

Przytaknęłam. Tak, owszem, nogę. Nic groźnego na szczęście. Dziękuję za troskę.

- Ojej, staw biodrowy pani wyskoczył? - To grubas, łysy jak kolano, chyba z parteru. - Też to miałem, endoproteza to jedyne rozwiązanie. Niestety, bardzo kosztowne.

W sprawie biodra nie przytakiwałam. Jeszcze tylko brakowało mi tego, żeby przyszedł do mnie z ulotkami reklamującymi endoprotezy i polecił swojego chirurga!

Młode małżeństwo, którego nie zdołałam przyporządkować do żadnego mieszkania, przywitało się grzecznie w drzwiach klatki schodowej, patrząc na mnie spode łba. Nie skomentowali mojego stanu zdrowia. Kuśtykałam dalej, zaciskając uda i mając nadzieję, że nikt mnie już nie zaczepi. Niestety, bardzo się przeliczyłam.

Z balkonu, chyba na drugim piętrze, jakiś chłopiec krzyknął na cały głos:

- Chce się pani sikać? Niech pani sika na trawnik. Mama mówi, że niezdrowo jest wstrzymywać!

Kilka osób odwróciło się i zaczęło patrzeć na mnie z dziwnymi uśmiezkami. Ktoś głośno zachichotał. Otworzyło się jakieś okno. Niech to szlag! Jak tak dalej pójdzie, będziemy musieli się wyprowadzić z mojego wymarzonego eleganckiego osiedla. Nie wytrzymam, jeśli sąsiedzi zaczną ze mną dyskutować o nietrzymaniu moczu!

Energicznie otworzyłam drzwi do samochodu i mniej energicznie, bokiem, podciągając obie nogi naraz, usiadłam za kierownicą. Teraz pozostawało tylko dojechać do kliniki, wciąż zaciskając uda.

Ruszyłam za gwałtownie. Najwyraźniej niezbyt dobrze mi szło delikatne dodawanie gazu. Potem auto mi zgasło trzy razy z rzędu. Ze sprzęgłem też było kiepsko. Właściwie tylko kręcenie kierownicą przychodziło mi bez trudu.

Na trzecim skrzyżowaniu zaliczyłam silny kryzys.

Na czwartym po twarzy ciekły mi łzy i zastanawiałam się, czemu nie wezwałam taksówki. Oczywiście, znałam odpowiedź: nie chciałam, żeby taksówkarz gapił się dziwnie na to, jak chodzę. No i wygrałam, nie gapił się. Gapiło się za to całe miasto, bardzo zainteresowane tym, co wyczynia na jezdni mój samochód.

- Żadnej policji, żadnej policji - mruczałam pod nosem. Policji tym razem nie było. Przynajmniej do chwili, gdy pięknie zahamowałam na zderzaku nowiutkiej hondy.

- Daje pani pięć tysięcy albo wzywam gliny - zagroził właściciel, wsadzając wielką głowę przez moje okno.

Wybrałam gliny.

GOŚKA

Dziś podwoziłam Martę na glinę.

- Czemu mówisz: „na glinę”? - zdenerwowała się. - Źle mi się to kojarzy. Wiesz, po tej stłuczce...

- „Na ceramikę” brzmi sztywno - roześmiałam się. - „Do pracowni” też. I w dodatku nie wiadomo, o co chodzi. Ja przecież chodzę też czasami w soboty na tkactwo artystyczne. Nie co tydzień, bo strasznie daleko, ale chodzę. A to też pracownia. Więc jak mówiłam „pracownia”, to Cloe nie wiedziała, gdzie właściwie idę. A glina to glina, wszystko jasne.

No tak, wszystko jasne.

- Czyli my jesteśmy nie „dziewczyny z ceramiki”, tylko „dziewczyny z gliny”? - zastanowiła się Marta. - Nawet fajnie brzmi. Chociaż ja najczęściej mówię „gary”. Idę lepić gary, i już.

Wyglądało na to, że wreszcie poprawił jej się nastrój. Zaczęła nawet coś opowiadać o swojej pracy. I o chłopaku, którego musiała zwolnić. I o dziewczynie, którą zwolni, jeśli nie przestanie się spóźniać.

- Masz własną firmę? - zapytałam. Nagle dotarło do mnie, że w gruncie rzeczy nie wiem, w jaki sposób Marta zarabia na życie.

- Chciałabym. - Uśmiechnęła się smutno. - Pracuję u Norwega. Najbardziej zimnego Norwega, jakiego możesz sobie wyobrazić.

Nie ośmieliłam się spytać, czy to przetwórnia łososia, czy import swetrów w płatki śniegu i renifery. Zapytałam za to o Karola. Czy zrobiła listę metod, którymi możemy zachęcić go do bardziej otwartego adorowania Nory.

- Nie zrobiłam. - Pokręciła głową. Jednak wciąż była nie w sosie.

Sos, cholera jasna! Zostawiłam w piekarniku grillowane warzywa z kurczakiem w sosie koperkowym. Miałam je zabrać na glinę. Sernik wzięłam, a o warzywach zapomniałam. W dodatku nie mogłam sobie przypomnieć, czy wyłączyłam piekarnik. Do niani nie ma co dzwonić, na pewno jest z Cloe w bibliotece albo na placu zabaw. Cholera, jak mogłam nie wyłączyć piekarnika?! Nigdy mi się to nie zdarza. To chyba przez tę rozmowę z Claude'em - Olivierem jestem od rana wyprowadzona z równowagi. Dom letni, który oglądaliśmy podczas mojej ostatniej wizyty we Francji, jednak nie będzie nasz. Rzecznawca odkrył problemy z osiadaniem fundamentów.

- Podjedziemy do mnie, tylko na sekundkę - powiedziałam Marcie, gwałtownie zawracając. - Pomożesz mi zabrać z góry warzywa. Zrobiłam trzy blachy. Nora będzie miała na jutro obiad dla dzieci.

MARTA

Myślałam, że się rozplączę. Nie, nie z powodu kawalerki, w której mieszka Gośka („Zaraz się wyprowadzamy, nie opłaca mi się inwestować w nowe mieszkanie”) i spakowanych pudeł stojących pod ścianami („Powoli pakuję rzeczy, żeby były gotowe, jak Claude - Olivier w końcu dostanie ten rozwód albo kupi letni domek w Normandii”). To wszystko było smutne, lecz nie aż tak, jak laurka, którą Cloe rysowała dla ojca, gdy przyszliśmy. Wynajęta opiekunka („Moja mama chodzi we czwartki na aqua aerobic i nie może się nią zajmować, wynajęłam studentkę”) siedziała na kanapie z nosem w gazecie, a Cloe przy biurku rysowała liście. Płataninę zielonych liści.

- To winnica tatusia - wyjaśniła. - A tam z tyłu stoję ja, widzisz?

- Nie - odpowiedziałam, zgodnie z prawdą, o ułamek sekundy za późno uświadamiając sobie, że robię jej przykrość.

- To super! - rozpromieniła się Cloe. - Udało mi się schować idealnie, właśnie tak jak chciałam. Widzisz, mamusiu, możesz mnie zabrać następnym razem do Francji! Będę się ukrywać razem z tobą.

- Pomyślimy o tym - westchnęła Gośka, zaglądając do środka laurki.

- Dzwonił ksiądz ze Świętego Krzysztofa - odezwała się opiekunka zza gazety. - Mówił, że to bardzo pilne. Jakiś problem z bierzmowaniami.

- Oddzwonię do niego - mruknęła Gośka, najwyraźniej przygotowana na tę wiadomość.

Co ona ma wspólnego z bierzmowaniami?! Bierze ślub kościelny i musi przystąpić szybko do bierzmowania? Tylko z kim ten ślub, skoro Claude - Olivier nie ma jeszcze rozwodu? I przecież mówiła kiedyś, chyba na pierwszych zajęciach, że raczej nie jest religijna?

- Napisałam wierszyk - pochwaliła się Cloe. Wierszyk brzmiał:

Tatusiu, tatusiu, ja wiem, że mnie kochasz,

Ale nie buj się, nie powiem nikomu,

To będzie nasza tajemnica.

Tatusiu, tatusiu, nikt się nie dowie,

Ze masz czureczkę.

Nie buj się.

Poproszę wróżki o czapkę niewidkę.

Dzięki niej zawsze będę z tobą.

Tatusiu, tatusiu, nikt się nie dowie.

Myślałam, że się rozpłaczę. Odwróciłam wzrok i unikałam rozmowy z Gośką przez całą drogę do Norki.

- Sprytna ta moja mała, nie? - westchnęła, kiedy parkowałyśmy. - Nie wie, jak napisać „córeczka”, ale wie, że Claude - - Olivier miałby kłopoty, gdyby ktoś we Francji się połapał, że ma dziecko w Polsce.

Tym sposobem dowiedziałam się, że Cloe jest nie tylko dzieckiem nieślubnym, lecz także bardzo starannie ukrywanym przed „tą babą”, jak mówi Gośka o żonie Claude'a.

- Gdy tylko się rozwiedzie... - zaczęła znów Gośka.

Nie słuchałam jej. Bo już wiem, że on się nie rozwiedzie. I ciekawe, jakim cudem ona tego dotąd nie zrozumiała? Ona, która potrafi zadbać o Norę, zatroszczyć się o cały świat, wszystko przewidzieć, zaplanować, działać szybko jak torpeda... W swojej sprawie jest totalnie naiwna i bezradna.

Nie czułam się na siłach uświadamiać jej prawdy. Na szczęście nie musiałam - bo w tej samej chwili pod dom podjechał radiowóz, a z niego wysiadła Nora z całą piątką swoich dzieci.

- Przepraszam, że musiałyście czekać - tłumaczyła, otwierając furtkę trzęsącymi się dłońmi. - Wezwano nas w sprawie śmierci Jacka, potrzebowali jeszcze kilku wyjaśnień.

- To nie była śmierć! Tata żyje! Ci policjanci też tak myślą! Po to nas wezwali! Już trzeci raz wypytywali nas o wszystko! - krzyknął Jędrzej i pobiegł przed siebie ulicą.

Julek, zrezygnowany, popędził za nim.

Zapowiadał się naprawdę uroczy wieczór..

Rozdział 9

RoboCop w trampkach

LENA

- Pamiętasz, jak mówiłam ci, że staram się o dziecko? - zapytała Marta prosto z mostu.

Jej telefon wyrwał mnie ze snu o siódmej rano. Wyplątałam się z ramion Marcela, gorączkowo zastanawiając się, co ja mam wspólnego z jej dzieckiem. Czyżby jednak miała jakieś problemy z powodu kontaktów z połamanym kotem Gracka?

- Drops ci zaszkodził? - mruknęłam.

- Drops? Niby dlaczego? - Nie zrozumiała. - Ja nie jadłam cukierków od piątej klasy podstawówki. Obejrzałam wtedy film o próchnicy i właściwie całkowicie zrezygnowałam ze słodczy. Czasami pozwalałam sobie na kawałek ciasta.

- Drops. Kot. Ta choroba, przed którą chowałaś się w workach na śmieci. No wiesz... - Zupełnie nie pamiętałam, jak się ta zaraza nazywała.

- Toksoplazmoza - odezwał się Marcel spod kołdry.

- Ojej, nie jesteś sama, tak? - Marta najwyraźniej usłyszała jego głos.

- Na szczęście nie jestem sama. - Uśmiechnęłam się. - Kot Gracjana nieoczekiwanie wprowadził ład w moje sprawy sercowe. Ale ty chyba chciałaś rozmawiać o jakimś dziecku, a nie o moich facetach?

- Jest nas więcej niż jeden? - zaprotestował Marcel.

- Moim dziecku, nie JAKIMŚ dziecku! - zaprotestowała Marta. - Tak, chciałam rozmawiać o dziecku. Zależy mi na tym, żeby się w końcu pojawiło. No i... i w związku z tym potrzebuję twojej pomocy.

Boże święty, a jak ja niby mogłabym jej pomóc w sprawie powołania dziecka na świat? Czyżby jeszcze nie zauważyła, że nie produkuję plemników?

- Ja... Eee... Ja... - O siódmej rano nie jestem chyba zbyt elokwentna, zwłaszcza przy takich prośbach.

- Chodzi o to, czy mogłabyś mnie zawieźć do kliniki? - sprecyzowała Marta. Nareszcie! - Dzisiaj. Muszę tam być nie później niż o dziewiątej dwadzieścia. Mój samochód jest w warsztacie, taksówki nie chcę brać z pewnych względów... Potem ci wyjaśnię. A Piotr, niestety, pojechał o świcie do Berlina, na cały tydzień, służbowo.

Nie byłam pewna, jak Marta zamierza spędzić to dziecko bez męża. No ale nie zamierzałam o tym dyskutować. Nie o siódmej. Nie leżąc w łóżku z Marcelem.

- Przyjadę po ciebie - obiecałam. - Pod warunkiem że nie muszę czekać w tej klinice, aż skończysz to... to, co masz tam do zrobienia. Punktualnie o dziesiątej mam ważne spotkanie służbowe.

- Zdasz, obiecuję. Tylko podjedź pod samą klatkę schodową. Stań na chodniku. I niczemu się nie dziw.

NORA

Rozmowa z teściową jak zwykle doprowadziła mnie do szału. A wydawało mi się, że już znalazłam na nią sposób. Przytakiwać i nie dawać się sprowokować. Niestety, tym razem mnie podeszła. Przez moment potraktowałam ją jak normalnego życzliwego człowieka, otworzyłam się... i natychmiast gorzko tego pożałowałam.

- Ty nie wiesz, jak ja się czuję! Nie wiesz, jak cierpię bez Jacusia! - łkała w słuchawkę.

- Ja też cierpię - przypomniałam jej delikatnie. - Wciąż jest mi bardzo trudno, leczę się na depresję...

Boże, co mnie podkusiło, żeby jej to powiedzieć?!

- Leczysz się? Gdzie? U kogo? Bierzesz leki? - W teściową wstąpiło nowe życie. - Nie jestem pewna, czy w tym stanie powinnaś opiekować się dziećmi. Osoby niepoczytalne mogą być...

Nie dowiedziałam się, jak bardzo mogę być niebezpieczna dla moich synów. I w jaki sposób matka Jacka zechce mi to udowodnić. Rzuciłam słuchawką.

Po dziesięciu sekundach telefon zabrzączał znowu.

Chciałam nacisnąć „odrzuć połączenie”, ale w ostatniej chwili zauważyłam, że dzwoni Gośka.

Brzmiała naprawdę bardzo tajemniczo. Pytała, czy zamieniłam już dostawczaka na samochód osobowy i czy wciąż nie mam czym wozić dzieci. A potem poprosiła, żebym przyjechała do Pruszkowa moją Mechaniczną Pomarańczą, jak w ostatnią sobotę ochrzciły nieprzydatnego nam do niczego pożeracza benzyny (siedemnaście litrów na setkę!) dzieci.

- Znajdziesz szpital w Tworkach, potem skręcisz w lewo i w prawo, i w trzecią w lewo - tłumaczyła Gośka.

Szybko okazało się, że szpital psychiatryczny w Tworkach będzie idealnym miejscem, żeby nas obie zamknąć po tym, co zamierzałyśmy zrobić. To znaczy: po tym, co zaplanowała Gośka.

- Przerobimy twoje nieużyteczne autko na wesoły autobusik. - Roześmiała się tak, że aż sroki siedzące na zielonym płocie czmychnęły w popłochu. - Moja koleżanka wyrzuca właśnie stare fotele, świetnie się nadadzą.

- Fotele samochodowe? - upewniłam się.

- Nie, fotele domowe, takie do czytania książki i picia herbaty. Będą znacznie wygodniejsze. - Ona naprawdę zamierzała to zrobić! Zadzwoiła do jakiejś bramy i po chwili wyniosła z niej pierwszy fotel, z wielkimi podłokietnikami, obciągnięty płótnem w czerwone kwiatki. - No idź, tam po prawej stoją jeszcze dwa - poganiała mnie, wsadzając fotel do mojego samochodu.

I nawet nie dostała przy tym zadyszki. Podnosiła je tak, jakby ważyły kilogram. A ja nie byłam w stanie unieść tego cholerstwa, ciągnęłam je po ziemi, sapiąc jak lokomotywa.

- Nie dźwigaj już, zajmij się rozplątywaniem pasów, które leżą u mnie na tylnym siedzeniu! - zawołała i ruszyła do domku za zieloną bramą po kolejny fotel.

Pasy? W samochodzie Gośki leżało coś, co wyglądało jak wielka bombka choinkowa z metalowymi wypustkami. Tak naprawdę był to jednak kłębek pasów samochodowych ze sterczącymi z każdej strony klamrami.

- Dostałam je od koleżanki, która demontowała część siedzeń w swoim busie. Przerabiała go na podróży teatr dla dzieci, pacynkom pasy nie są niezbędne. Jej fotele do Mechanicznej Pomarańczy nie pasują, za to pasy są idealne. Nie będziemy tutaj hałasować, pojedziemy zaraz do ciebie pod dom i to wszystko zamontujemy. Muszę naładować wiertarkę, ta akumulatorowa jest najmocniejsza, no i ma udar, a to może się przydać.

Nie pytałam, co zamierza wiercić. Czułam, że kręci mi się w głowie. Gdyby mogła to zobaczyć moja teściowa, na pewno wezwałaby pomoc społeczną i siłą odebrała mi dzieci. Jednak Gośka naprawdę nie miała cienia wątpliwości.

- Byłam w trzech warsztatach, pytałam, ile kosztowałyby taka przeróbka. Wszędzie patrzyli na mnie jak na wariatkę. - Znowu się śmiała, głośno i zaraźliwie! - Na szczęście moja koleżanka ma narzeczonego w drogówce. Wypisał mi, co musimy zrobić, żeby przerejestrować twój samochód na osobowy. Pasy i stabilne fotele to podstawa. A to akurat już mamy. Wpadłam nawet na pomysł, jak w tych fotelach zamocować foteliki dla dzieci.

Stabilne fotele póki co jeździły po moim samochodzie jak pijani hokeiści. Bałam się, że jeden z nich złamie mi kark, jeśli tylko zahamuję gwałtowniej. Droga z Pruszkowa pod mój dom okazała się prawdziwym torem przeszkód: próbowałam nie hamować, nie skręcać (a jeśli już, to bardzo powoli i delikatnie), nie przyśpieszać. Nawet gdy wiozłam samą siebie

(no i Jeremiego) do porodu, bo Jacek akurat był na wernisażu w Lublinie, nie uważałam tak bardzo jak dzisiaj z tymi fotelami! Co za szczęście, że przynajmniej śnieg stopniał i droga była suchutka i prawie pusta.

Gośka swoim starym volkswagenem dojechała oczywiście dużo szybciej - czekała pod moim domem z wiertarką w dłoni. Od razu zabrała się do mocowania foteli do podłogi dostawczaka. To znaczy podłogi busa. Bo przecież to będzie bus, prawda? O ile te dziury wywiercone w podłodze nie zdyskwalifikują go ostatecznie.

- Może powinniśmy poprosić jakiegoś faceta o pomoc? - zapytałam nieśmiało.

- A po co? - Nie rozumiała. - I w ogóle skąd weźmiesz jakiegoś sensownego faceta? Chyba nie cierpimy na nadmiar takich w najbliższej okolicy. Poradzimy sobie same.

- Mogłabym zadzwonić po Karolka - podsunęłam. - On ma wujka mechanika, zmieniał mi kiedyś koło...

Myślałam, że Gośka wyśmieje zmienianie koła jako dowód tego, że ktoś się zna na samochodach. Ona pewnie pobiła rekord Polski w zmienianiu koła na czas albo coś w tym stylu. Lecz, o dziwo, nagle przestała zachowywać się jak RoboCop, który wszystko potrafi najlepiej i nie potrzebuje żadnej pomocy, i ochoczo przystała na moją propozycję.

- Karolka? Tak, świetnie. Dzwon. Bardzo nam się przyda.

Karolek pojawił się, jak to zwykle on, na pierwszy znak ode mnie.

- Co wy robicie? - zapytał przerażony. - Policja was arestuje, tak nie można, na litość boską!

Wyglądał, jakby miał zemdleć.

- Policjant dostanie zawału przy kontroli - zaczął, gdy nieco odzyskał siły. - Zatrzyma wam dowód rejestracyjny. Zatrzyma WAS. Tak nie można. Nora, błagam cię, przecież ty masz dzieci, musisz dbać o ich dobro. Nora, ja też w pewien

sposób jestem za nie odpowiedzialny, nie pozwolę ci... O Boże!

- Wszystko jest legalne, przerejestrujemy samochód bez problemu - roześmiała się Gośka. - Może spróbujecie przykręcić te pasy z tyłu? Wywierciłam już otwory, tu macie śrubki, a tu śrubokręt krzyżakowy. To łatwe. Dacie sobie radę? Ja podjadę do sklepu, może mają przecenione resztki watoliny albo stare koce. Przydałoby się ustabilizować trochę te fotele czymś w rodzaju małych poduszczyków. Mam pomysł, jak to zrobić. No, zajmijcie się pasami, ja zaraz wracam.

I zniknęła. Pobiegła w swoich kwiecistych trampkach (kto nosi trampki w zimie?!) równym, długim krokiem w stronę przeciwną do jakiegokolwiek sklepu. Przez moment widziałam jeszcze długi wełniany szal, powiewający za jej plecami. Potem zniknął i on.

Karol spojrzał na mnie bezradnie.

- Ona chyba mnie nie lubi, prawda? - zapytał. - Myśli, że jestem mięczakiem.

GOŚKA

Cały ten pomysł z poduszkami był mocno naciągany. Nora na pewno widziała, że mam stare koce na tylnym siedzeniu. I wielkie nożyczki. Po to je przecież wzięłam z domu, od razu wiedziałam, że bez stabilizacji się nie obejdzie. No, ale nie byłam w stanie wymyślić na poczekaniu lepszego pretekstu, żeby zostawić ich samych.

Ten Karol to jednak straszna ciapa. Kiedy wróciłam po czterdziestu minutach, Nora tkwiła z tyłu, wygięta tak, jakby nie miała co najmniej czterech kręgów lędźwiowych, i ze śrubokrętem w dłoni walczyła z tymi pasami, a on siedział w kucki na chodniku, wyraźnie znudzony. Aż się zdenerwowałam! Co my jeszcze mamy zrobić, żeby on się w końcu przełamał i wyznał Norze, co do niej czuje? Upić go i zamknąć z nią w ciemnym pokoju? Coś mi się zdaje, że nawet

to mogłoby nie wystarczyć. Przyłazi, przynosi jej te ciężkie pudła, jest na każde skinienie, twierdzi nawet, że jest odpowiedzialny za jej dzieci, a pierwszego kroku zrobić nie zamierza. Czyżby czekał, aż ona się na niego rzuci?

A z drugiej strony, może to faktycznie za wcześnie? Może nie powinniśmy jej pchać w ramiona faceta, skoro ciało jej męża jeszcze nie wystygło? Ba!, skoro tego ciała nikt nie widział na oczy? Tak wynika przynajmniej z reakcji Jędrzeja. Bo Nory o śmierć Jacka nie ośmieliłyśmy się jeszcze zapytać.

LENA

- Jak to: trumny zniknęły?! - Gośka wrzeszczała do telefonu trzymanego przez Norę. Nie mogła przecież odebrać go sama rękoma umazanymi po łokcie gliną. - Wszystkie? Cholera! To znaczy szlag nagły! Cholera! Przepraszam, wpadnę przed północą i sprawdzę, co się z nimi stało. Proszę zostawić klucz za hortensją, jak zwykle.

Przed północą? Za hortensją? Na początku grudnia? Chyba ta hortensja musi stać w cieplarni... A w takim razie trumnom nie jest tam najlepiej.

- Nie rozeschną się? - zapytałam niepewnie.

A Gośka wbiła we mnie wzrok, w którym furia mieszała się z obłędem.

- Znikają po raz piąty w ciągu tygodnia - wyjaśniła. Nie odważyłam się zapytać o nic więcej. Chyba wolałam nie wiedzieć, jak zarabia na życie. I czy ma to coś wspólnego ze śpiewaniem świeckiego gospel i grą na organach.

- Moja teściowa uważa, że jestem niepoczytalna i należałoby odebrać mi dzieci. - Nora, chyba po raz pierwszy niepytana, zaczęła opowiadać o swoich problemach. Ta terapia najwyraźniej przynosi efekty!

Niestety, nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo do Norki wmaszerowała, elegancka jak zwykle, Marta na swoich obcasach.

- Sorry, że tak późno - mruknęła, rzucając torebkę na stół.
- Praca? - spytałam ze zrozumieniem. Jej zajęcie chyba nie wiązało się z trumnami?
- Trzy godziny w gabinecie jasnowidza - jęknęła. - Wolicie tego nie słuchać, tak?
- Tak - potwierdziłyśmy zgodnie.

Trumny i jasnowidze... Moja praca w porównaniu z tym wygląda całkiem niewinnie. Szkoda tylko, że z jej powodu muszę je wszystkie okłamywać. No, niezupełnie, właściwie nigdy nie skłamałam. Powiedzmy, że utrzymuję je w stanie niewiedzy. To brzmi dużo lepiej.

Rozdział 10

Pierścionek, ksiądz i bruzdkująca morula

LENA

- Sorry. - Marta znów wpadła do Norki spóźniona i jakaś taka rozedrgana.

- Jasnowidz? - roześmiała się Gośka.

- Tym razem wielki mistrz reiki - westchnęła Marta, zdejmując garnitur i szpilki i wkładając fartuch w motylki i drewniaki zalane zielonym szkliwem.

- Reiki? - Nora otworzyła jeszcze szerzej te swoje wielkie oczy. - Wielki mistrz? To jakiś zakon?

- Raczej sekta - mruknęłam.

- Chodzi o przekazywanie energii. W ogóle nie musisz być w tym samym pokoju, w którym jest mistrz, żeby mógł ci pomóc. - Marta wyglądała na zafascynowaną. - Żebyście wiedziały, jakie rzeczy potrafi ten facet! Posklejał czaszkę człowiekowi po wypadku, leżącemu w szpitalu czterysta kilometrów od jego domu. Siedział w fotelu i zlepił, w wyobraźni. I nie musieli go operować. Wyobrażacie sobie? Sparaliżowanego postawił na nogi i sprawił, że chodzi.

- Jesteś dziennikarką? - zapytała Gośka.

Aż przeszedł mnie dreszcz. Dobrze, że nie zapytała o moją pracę w taki sam sposób, wprost.

- Dziennikarką? - Marta najwyraźniej nie zrozumiała. - A co ma dziennikarstwo wspólnego z reiki?

- No, myślałam, że piszesz o tych wszystkich świrach. Marta zaczęła się śmiać jak szalona.

- Myślałaś, że piszę do jakiegoś ezoterycznego pisemka, tak? O rany, gdyby mój szef to usłyszał... W ogóle gdyby się dowiedział, że chodzę do takich ludzi jak ten mistrz... Zwolniłby mnie jak nic!

- A więc to nie ma nic wspólnego z twoją pracą? - zdziwiła się Nora.

- Oczywiście, że nie. Chodzę tam prywatnie. Szukam pomocy. Szukam jej tak bardzo, że jestem gotowa uwierzyć w każdą bzdurę. Bo nie mam nic do stracenia.

- Masz raka? - Gośka dziś chyba trochę przesadziła z bezpośredniością.

A Marta wyjaśniła, tak prosto jak się dało, to, o czym wiedziałam od pewnego czasu.

- Nie mam raka, nie mam popękanej czaszki i nie mam dziecka. A chcę mieć. Dziecko, nie czaszkę. Dlatego próbuję wszystkiego.

Po jej wyznaniu w pracowni zapadła cisza. Chyba po raz pierwszy, od kiedy tu przychodzimy, żadna z nas nie miała absolutnie nic do powiedzenia.

- Możemy ci jakoś pomóc? - zapytała w końcu Nora. Przez chwilę miałam wrażenie, że Marta odpowie: „Tak,

oddaj mi jednego ze swoich chłopaków". Ale oczywiście tego nie zrobiła. Potrząsnęła tylko głową, cichutko szepcząc coś o tym, że jest nam bardzo wdzięczna i że te rozmowy wiele dla niej znaczą.

A potem rozejrzała się wokół i powiedziała tym zimnym, wysokim głosem bez żadnej intonacji:

- Nora, chciałabym usiąść do koła. Zabierzesz swoje miski, tak?

GOŚKA

Nie mogę przestać myśleć o Marcie i o tym, co powiedziała ostatnio w Norce, o tym, jak walczy o swoje dziecko. Ja też walczyłam o Cloe i nikomu o tym nie mówiłam, całymi miesiącami. Walczyłam, chociaż w inny sposób. Walczyłam, bo Claude - Olivier... no, on nie zareagował tak, jak powinien. On zaproponował mi pieniądze. Nikomu wtedy nie powiedziałam, jak się zachował. Chciałam, żeby wszyscy moi krewni i znajomi pokochali go tak jak ja. Więc wyjawienie im, że namawiał mnie do aborcji, nie było

najlepszym pomysłem. Kisiłam w sobie złość i smutek, i bunt przez wiele miesięcy. Uśmiechałam się do wszystkich, przyjmując gratulacje i mówiąc: „Claude - Olivier zwariował ze szczęścia, oczywiście! Liczy dni do porodu”. A potem wymyśliłam historyjkę, że złamał nogę i nie może przyjechać, i być przy narodzinach Cloe. Bardzo poważne złamanie, dwie kości z przemieszczeniem, przecież nie przyleci do Polski z nogą na wyciągu.

Prawdę mówiąc, w ogóle nie wiedziałam, czy kiedykolwiek przyleci. Stwierdził, że nie chce nic wiedzieć o „tym dziecku”. Nie przyjąłam tego do wiadomości i dałam małej na imię Cloe, na jego cześć. Potem przeczytałam w „Charakterach”, że to się zdarza bardzo często. Ze samotne matki instynktownie dają synom imię po ojcu, żeby ojcowie poczuli z nimi więź. Ja dałam córce imię po ojcu - no i zadziałało. W końcu zgodził się ją zobaczyć. Wywalczyłam to po trzech latach. I potem było już z górki. Zakochał się w Cloe, oczywiście. Jest jego oczkiem w głowie. W lipcu przenosimy się do Francji. Będziemy mieszkać w tej cudownej winnicy, a Cloe...

- Będę miała konia, prawda, mamusiu? - zapytała wczoraj, po raz kolejny.

Jasne, będzie miała konia. Claude - Olivier obiecał przecież, że go jej kupi na urodziny. Albo na Gwiazdkę. A ja dostanę coś, o czym nawet nie śmiałam marzyć. Wino nazwane moim imieniem. Sama zaprojektuję etykiety. I ludzie na całym świecie będą pili wino, które Claude - Olivier stworzył z miłości do mnie.

- Tylko niech nie będzie w nim nic słodkiego - zastrzegłam żartem, gdy mi wyznał, jaki ma plan. - Nasz związek nie jest przecież usłany różami.

- Teraz wszystko się zmieni - obiecał Claude - Olivier. - Dostanę ten rozwód i wynagrodzę ci wszystko. Tobie i naszej Cloe.

Mam nadzieję, że mówi prawdę...

MARTA

Nie byłam dziś na garach. Szkoda. Cały wieczór myślałam, czy mój wazon wyszedł już z pieca i czy to nowe szkliwo wygląda na nim tak pięknie jak na próbkach. Tak chciałam wreszcie być przy wyciąganiu prac z pieca, nigdy jeszcze w tym nie uczestniczyłam, nie łapałam gorących, przez grube rękawice zwykle leżące na oknie u Nory. Chyba żadna z nas jeszcze przy tym nie asystowała. Nora zawsze opróżnia piec wcześniej rano albo w środku nocy. Ciekawe dlaczego? Wyobrażałam sobie dzisiaj, jakie to uczucie zaglądać do środka, patrzeć na gorące jeszcze prace. A przede wszystkim zastanawiałam się, czy znowu pojawił się Karolek, i czy może wreszcie zebrał się na odwagę i odezwał się do Nory. Chciałam tam być, naprawdę. No, ale są ważniejsze sprawy. Czyli, oczywiście, moje dziecko. Poszłam dzisiaj zaraz po pracy na kurs sujoka. To taka azjatycka terapia, którą każdy może stosować samodzielnie, nie wydając stu czy dwustu złotych na wizyty u specjalisty. No dobrze, wydałam pięćset na trzygodzinny kurs. Ale jeśli to może mi pomóc... Brzmi całkiem fajnie. No dobrze, niefajnie - według moich kryteriów sprzed roku czy dwóch, kiedy krytykowałam wszystko, czego nie potwierdzały badania przeprowadzone naukowymi metodami na odpowiednio dużej (i odpowiednio dobranej!) próbie pacjentów. Jednak moje kryteria się zmieniły, dziś moje motto to: „Łap wszystko, co daje choćby cię nadziei”, więc sujok jest naprawdę super. Do Polski przyjechał facet, który stworzył tę metodę. A może nie stworzył, a raczej pracował w zespole z kimś, kto stworzył... No, w każdym razie to prawdziwy guru sujoka, tak?

Przyjechał tylko na dwa dni. Nie mogłam się powstrzymać od posłuchania go na żywo.

- Dłoń to pomniejszone ciało człowieka, musicie to zrozumieć - mówił, stojąc na scenie skłeczonej z krzywych desek w osiedlowym domu kultury. - Trudno to zauważyć, bo nie jest symetryczna. Ale kiedy nauczycie się na nią patrzeć, dostrzeżecie idealną symetrię. Widzicie?

Ja nie widziałam, za to reszta sali klaskała jak oszalała. Okazało się, że kciuk jest odzwierciedleniem głowy.

- Spójrzcie! On przecież wyraźnie się różni od pozostałych czterech palców. Ma tylko dwa paliczki. To jak głowa i szyja. Widzicie?

Sala energicznie kiwała głowami, przyglądając się swoim kciukom.

- Wszystkie inne palce mają trzy części - tłumaczył dalej mały Chińczyk czy może Koreańczyk, nazywany przez wszystkich Profesorem. - Nogi ze swoim udem, podudziem i stopą, ręce z ramieniem, przedramieniem i dłonią. Widzicie? Palce mały i wskazujący to odbicie rąk, a serdeczny i środkowy - nóg. Czujecie, jak zmienia was to odkrycie?

Spojrzałam na zegarek. Może zdążę jeszcze wpaść do Nory i poszkliwić choćby jedną małą miseczkę? Może nie wyciągnęły jeszcze mojego wazonu z pieca?

- Spójrzcie: dłoń zwija się w pięść - tak jak człowiek zwija się w kłębek, kiedy jest smutny albo coś go boli. A więc wewnątrz dłoni jest pomniejszonym przodem ciała, z brzuchem, twarzą i kolanami. A tył dłoni to pośladki, plecy, pięty. Widzicie, jakie to proste? Posiedliście tajemnicę, możecie zacząć się leczyć sami. Po prostu znajdźcie na dłoni to miejsce, które cierpi w waszym ciele, i stymulujcie je. Nawet co godzinę. Mam tu dla was specjalne pałeczki diagnostyczne, które sam stworzyłem. Nadają się idealnie do wyszukiwania tych punktów na dłoni. A do pobudzania? O, to już zależy od

tęgo, na jaką chorobę cierpicie. Możecie użyć pierścieni, waleczków, kul z wypustkami. Moja asystentka Martyna rozłożyła wszystko na kocu pod ścianą. Możecie kupić od razu cały zestaw, cena promocyjna jest o trzydzieści procent niższa. Pośpieszcie się, mam tylko dziesięć kompletów. Jeśli zabraknie, będziecie musieli masować się nasionami roślin, zamiast tych nowoczesnych urządzeń.

Nasiona zabrzmiały całkiem nieźle. Nawet lepiej niż waleczki z kolcami i pałeczka diagnostyczna.

Prosto z wykładu pojechałam do lekarza. Postanowiłam sprawdzić na USG, jak się mają moje komórki jajowe. Piotrek ma już dość tego „mechanicznego seksu”. Nie mogę ciągnąć go do łóżka częściej niż raz na tydzień. Muszę więc dokładnie wiedzieć, kiedy mam owulację.

„Gdyby to było dzisiaj - fantazjowałam - mogłabym znaleźć na mojej dłoni miejsce odpowiedzialne za macicę, wymasować je pestkami słonecznika, a potem zwabić Piotra do sypialni”.

- A co pani dziś taka spięta? - zapytał lekarz w trakcie USG. - Mówiłem przecież, że potrzebuje pani relaksu i oderwania od myśli o dziecku. Miała pani się zapisać na ceramikę, tak? I co, nic z tego nie wyszło?

- Wyszło. Po prostu dziś... dziś moja instruktorka ma pogrzeb. - Informacja o sujoku i masażu dynią i słonecznikiem jakoś nie przeszła mi przez gardło.

- Pogrzeb wieczorem? - zdziwił się doktor Skowroński.

- Wieczorem - przytaknęłam odruchowo. - Na cmentarzach też zdarzają się straszne kolejki. Najwięcej ludzi umiera właśnie na początku grudnia, ostatnio przeprowadzono badania na trzech kontynentach...

O Boże, nie powinnam bez potrzeby okłamywać lekarza. Co innego okłamywanie klientów, to robię na co dzień. Ale lekarz? Po co wciskam mu takie głupoty?

A może ja naprawdę gdzieś czytałam o kolejkach do pogrzebów występujących najczęściej o tej porze roku...?

NORA

Już się bałam, że Jędrzej wpadł w depresję, tak jak ja. Moją zdiagnozowała Gośka, jestem jej za to bardzo wdzięczna. Kto wie, co by się stało, gdybym się nie zaczęła leczyć? Teraz czuję się już znacznie lepiej. Terapeutka, prozki od psychiatry, u którego byłam na dwóch konsultacjach... tak, to wszystko razem naprawdę świetnie działa. Powinnam podziękować Gośce, że mnie tam zawiozła niemal siłą. Chyba nigdy tego nie zrobiłam. Tak naprawdę to Jędrus całym tygodniami zachowywał się znacznie bardziej niepokojąco niż ja. Leżał na kanapie przed telewizorem od świtu do nocy. Nie odrabiał lekcji. Gdy siadałam do nauki razem z nim, patrzył w ścianę. Kiedy siadał z nim Julek, krzyczał: „Nie jesteś moim ojcem, żeby mi mówić, czy mam się uczyć, czy nie” i wybiegał z pokoju.

On miał już dostatecznie dużo kłopotów przed śmiercią Jacka. Zawsze był z tyłu, za swoją klasą. Zawsze musiał nadganiać. A teraz... teraz to już nie jest nadganie. On po prostu się zatrzymał i odmawia jakiegokolwiek pracy. A właściwie odmawiał, aż do dzisiaj.

Bo dziś rano przyszedł do mnie, pozostali chłopcy jeszcze spali, i zapytał:

- Czy mogłabyś dać mi pieniądze z ubezpieczenia? Bardzo ich potrzebuję.

Przyznam, że z trudem powstrzymałam śmiech. Do czego może potrzebować pieniędzy dziewięciolatek? Nie zadarł chyba z rosyjską mafią? Raczej nikt go nie szantażuje. Postanowiłam nie mówić mu, że tego ubezpieczenia nie można na razie ruszyć. Założył je Jacek, więc tylko Jacek może je zlikwidować. Bo w świetle prawa ciągle żyje i może pójść złożyć własnoręczny podpis, i tak może być nawet przez

pięć lat! Staram się więc nie myśleć o trzech tysiącach, które dostałabym, gdyby uznano go za zmarłego. Udaję, że wcale ich nie ma.

- Chodzi o kobietę - oświadczył Jędrzej z bardzo poważną twarzą.

- O dziewczynę - poprawiłam.

Dziewięcioletni chłopcy nie zadają się przecież z kobietami. Mam nadzieję, że nie.

- O kobietę - upierał się Jędrus. - Zakochałem się i chcę kupić jej pierścionelek.

O rany. Chyba udało mi się nie roześmiać. Mam nadzieję, że to, co miałam na twarzy (zaciśnięte usta, żeby stłumić śmiech, wydęte policzki, żeby nie prychnąć, i ruszający się nerwowo czubek nosa), wyglądało na pełną powagę pomieszaną ze zdumieniem. '

- Pierścionelek? Zaręczynowy? - zapytałam, powoli wypuszczając powietrze.

Jędrzej patrzył na mnie jak na kosmitkę.

- Dlaczego zaręczynowy? Zaręczynowe są brzydkie. Ja chcę taki normalny, z czerwonym oczkiem. Aaa... z czerwonym oczkiem. No dobrze.

- Myślę, że nie będziemy musieli ruszać pieniędzy z ubezpieczenia - powiedziałam ostrożnie. - Wystarczy, że nie kupimy lodów na sobotę i zrezygnujemy z wyjścia do kina, które planujemy od miesiąca. Jeśli twoi bracia się zgodzą.

- Pomówię z nimi - oświadczył mój mały synek i wyszedł z kuchni, zanim zdążyłam zapytać, kim jest jego wybranka. I gdzie ją poznał? Przecież niemal nie wychodzi z domu od śmierci Jacka!

Nie miałam jednak za wiele czasu, żeby o tym pomyśleć, bo w samo południe zadzwoniła do mnie Gośka. Chce mnie umówić z księdzem. Koniecznie jeszcze dziś. Sprawa jest pilna. Nie umiałam jej odmówić. Jej chyba w ogóle nie da się

odmówić. Tylko czemu z księdzem? Co ona znowu wymyśliła? Czuję, że to kolejna historia w stylu tej prawniczki, która miała zmusić Jacka do płacenia alimentów. Ciekawe, czy ksiądz będzie próbował przekazać mi wiadomość z zaświatów? A może będzie mnie nawracać? Albo urządzać Jackowi pogrzeb bez ciała? Słyszałam o takich pogrzebach, mama nawet namawiała mnie, żebym go urządziła, „bo gdzie będziemy palić świeczki pierwszego listopada?”. Niech pali na balkonie albo u mnie w ogrodzie, chętnie ją tego dnia zaproszę. Ale na pusty grób biegać nie będę. I chłopcom też nie każę tam chodzić. Oni przecież dobrze wiedzą, że ciało nigdy nie zostało odnalezione. Nawet nie wiadomo, gdzie dokładnie mielibyśmy go szukać.

A może... tak mi przed chwilą przyszło do głowy... może Gośka dowiedziała się, że Jeremi jest nieochrzczony i z jakiegoś powodu zamierza się tym zająć?

Nie wiem. Czuję niepokój, tym bardziej że powtórzyła dwa razy, że to może odmienić moje życie.

Moje życie już raz się odmieniło i to dość gruntownie. Wolałabym więcej takich nagłych zmian nie przeżywać.

MARTA

Kolejny cykl - i kolejny cudotwórca. Właściwie nie wiem, dlaczego najbardziej przekonało mnie do niego to, że postawił w minutę na nogi nieprzytomnego, znokautowanego boksera. Jakby to miało coś wspólnego z zachodzeniem w ciążę.

Śmieszny był. Wielki, gruby. To ciekawe, większość jasnowidzów i uzdrowicieli waży sto kilogramów albo i więcej. Czyżby nie potrafili sami się odchudzić? A może potrzebują tej potężnej masy do pracy z energią? Nieważne, grunt, że ten facet oświadczył mi od progu, że już na mnie czekał, wie, z czym przychodzę, i od kwadransa pracuje z moim problemem. Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy uznać, że jest geniuszem. Powiedział, że kiedy weszłam, spacerował

po moim lewym jajowodzie i nie zauważył tam żadnych zrostów.

A więc jednak geniusz, faktycznie jakimś cudem wiedział, z czym przychodzę!

- I co teraz? - zapytałam po chwili milczenia.

- Nic. Nic. Może pani już iść. - Machnął ręką. - Na krześle zostanie pani matryca energetyczna. Pani położy się w domu spać, a ja będę z nią pracował. Chociaż moim zdaniem to nic nie zmieni, bo pani nie ma żadnego problemu, medycznego ani psychicznego. Źródło niemożności jest gdzieś indziej.

- Może się nim pan zająć? Na odległość? - wydyszałam bez tchu. - Bo wie pan, mąż raczej się nie zdecyduje, żeby...

- Żeby do mnie przyjść? - Domyślił się. - To nieetyczne. Nie mogę z nim pracować wbrew jego woli. Pani rozumie.

Chciałam zapytać, czy wchodzenie do mojego jajowodu, kiedy stałam w korku na Grochowskiej i nic o tym nie wiedziałam, było etyczne. Ale się nie odezwałam.

- Sto pięćdziesiąt złotych - powiedział, gdy już wychodziłam.

Zapłaciłam. Warto było, choćby za to, że odgadł, dlaczego do niego przyszłam. No i zamierzał pracować przez cały wieczór z moją... jak to było...? z moją matrycą energetyczną, tak?

- I co? Co powiedział? - Akurat parkowałam pod domem, kiedy zadzwoniła Lenka, bardzo ciekawa mojej opinii. Znalazła tego jasnowidza przez jakąś koleżankę z redakcji „Sił Nadprzyrodzonych”. Błagałam o to od tygodnia, odkąd powiedziała mi o tej koleżance. - Jak do niego zadzwoniłam i wyjaśniłam, że nie możesz zająć w ciążę, był naprawdę zainteresowany. Podobno dawno nie pracował z niepłodnością.

Aaa, wszystko jasne! Wiedział od Lenki, z czym przychodzę. Niczego się nie domyślił i niczego mu nie podsunęły siły nadprzyrodzone. Usłyszał to od niej. Moje sto pięćdziesiąt złotych trafiło do kolejnego oszusta.

Obiecałam sobie, że więcej nie dam się nabrać. Koniec z cudotwórcami!

Postanowiłam poprawić sobie humor i wieczorem wyciągnęłam Piotra na kręgle. Lekarz przecież kazał mi się relaksować, robić coś dla przyjemności i nie myśleć o ciąży. Kręgle wydawały się idealne. Piotrek nie mógł uwierzyć, że namawiam go na wyjście z domu, a nie na wejście do sypialni, tak jak przez ostatnie cztery dni. Dosłownie promieniał szczęściem.

- Owulacja się skończyła. Zero szans na ciążę. Przez dwadzieścia pięć dni możesz nawet spać na kanapie przed telewizorem - rzuciłam ze złością, a on chyba przyjął tę wiadomość z ulgą.

Zarezerwowaliśmy przez telefon tor. Tak, właśnie tego potrzebowałam! Zmieniliśmy buty, kupiliśmy piwo, zaczęliśmy rzucać kule. Czułam się jak beztroska studentka. Pokrzykiwałam coś do dzieciaków na sąsiednim torze, śmiałam się do łez, kiedy moja kula zaczęła podskakiwać jak pijana. I nagle... nagle dotarło do mnie, że przecież MOGĘ być w ciąży. Miałam owulację. Był seks. No, powiedzmy raczej, że było coś, co można nazwać seksem... Wymuszone, wymęczone, wyciśnięte z Piotrka na siłę. Ale było. A więc być może zygota, a właściwie, ściśle rzecz biorąc, morula w stadium bruzdkowania przesuwa się właśnie w stronę macicy. Dotrze tam mniej więcej za dwanaście godzin, jeśli wszystko dobrze pójdzie. Czyli jeśli jej nie uszkodzę, wypijając duże piwo, podskakując i podnosząc ciężką kulę. Czy ja zwariowałam?

- Piotrek, jedziemy do domu - oświadczyłam. - Muszę się położyć. Morula jest bardzo wrażliwa, niebawem implantacja. Powinnam pić sok winogronowy, żeby endometrium było grubsze i lepiej ukrwione. Jedziemy. Do Tesco po sok i do domu.

Nawet się nie zdziwił. Nie dopił piwa. Po prostu bez słowa odwiózł mnie do domu. I położył się na kanapie. Może to i lepiej, przynajmniej nie szturchnie mnie przez sen w brzuch. To by się mogło nie spodobać bruzdkującej moruli.

Zasypiając, pomyślałam o tym cudotwórcy, który pracował z moją niewidzialną matrycą, siedzącą na krześle. Bardzo chciałam uwierzyć, że jakoś się z nią dogadał. I że znaleźli sposób na przekształcenie delikatnej moruli w śliczny, silny zarodek, który mocno wczepi się w ścianę mojej macicy i przesiedzi tam dwieście siedemdziesiąt osiem dni.

NORA

- Mam coś dla ciebie! - zawołała Gośka od progu, dziwnie dysząc.

Oderwałam się od koła zaintrygowana. Ona przecież nie męczy się, biegnąc nawet pięć kilometrów. Bo odpowiednio reguluje oddech.

Tym razem jednak...

- Co to? - Nie byłam pewna, czy dobrze widzę.

- Pomidory.

A więc widziałam dobrze. Tylko dlaczego...

- Dlaczego jest ich aż tyle? - zapytałam. - Moje dzieci, owszem, są żarłoczne, ale piętnastu kilogramów raczej nie zjedzą.

- Trzydziestu dwóch kilogramów - uściśliła Gośka, zdejmując plecak. On też wypełniony był dojrzałymi warzywami.

- Przyniosłaś trzydzieści dwa kilogramy? - Nie mogłam uwierzyć. - Boże, Gośka! Dziękuję ci, naprawdę. Ale... to

przecież nie jest sezon na pomidory! To w ogóle nie jest sezon na cokolwiek, jest środek zimy!

- Eksperyment hodowlany, ze światłem imitującym słoneczne, w starej fabryce przerobionej na szklarnię pasywną.
- Jej głos dobiegał z głębi torby, z której wyciągała kolejne czerwone pachnące kule. - Pomogłam im rozpisać system wyznaczania optymalnej temperatury i nasłonecznienia. Z wdzięczności dali mi sto dwadzieścia kilogramów pomidorów. Naprawdę są smaczne. Ze swoich zrobiłam już dziś rano przeciery, Lence zawiozę piętnaście kilo wieczorem, jak wróci z pracy. Tylko Marta odmówiła robienia przetworów, zupełnie nie wiem dlaczego...

- Może dlatego, że ciągle lata między Norwegią, Francją a Katowicami? A gosposię, zdaje się, ostatnio zwolniła z powodu kilku spóźnień - roześmiałam się. I zaraz spoważniałam: - Słuchaj, trzydzieści dwa kilogramy. To bez sensu. Nie dam rady ich przerobić. One się przecież zmarnują.

- Nic się nie zmarnuje. Mam plan.

No oczywiście, jak mogłam się tego nie domyślić? Gośka zawsze ma plan.

- Zawołaj chłopaków, potrzebuję ich do noszenia słoików.

Jędrzej zjawił się w kuchni w pół sekundy. Pewnie, każda okazja jest dobra, żeby nie odrabiać matematyki.

Julek za to nie zjawił się wcale, mimo że go wołałam osiem razy.

- On ma lomams. Intelktowy - oświadczył mi Jeremi. Romans? Intelktualny? No tak, u Julka wszystko zawsze jest szalenie intelktualne.

- Ma dziewczynę w Argentynie - wyjaśnił Jonek.

Nogi się pode mną ugięły. No dobrze, najstarszy z moich synów przerósł mnie o dwie głowy. Kilka razy proponowano mu przeniesienie go o klasę wyżej, bo nudzi się na lekcjach ze

swoim rocznikiem. Ale mimo wszystko trzynastolatek nie może chyba wyjechać do Argentyny bez mojej zgody?

- Co to za historia? - zapytałam, wpadając do spiżarni, w której dzięki Lence stanął dwa tygodnie temu komputer. - Czy to prawda, że masz romans?

Julek postukał się w głowę i pokazał mi w uśmiechu równiutkie, idealnie kwadratowe zęby. Zęby swojego ojca.

Na chwilę zapomniałam, po co tu przyszłam. Często gdy patrzę na Julka, wydaje mi się, że Jacek znowu tutaj jest. Te zęby, ten uśmiech, to charakterystyczne odgarnianie przydługiej grzywki... Tylko wzrost i waga zupełnie się nie zgadzają.

- Mamo, słyszysz mnie? To nie żaden romans, zobacz sama.

- Nora, słyszysz mnie? - Z pracowni dobiegał niecierpliwy głos Goški. - Musimy zdecydować, z ilu kilogramów robimy przecier. Resztę chyba ususzymy w piekarniku? Tylko pamiętaj, nie rozgrzewaj go bardziej niż do osiemdziesięciu stopni, bo się spala. I co godzinę lekko uchylaj drzwiczki, żeby odprowadzić parę.

- Co godzinę uchylać drzwiczki - powtórzyłam słabo.

- Tak, suszenie jest najprostsze. I w tyłu daniach można potem te pomidory wykorzystać! Chociaż, teraz tak myślę, że można by było jeszcze usmażyć powidła pomidorowe, jadłam takie kiedyś we Francji, to naprawdę łatwe. Trzeba tylko pamiętać o cytrynie, no i można dorzucić gruszkę, fantastycznie przełamuje smak.

- Ususzmy wszystkie - zdecydowałam.

Wizja smażenia powideł przerażała mnie, bez względu na to, czy miały to być powidła śliwkowe, czy może pomidorowe. W ogóle kto to słyszał o robieniu powideł z warzyw? Nie ma mowy. Moja mama smażyła powidła, pamiętam jak dziś. Zajmowało jej to trzy dni i trzy noce. Były

pyszne, jednak nie zamierzam poświęcać siedemdziesięciu dwóch godzin na stanie przy garach. Wolałam już pilnować temperatury w piekarniku i uchylać nieszczęsne drzwiczki.

- A może zakisimy jeden słoiczek? - Gośka tryskała pomysłami. - Pomidory kisi się bardzo prosto, jak ogórki. Tylko nie wiem, czy smakowałyby dzieciom. Moja Cloe woli jednak słodsze rzeczy.

- Na pewno będą pyszne! - Jędrzej szeroko się uśmiechnął. - Pokażesz mi, jak się je kisi?

- Jędrzej, wracaj do lekcji, i to już!

Chciałam go lekko szturchnąć, jak zwykle wtedy, gdy próbuję zagonić moich synów do robienia czegoś, na co nie mają ochoty. I prawie mi się udało. To znaczy: owszem, było lekko, szkoda tylko, że rękę miałam całą w miękkiej glinie. Glina została na włosach i ubraniu, wpadła mu nawet do oka.

- Poniżyłaś mnie przed Małgosią! - jęknął mój syn i wybiegł, trzaskając drzwiami.

Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy raczej całkiem się załamać. Jędrzej jest taki wrażliwy. Całymi tygodniami nie wychodził z pokoju. Odpowiadał półsłówkami. Mówił tylko o ojcu. Teraz wreszcie coś go zainteresowało. Nigdy nie przypuszczałam, że jego pasją może okazać się gotowanie, kiszenie i suszenie pomidorów. Z drugiej strony mężczyźni są najlepszymi kucharzami. Może właśnie odkrył swoje powołanie? A ja uparłam się, że akurat w tym czasie powinien odrabiać lekcje. Zupełnie jakbym nie wiedziała, że on nie jest w stanie robić tego sam. Powinnam z nim usiąść, a nie wyganiać z kuchni i oblepiać całego mokrą gliną.

Rozdział 11

Ta śmietana już opadła

LENA

Marcel przypomniał mi dzisiaj, dlaczego się rozstaliśmy rok temu.

- Lepienie garnków? Chyba żartujesz? Akurat teraz, kiedy mam wolny wieczór? - Był naprawdę obrażony. - Mogłabyś sobie raz darować.

- Nie mogę, bo... - Chciałam mu wyjaśnić, że to przecież moja praca, ale ugryzłam się w język. Nie mogłam o tym powiedzieć nikomu, nawet jemu. Zresztą to naprawdę nie było najważniejsze. - Nie daruję sobie, bo chcę tam iść. Lubię dziewczyny, mam do skończenia zegar w liście dębu i pomysł na fajny lampion. No i jestem ciekawa, czy facet Goški wreszcie dostał rozwód.

- Zadzwoń do niej, dowiedz się. Nie musisz wychodzić z domu, żeby o to zapytać.

Miał rację, oczywiście. Nie musiałam. Zegar można było spryskać lekko wodą i zawinąć szczelnie folią, żeby nie wysechł, a lampion zrobić następnym razem. Mimo wszystko nie widziałam powodów, żeby zrezygnować.

- Chcę tam iść, i już - obstawałam przy swoim. A potem dodałam niepewnie: - To są moje przyjaciółki, rozumiesz?

Pierwszy raz nazwałam je w ten sposób. Nie byłam pewna, czy mam do tego prawo, w obliczu oszustwa, które nieustannie popełniam... Jednak dla mnie stały się przyjaciółkami. Ufałam im i chciałam z nimi przebywać.

- W takim razie wracam na noc do siebie - oznajmił Marcel obrażony.

I dotrzymał słowa.

MARTA

Dziś w Norce wysiadł prąd.

- Cholerne korki! Znowu! - jęknęła Nora.

- To nie korki. - Gośka od razu wyjrzała przez okno. - Na całej ulicy panują egipskie ciemności. Gdzie masz latarkę?

- Nie mam - odpowiedziała cichutko.

- A świece? - Nie ustępowała Gośka. Świeczek też nie było.

- Mamo! - żałośnie zawołał zza drzwi któryś z chłopców.

- Nie ruszaj się! - krzyknęła do niego Gośka.

Za późno. Z drugiej strony drzwi rozległ się przeraźliwy łomot. A potem wrzask.

- Jezus Maria! - pisnęła Nora i ruszyła na oślep w stronę drzwi.

Po chwili z jej ust nie padały już imiona świętej rodziny, lecz znacznie mniej cenzuralne słowa. Z tego, co syczała pomiędzy nimi, wywnioskowałam, że wpadła na stół.

- Nie ruszać się! - rozkazała Gośka jednocześnie nam i dzieciom za drzwiami. - Wszyscy zostają na swoich miejscach!

Brzmiało to trochę jak z kryminału, w którym policja wpada do kryjówki podejrzanych. Nikt nie ośmielił się jej sprzeciwić. Wyjęła z kieszeni komórkę i oświetliła jej słabym światłem kawałek podłogi. Znalazła swój plecaczek i wyciągnęła z niego coś, co wyglądało jak marker - a było latarką. Oczywiście.

- Zawsze masz ją przy sobie? - zapytałam.

- Jasne, że tak - roześmiała się Gośka. - Dużą, prawdziwą, trzymam w samochodzie. Ale przecież trzeba jeszcze do niego dojść, nie zabijając się po drodze.

Wyszła z pracowni, przyświecając sobie tym niby - długopisem. I niemal natychmiast znowu weszła. A właściwie najpierw wszedł potężny snop światła, a dopiero potem ona. Przebiegła przez Norkę i wsunęła się przez drzwi, zamaskowane wiszącymi na nich narzędziami, do części prywatnej domu.

- Ojej, górnik! Jak w filmie! - pisnął Jonek czy może Janek.

Faktycznie, Gośka wyglądała jak górnik. Bo jej prawdziwa latarka była tak naprawdę lampą czołową na szerokiej pomarańczowej opasce.

Jej widok sprawił, że sytuacja nagle przestała wydawać się ponura. Wszystkie zwiłyśmy się ze śmiechu.

Chłopcy też weszli do pracowni uśmiechnięci od ucha do ucha. Szli gęsiego, trzymając w prawych dłoniach grubą linę, powiazaną z kuchennych ścierek.

- Przepraszam, nie znalazłam nic innego - mruknęła Gośka, wypuszczając z ramion popiskującą i przerażoną Pysię, sadzając dzieci pod ścianą i jednocześnie instruując Julka: - Wymyślasz zwierzę, a oni muszą odgadnąć, zadając ci pytania. Możesz odpowiadać tylko tak albo nie. Jeremiemu odpowiadaj pełnymi zdaniami, dobra?

- Ja chcę grać tak jak wszyscy! Żadnych forów! Wcale nie jestem malutki! - uniósł się honorem najmłodszy i najbardziej rudy z synów Nory.

- Zapamiętałeś zwrot „dawać fory”. Brawo, mały! - ucieszył się Julek.

- Nie jestem mały - warknął Jeremi.

Najwyraźniej chłopcy wcale nie czuli się nieswojo w ciemnej pracowni oświetlanej tylko czołówką Gośki. Już po chwili przekrzykiwali się w pytaniach o zwierzę, które wymyślił Julek.

- Czy to jest ssak?

- Nie.

- Ptak?

- Nie.

- Czy to żyje w wodzie?

- Tak.

- Czy jest rybą?

- Nie.
 - Czy jest płazem?
 - Nie.
 - Gadem?
 - Nie. Brawo, Jonek, nie wiedziałem, że znasz takie słowa jak gad i płaz!
 - Czy to robal?
 - Hmm... Widzisz, Jeremi, robal to nie jest pojęcie poprawne z punktu widzenia systematyki zwierząt.
 - Mamo, on oszukuje! - rozplakał się Jeremi.
 - Tak, to robal - zgodził się szybko Julek.
 - Pływak żółtobrzeżek - mruknął Jędrzej, do tej pory niebiorący udziału w zabawie.
 - Skąd ty znasz takie nazwy? - zainteresowała się Nora.
 - Skąd wiedziałeś, że chodzi o żółtobrzeżka? - zdziwił się Julek.
 - Widzieliśmy żółtobrzeżka z tatą nad jeziorem - wyjaśnił Jeremi.
- A wtedy Jędrzej zerwał się z miejsca i wybiegł z pracowni.
- Auu! - Usłyszeliśmy wszyscy jego wrzask chwilę później.
 - Wpadł na kozę - jęknęła Nora.
 - Macie kozę? - zdziwiłam się nieco.
- Nigdy nie wspominała o kozie hodowanej w kuchni.
- Żeliwną kozę. Piecyk - mruknęła. - Dostałam tydzień temu od Karola, powiedział, że nie pozwoli, żeby moje dzieci zamarzyły. W kozie można palić dosłownie wszystkim.
 - Stąd nazwa - wtrąciła się Gośka. - Koza zje wszystko, nawet tekturę. Żeliwna też.
 - Tak? Nie wiedziałam. - Pokiwała głową zdumiona Nora.
 - No ale nieważne, dostałam kozę. Jeszcze nie jest zamontowana, stoi na środku. Jędrzej, nic ci nie jest?

- Nic - mruknął chłopak. - Auu, auuu! Nic, nic, wszystko w porządku.

Po chwili rozległy się jego kroki na schodach. Najwyraźniej udało mu się trafić po ciemku na górę bez żadnych groźnych obrażeń.

- To jeszcze raz, zaczynamy. - Julek zachęcał braci do zabawy. - Teraz będzie naprawdę łatwe.

- Ma dziób? - Janek nie dał się długo prosić. - Tak.

- Ptak? - Nie.

- Dziobak?

- Tak! - roześmiał się Julek. - Chyba czytasz mi w myślach.

- Ja też wiedziałem! Ja też! - zawołał Jeremi.

- Tylko nie mów, że widziałeś dziobaka podczas spaceru z tatą - mruknęła Nora pod nosem.

- Teraz ja zadaję zagadkę! - zgłosił się Jonek. - Będzie bardzo trudna.

Chłopców najwyraźniej miałyśmy z głowy. Lepienie chyba też.

- Poświęć tutaj, muszę dokończyć wycinać ten kwiatek, zanim mi wyschnie na wiór. - Lena jak zwykle robiła jakiś gigantyczny ażurowy lampion.

Ciekawe, czy ustawia je potem na podłodze wzdłuż ściany i zapala w nich świece, żeby stworzyć odpowiedni nastrój, a później uprawia seks tantryczny z weterynarzem?

Chciałam nawet o to zapytać, ale nie zdążyłam, bo nagle drzwi do pracowni otworzyły się z impetem i ktoś wpadł do środka, niosąc w dłoni pochodnię. Jak na faszystowskim marszu albo na kuligu gdzieś w górach.

- Cześć, dziewczyny! - To był Karol. - W radiu usłyszałem, że jest u was jakaś gigantyczna awaria i nie będzie prądu do rana. Pomyślałem, że przyda się zapas świec i mały piecyk naftowy. No i herbata w termosie. Ten pomysł Jacka,

żeby nie ciągnąć gazu do domu, nie najlepiej sprawdza się w takich sytuacjach.

Nigdy nie słyszałam, żeby Karol był taki gadatliwy!

- My już musimy iść. - Lena poderwała się z miejsca.

- Prawda, zrobiło się późno - zgodziła się Gośka. - Nora, zostawię ci tę latarkę. I tę też. A ty, Karolu, lepiej zgaś pochodnię, bo jeszcze coś podpalisz niechcący. Nie no, nie tak, przecież jej nie zdmuchniesz. Musisz stłumić płomień w jakimś naczyniu z wodą albo zalać pochodnię. Wodą, słyszysz? Jak zaczniesz dmuchać, to pożar murowany!

Karol posłusznie poszedł za nią do łazienki.

- Nora, zapal świece. Poradzicie sobie? - Gośka wróciła po kilku sekundach, zakładając kurtkę i plecak jednocześnie.

Ja i Lena też zaczęłyśmy w pośpiechu zbierać rzeczy. To była doskonała okazja, żeby zostawić Karolka i Norę samych. W ciemności, w mroźną noc... Może wreszcie Karol przełamie swoją nieśmiałość?

- Chłopaki, spać. - Gośka sprowadziła mnie na ziemię. Nie zostaną we dwójkę, nawet po naszym wyjściu. Jest jeszcze pięciu rudzielców, przerażonych i potrzebujących opieki.

- Ja ich położę. - Julek chyba też chciał, żeby Nora mogła spokojnie posiedzieć z Karolem. - Dacie mi jakąś świeczkę?

- Weź latarkę, przynajmniej nic nie podpalicie. - Gośka zainstalowała mu na głowie czołówkę. - Na pewno sobie poradzisz? Jasne, że tak, nie pierwszy raz zajmujesz się braćmi. Nie odkręcajcie kranów z ciepłą wodą, jeśli opróżnicie termę, może wybuchnąć. Zapamiętasz?

- Jasne. - Najstarszy syn Nory był chyba zniecierpliwiony. - Dobranoc.

Dobranoc, nic tu po nas. Wybiegłyśmy we trzy z pracowni i przycupnęłyśmy przy samochodach, w całkowitej ciemności,

wpatrując się w małe okienko w drzwiach garażu. Migotał w nich płomień świecy, przesuwały się dwa cienie.

- Myślicie, że ją pocałuje? - szepnęła Lena.

- Jak nie dziś, to już chyba nigdy - jęknęłam. - Ma idealną okazję.

Stałyśmy tak jeszcze przez chwilę, jednak trudno się było zorientować, czy cienie przysuwają się do siebie, czy może wprost przeciwnie.

- To co? Wracamy do domu, tak? - zapytałam, mając nadzieję, że awaria nie dotarła na moje osiedle. Nie umyłam nawet rąk, byłam ubrana w stary dres i zielony fartuch pomazany szklivami we wszystkich kolorach tęczy. Trudno żebym przebierała się w tych ciemnościach. Zostawiłam u Nory w łazience swoje spodnie i kaszmirowy sweterek. Nic, zabiorę je następnym razem. Teraz chciałam po prostu wskoczyć pod ciepły prysznic i usunąć zza paznokci zaschniętą glinę. Gdy jednak weszłam do salonu, zrozumiałam, że nie będzie mi to dane. Przynajmniej nie od razu.

Na kanapie siedzieli nasi sąsiedzi, Seweryn i Bogna. Dawni sąsiedzi. Uznali, że nasze osiedle nie jest jednak dostatecznie prestiżowe, i w ogóle mieszkanie w bloku, nawet takim małym jak nasz, zaczęło ich nudzić i przenieśli się nieco bliżej centrum, na Stary Mokotów. Nas też do tego namawiali. I może nawet poważnie bym to rozważyła, gdyby nie głębokie przekonanie Piotra, że nasze dzieci znacznie bardziej niż prestiżu będą potrzebowały czystego powietrza. I ciszy, której dwie przecznicie od Puławskiej raczej za wiele nie ma. A plac zabaw na naszym osiedlu wygrał konkurs wojewódzki na miejsce bezpieczne dla dzieci. Żadne drabinki we własnym ogródku nie wygrają z urządzeniami, które tam ustawiono. A poza tym przy Piotra alergii na pyłki koszenie trawnika na pewno nie wchodziłoby w grę. Nawet gdyby kosił wynajęty

ogrodnik, mój ukochany zakatarzony mąż musiałby wyprowadzać się na dwa dni do teściów. Niespecjalnie mi się podobała taka perspektywa. Na pewno byłyby to właśnie te dwa dni w miesiącu, kiedy koniecznie powinnam mieć go blisko siebie... Te dwa dni, gdy dojrzała komórka jajowa...

- Cześć. - Z trudem wyrwałam się z tych rozmyślań i wyciągnęłam rękę do Bogny i Seweryna, w panice zastanawiając się, czy byliśmy na dziś umówieni. Oni nigdy przecież nie przychodzą bez zapowiedzi.

Nikt nie uściśnął mojej dłoni. Seweryn nie złożył na niej swojego słynnego szarmanckiego pocałunku. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że mam glinę za paznokciami, na paznokciach, w porach skóry, a dookoła skórek mam brązowe szkliwo, które pięknie wychodzi na kamionkowych miskach i talerzach. I które roztarte na skórze wygląda zupełnie jak krew. Zwłaszcza w tym świetle.

- Chyba przyszliśmy nie w porę. - Bogna najwyraźniej miała atak paniki.

- Co ci jest? - Seweryn był bardziej bezpośredni. - Macie remont w firmie? Skaleczyłaś się?

- Nie, to tylko, no, ceramika artystyczna. - Na myśl o tym, że zaraz będę musiała opowiedzieć im o lekarzu, który zalecił mi relaks z rękoma po łokcie w glinie, zrobiło mi się trochę słabo. Postanowiłam szybko zmienić temat. I oczywiście nie wybrałam zbyt rozsądnie. - Byliśmy umówieni na dzisiaj? Przepraszam, musiałam zapomnieć. Piotr chyba też... Bogna zachichotała niepewnie.

- Nie umawialiśmy się. Zadzwoiłam do Piotra w ostatniej chwili, znajdowaliśmy się akurat w pobliżu. Bo... Marta, uważaj, nie siadaj na krześle! Pobrudzisz tą szmatą, znaczy, tym, co masz na sobie, całą tapicerkę.

Musiałam przyznać jej rację. Mój zielony fartuch pokrywały kolorowe plamy. Najnowsze z nich, pozostałe po

dzisiejszym szklwieniu, wciąż były wilgotne. Gdybym usiadła, na zawsze mogłabym pożegnać się z tą cudowną śnieżną bielą moich krzesel, sprowadzonych ostatniej wiosny z Mediolanu.

- Chcieliśmy namówić was na kurs darcia sałaty. - Seweryn się uśmiechnął. - Akurat zwolniły się dwa miejsca, u samego mistrza.

- U tego Francuza, w szkole na Saskiej Kępie? - Słyszałam swój głos, jakby z oddali. Głos z przeszłości. Tak, to chyba był on. - U tego samego, który uczył nas kroić zioła w czasie sierpniowego długiego weekendu?

- U tego samego. Największy specjalista od ziół, sałaty i natki pietruszki - zachwycała się Bogna. - Przyznasz, że sześć stów zainwestowanych w krojenie ziół i cztery stówki za weekend z pietruszką to naprawdę dobra inwestycja. Nigdy już nie popełnię tego kardynalnego błędu i nie spróbuję przekroić gałązki tymianku tak, jak podpowiada rozsądek. Zioła przecież... Jak on to mówił...? „Zioła brzydzą się logiką i łamią wszelkie zasady. Zioła kroi się sercem, a nie nożem”.

Pamiętałam tamte zajęcia. I mój zachwyt z powodu idealnie rozdrobnionej kolendry i bazylii, które nie utraciły ani grama ze swego aromatu. Naprawdę byłam przekonana, że kilkaset złotych to wyjątkowo atrakcyjna cena za to niezwykle doświadczenie. A teraz...

- Darcie sałaty, tak? - upewniłam się.

- Od razu pomyśleliśmy, że będziecie wniebowzięci. Taka okazja, zapisy zamknięto już w październiku. Dosłownie w ostatniej chwili jedna z par zrezygnowała. Podaliśmy wasze nazwisko, bez pytania. Byłam pewna, że zapiszecie się bez wahania. To tylko siedemset złotych za dwa dni zajęć! Bardzo rozsądna cena, prawda?

- Prawda. - Pokiwałam głową, nie chcąc rozczarować ani moich byłych sąsiadów, ani mojego męża. Zwłaszcza jego. -

Tylko że ja nie mogę. To znaczy nie mam czasu. W firmie mamy akurat gorący okres i...

- I dlatego lepisz garnki po nocach i ubierasz się w brudne szmaty? - Bogna omiotła mnie zdumionym spojrzeniem, po raz kolejny. Najwyraźniej miała to wyćwiczone. - Nie rozumiem, dlaczego masz czas na tę okropną klejącą się do wszystkiego glinę, a nie możesz poświęcić dwóch dni na naprawdę wartościowy kurs w eleganckim towarzystwie.

Przez moment walczyłam z pokusą, żeby powiedzieć jej prawdę: że mam gdzieś to całe nadęte, eleganckie towarzystwo i że nigdy w życiu nie bawiłam się tak dobrze jak w pracowni u Nory. Wiedziałam jednak, że to wyjaśnienie by się jej nie spodobało. Ani Sewerynowi. Piotrowi też nie. Bogna i Seweryn to dla niego wyższe sfery. Warszawiacy z dziada pradziada, ludzie, którzy uratowali w czasie powstania porcelanową zastawę i pianino, na którym grał przed wojną sam... no, sam ktoś tam, bardzo ważny i oczywiście spokrewniony z rodziną Bogny.

- Czuję się odrobinę lepszy po spotkaniu z nimi - wyznał mi kiedyś. - Wiesz, tak jakby jakiś odprysk ich wspaniałej rodzinnej historii wpadł mi do kieszeni podczas obiadu, który z nimi jedliśmy.

Do kieszeni? Może nie był lepszy niż zwykle, za to na pewno bardziej poetycki. Ja jednak czułam się przy Bognie i Sewerynie mniej poetycka i znacznie bardziej wściekła niż normalnie. I już wiedziałam, że nic mnie nie powstrzyma przed wygarnięciem im tego, co myślę.

- Nie mam ochoty na jakieś idiotyczne szarpanie sałaty po to, żeby wielki mistrz z samego Madrytu mógł ją potem podać głodnym tłściochom czekającym w restauracji za ścianą! - wybuchłam. - Dlaczego mam płacić za to, że marnuję czas, żeby mu pomóc w przygotowaniu posiłku? I to w towarzystwie jakichś idiotek, które i tak same nic nie gotują,

tylko zamawiają catering na swoje genialne przyjęcia? Dziękuję, nie skorzystam. I w razie gdyby zorganizowano kurs obierania kielbasy z flaczka, też nie musicie mnie informować, raczej się nie wybiorę. Ale ty, Piotrze, jeśli chcesz, oczywiście zapisz się na te zajęcia. Może znów coś cennego wpadnie ci do kieszeni?

Cała trójka patrzyła na mnie jak wryta.

- To my już chyba pójdziemy, widzę, że Marta nie czuje się najlepiej. - Bogna poderwała się z kanapy, waląc się przy okazji o blat stolika w udo.

Nie wytrzymałam i wydałam z siebie zdławiony śmiech. Pewnie będzie miała niezłego sińca na swojej pięknej nodze bez grama cellulitu.

O Boże, co mnie napadło?

- O Boże, co cię napadło? - zapytał Piotr, opierając się o drzwi, za którymi zniknęli nasi elegancy i subtelni goście.

Obydwoje znaleźliśmy odpowiedź. To PMS. Zawsze objawia się w ten sposób. Jestem wściekła, rzucam ludziom obelgi prosto w twarz, w przekonaniu, że mam rację, i doprowadza mnie do szału, że inni tego nie rozumieją. Próbuję im wyjaśnić, przedstawić tę jedyną słuszną wersję. Oczywiście bez skutku. Dwa razy w życiu rzuciłam pracę - za każdym razem miałam PMS. Raz zerwałam z przyjaciółką, jeszcze z podstawówki. Wyjaśniłam jej, że jest nudziarą bez polotu, a jej mąż ćwierćinteligentem, z którym nie da się rozmawiać. Odeszłam od dwóch narzeczonych. I wyprowadziłam się jako szesnastolatka od rodziców. To był chyba mój pierwszy tak spektakularny PMS. Co prawda po dwóch dniach błagań rodziców łaskawie zwinęłam namiot rozbity na działce u jakiejś emerytki, której płaciłam w naturze, zbierając jabłka z jej dwóch krzywych drzewek, i wróciłam do domu. Taka jest prawda, mój PMS wszystkim dawał się we znaki. Do tej pory bez problemu znosił moje humory tylko Piotr, no i

dziewczyny z garów. Lena, Gośka i Nora jakimś cudem nie widziały do tej pory porządnego ataku szału w moim wykonaniu. A Piotr... cóż, on po prostu bardzo mnie kocha.

- Miałem nadzieję, że w tym miesiącu nas to ominie - szepnął, tuląc mnie do siebie.

A ja wiedziałam, że nie chodzi mu o napad hysterii i obrażanie jego przyjaciół, lecz o to, że łudził się, że w końcu jakimś cudem w tym miesiącu nam się uda. Gdy obudziłam się w środku nocy, poduszka była mokra od łez. Chyba nie moich...

LENA

Nie wiem, ile par rozstaje się z powodu masła. Ale ja i Marcel nie będziemy już razem. Przez masło właśnie.

- Drogie - syknął mój piękny weterynarz, widząc, jak wkładam do koszyka kostkę w lśniącym sreberku. - To dla twojej mamy?

- Dla mamy - przytaknęłam. - Leży z grypą od czterech dni, powoli kończą się jej zapasy. Postanowiłam kupić kilka najpotrzebniejszych rzeczy i parę niepotrzebnych łakoci i wpaść do niej na chwilę, w drodze do teatru.

- Twoja mama nie doceni fińskiego masła, kup zwyczajne - upierał się Marcel.

A potem przyczepił się do czekoladek. Ze to bez sensu, że jak kogoś boli gardło, i tak nie ma możliwości rozkoszowania się belgijskimi przysmakami, że ona tego...

- Tak, wiem: nie doceni - wycedziłam lodowato. - I co z tego? Nie zależy mi na tym, by doceniła. Chcę po prostu zrobić jej przyjemność. I nie zamierzam oszczędzać złotówki, żeby kupić tańsze masło. Nie po to pracuję po dwanaście godzin dziennie. Rozumiesz?

Marcel chyba nie rozumiał. Przynajmniej nie do końca.

A ja uznałam, że mam dość.

- Nie będziesz mi mówił, kiedy mogę się spotkać z przyjaciółkami, a kiedy nie, i jakie masło mam kupić własnej matce za moje własne pieniądze. Przypomniałeś mi wszystkie awantury z czasów, kiedy mieszkaliśmy razem. Nie mam ochoty przeżywać tego ponownie. Już nie. Cześć.

- A bilet do teatru? Ma się zmarnować?! - zawołał za mną Marcel.

Roześmiałam się. A więc tylko to było ważne, że bilet za stówę tak po prostu się zmarnuje.

- Możesz go sprzedać. Może nawet trochę drożej, niż go kupiłeś? Tym sposobem jeszcze zarobisz na naszym rozstaniu. Czy to nie jest kusząca perspektywa?! - odkrzyknęłam przez ramię i wskoczyłam do tramwaju z torbą pełną zakupów.

A potem spędziłam z mamą przemiły wieczór. Wcale nie robiła wrażenia osoby, która nie doceni belgijskich czekoladek z powodu grypy. Nikt przecież nie amputował jej kubeczków smakowych. Na swoje ulubione nadzienie z marcepana z pistacjami reagowała więc jak zwykle, z rozkoszą przewracając oczami i powtarzając, że: „Sam Pan Bóg nie wymyśliłby doskonalszego połączenia”.

Tak, to był naprawdę udany wieczór.

W dodatku okazało się, że wcale nie muszę wracać do pustego domu i gapić się smętnie w sufit.

„Hura, wyciągnęłam Norę do klubu! Jej rodzice siedzą z chłopcami. Chodź, poszalejemy jak nastolatki!” - moja komórka zawibrowała, przynosząc mi taką wiadomość od Gośki.

Nie wahałam się długo. Klub z dziewczynami - to brzmiało dużo lepiej niż teatr z nabzdyczonym Marcelem, żalującym fińskiego masła niedoszłej teściowej. Klub... Nie byłam w klubie od matury! Nie miałam pojęcia, w co się ubierają dziewczyny odwiedzające takie miejsca. Chyba raczej nie w koronki i atlas, w które byłam wystrojona. Szłam

przecież do teatru, na premierę. Do diabła z tym! W końcu idziemy do klubu ze względu na Norę, nie dla przyjemności. A więc palicho koronki, jeśli ma jej to pomóc. Mogą mnie nawet pokazywać palcami, już przy samym wejściu. Jeśli tylko w ten sposób wyciągniemy ją na dobre z depresji.

Ale, ale, oprócz koronek miałam jeszcze niebotyczne szpilki. Mogłam sobie na nie pozwolić, w końcu dziś prowadził Marcel. W szpilkach raczej się w klubie nie zabawię ani nie dotrzymam kroku Norze. Nie było wyjścia, musiałam wziąć taksówkę i błyskawicznie się przebrać.

Na schodach stał Gracjan.

- Musimy porozmawiać - oświadczył.

Jak zwykle wybrał znakomity moment. Gośka miała podjechać po mnie za dziesięć minut!

Nerwowo omiotłam wzrokiem okolice nóg Gracka. Gdzie postawił transporter Dropsa? Na jak długo wyjeżdża tym razem?

- Nie zajmę się kotem - oświadczyłam stanowczo. - Nie ma mowy. To twój kot i sam musisz o niego zadbać, nie mam z nim już nic wspólnego. Nie jesteśmy parą, jeśli o tym zapomnieliś.

- Nie jesteśmy - powtórzył Gracjan, kiwając głową. - Właśnie o tym chciałem porozmawiać. To chyba była pochopna decyzja, nie wydaje ci się? Przecież wiele nas łączy i... Pamiętasz, jak dobrze się razem bawiliśmy i jakie mieliśmy wspaniałe plany, i...?

Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać.

- Obrobiłeś mi tyłek przed wszystkimi znajomymi - przypomniałam mu bezlitośnie. - Spaliłeś moje książki, które zostały u ciebie w mieszkaniu, chociaż mówiłam, że przyjadę po nie za dwa dni. Powiedzieliś mojemu szefowi, że jestem nieodpowiedzialna i za dużo piję. A potem zadzwoniłeś do

mojego ojca i naplotłeś bzdur o tym, że chcę zerwać więzi z rodziną! Tata mało zawału nie dostał, jak to usłyszał!

- Byłem zły, że odeszłaś. A później jeszcze bardziej zły, bo wypuściłaś Dropsa na balkon. Sama zachowałabyś się tak na moim miejscu.

Nie zachowałamby się, tego akurat jestem pewna. Byłam już w życiu naprawdę zła na swoich facetów, ale nigdy nie leciałam do ich ojców. Ani do szefów, żeby opowiedzieć, że mają problem z alkoholem. Chociaż Paweł miał, i to całkiem spory.

- Zacznijmy od początku - rzekł poważnie, patrząc na mnie tymi swoimi błękitnymi oczkami.

„Błękitnymi jak meduza na dachu jego samochodu” - pomyślałam i zrozumiałam, że z tego związku jestem wyleczona na dobre. I to nie tylko dzięki kilkunastu dniom z Marcelem.

- Nie, Gracjan. Nie. Ta śmietana już mi opadła - oświadczyłam.

Najwyraźniej nie zrozumiał.

- Śmietana? - powtórzył zdumiony.

- Śmietana. Bitą. Byłeś dla mnie jak bita śmietana. Coś, czemu nie umiem się oprzeć, chociaż czasami aż mnie mdli. A ja wciąż chcę więcej i więcej. Tak było, ale już nie jest. Śmietana opadła. Jestem wyleczona. Idź już, proszę. Muszę się przebrać. Spieszę się do pracy.

- O tej porze? - Gracjan spojrział na zegarek. - Znowu rozpracowujesz po godzinach jakiś szczególny przypadek?

- Znowu. - Pokiwałam ponuro głową. - Chociaż tego akurat przypadku wolałabym nigdy nie rozpracować do samego końca.

- Chcesz o tym pogadać? Wiesz, jak kiedyś. - Gracjan nie rezygnował z prób wejścia do mojego mieszkania.

- Nie, dziękuję, mówiłam już przecież... - Naprawdę nie miałam ochoty znów wygłaszać tej płomiennej przemowy.

- Tak, wiem, z tej śmietany bitej już nie będzie, powiedziałaś wyraźnie. - Pokiwał głową i wreszcie poszedł.

A ja omal nie udusiłam się ze śmiechu. Zdecydowanie mi minęło. Co za ulga! Chociaż tak naprawdę, czy powinnam się czuć tak wspaniale, splawiając dwóch facetów w jeden wieczór?

GOŚKA

Lena przyszła do klubu ubrana jak na galę rozdania Oscarów. Koronki, tiule, wielki dekolt z lśniąca kolia. Wyglądała prześlicznie. Wszyscy faceci gapili się tylko na nią. Dziewczyny też - tyle że one omijały wzrokiem dekolt i talię osy otoczoną tiulem, za to wpatrywały się w jej stopy. Nie włożyła szpilek, balerinek ani żadnych innych butów, których można by się spodziewać. Miała na nogach adidas. Jaskrawe, żółte adidas.

Dwie blondynki przy barze spojrzały na siebie i pokiwały z uznaniem głowami.

- Pamiętasz te migawki z pokazów w Paryżu? Balowe suknie i sportowe buty? - odezwała się wyższa.

- Sportowych butów mam pół szafy, ale taka kiecka musi kosztować z tysiąc jurków - westchnęła niższa.

- Co to za waluta: jurki? - zapytałam Lenę, wracając do stolika. - Podobno twoja kiecka kosztuje z tysiąc.

- Euro! - roześmiała się Lenka. - Nie słyszałaś nigdy? Młódzież tak mówi. Od angielskiej wymowy: juro, jurki.

- Nie mam pojęcia, jak mówi młódzież - przyznałam. - Moja Cloe jest jeszcze trochę za mała. Za to wiem, że twoje buty zestawione z tą kiecką robią na dziewczynach kolosalne wrażenie.

- Szlag by to trafił! - Oczy Lenki zrobiły się wielkie jak talerzyki. - Wszystko przez tego Gracka. Wróciłam do domu

się przebrać, a zmieniłam tylko buty, zupełnie zapomniałam, co mam na sobie, wyprowadził mnie z równowagi. Szlag!

- Jak to przez Gracka? - Nora nareszcie oderwała się od zabawy słomką do napojów i zainteresowała światem zewnętrznym. - Myślałam, że teraz jest Marcel.

- Marcel? Nie, Marcel jest już nieaktualny. Zapomnijmy o Marcelu. Nie ma go, chyba już od trzech godzin - oświadczyła, zaskakując nas kompletnie.

- Jak to: nie ma? - Nora kręciła głową z niedowierzaniem.
- Umarł? Zamordowałaś go?

- Gracjan go zamordował? - wtrąciłam bardziej prawdopodobne rozwiązanie.

Ale ona nie zdążyła odpowiedzieć. Bo nagle do klubu wpadła Marta.

- Przepraszam, że dopiero teraz. Byłam u cudotwórcy.

- Cudotwórcy?! - Już raz coś słyszałyśmy na ten temat. A raczej ona próbowała nam powiedzieć, bo przyszedł ten niewydarzony Karolek i nie dał jej dokończyć.

- No, u cudotwórcy! Uzdrowiciela. Zielarza. Faceta, który nakłada ręce i wydziela jakieś pole, tak?

- Już u niego byłaś - przypomniałam.

- Nie, to był zupełnie inny cudotwórca. - Machnęła ręką. - Tamten okazał się oszustem, nawet w gazetach o tym pisali. Zresztą po nim byłam jeszcze u paru specjalistów medycyny niekonwencjonalnej. I u specjalisty od masażu kamieniami. U homeopaty, który sporządził dla mnie unikalną mieszankę ze słodkich kuleczek. I u jasnowidza. No, ale on nie wypatrzył w mojej przyszłości nic ciekawego. Przeszłości zresztą też nie widział, wmawiał mi, że jestem samotną kobietą szukającą miłości. Byłam też u kolejnego mistrza reiki i u paru innych specjalistów. Ale żaden nie był tak sławny jak ten, który przyjął mnie dzisiaj. To wielka postać, naprawdę. Podobno potrafi nawet przenieść ciężę pozamaciczną do macicy,

wystarczy, że położy dłoń na brzuchu. Stoją do niego niesamowite kolejki, przyjeżdżają ludzie z całej Polski. Trzeba się zapisywać na wizytę dwa miesiące wcześniej.

- Taka ciąża pozamaciczna po dwóch miesiącach od zapisu już raczej nie istnieje - zauważyłam. - Ewentualnie leży w trumnie razem z upartą kobietą, która zamiast jechać do szpitala, czekała na wizytę u tego twojego szarlatana. Przecież w takim przypadku liczy się każda godzina.

- W nagłych przypadkach przyjmuje bez kolejki, tak? - Marta przewróciła oczami. - No, ale ja nie byłam nagłą. Oczekałam dwa miesiące i dziś poświęcił mi swój czas. Mówię wam, to było niesamowite. Masował mnie całą językami zrobionymi z gałęzi azjatyckiego krzewu o cudownej mocy. Otwierał mi kanały energetyczne. I trzecie oko. Powiedział, że już i tak mam je lekko odemknięte i wystarczy tylko odrobina pracy, żebym zaczęła naprawdę widzieć.

- Trzecie oko? - Nora patrzyła na nią ze zgrozą. - A gdzie ty masz to oko? Skoro to ma coś wspólnego z zachodzeniem w ciążę, to... Tak to się teraz nazywa?

Marta położyła palec na czole, tuż nad nosem.

- Trzecie oko, nie trzeci jajnik - roześmiała się. - Wyjaśnił mi, że cały organizm jest jak rzeka. Wystarczy, że w jednym miejscu energia nie przepływa prawidłowo, szerokim korytem, a wszędzie powstają problemy. Tu powódź, tam susza. Odkrył u mnie zastój energetyczny w małym palcu u nogi. Prawdopodobnie właśnie dlatego nie mogłam zajść w ciążę. Na szczęście już otworzył moje meridiany i wszystko będzie dobrze. Jeśli za trzy miesiące nie będę w ciąży, zwróci mi pieniądze.

- Za trzy miesiące będzie już przyjmował w innym miejscu, pod innym nazwiskiem albo cię wyśmieje, gdy

przyjdiesz. Nie masz przecież dowodu na to, że zwróci ci pieniądze. - Nora powiedziała dokładnie to, co pomyślałam.

- Oczywiście, że mam. Poprosiłam, żeby dał mi to na piśmie, zanim mu zapłaciłam. - Marta zaskoczyła mnie po raz kolejny. - Bardzo chcę mieć dziecko, ale to nie znaczy, że przestałam myśleć logicznie, tak?

No tak, oczywiście, że tak. Masaże gałkąami i kamieniami są całkowicie logiczne, tak jak i otwieranie trzeciego oka.

NORA

Co za wieczór! Spędziłam u terapeutki o czterdzieści minut więcej, niż powinnam. Wreszcie udało mi się wykrzyczeć ból, który czuję. Była ze mnie bardzo zadowolona. To podobno pierwszy krok do wyjścia na prostą. Mówiłam i mówiłam o mojej złości, bezsilności, o żalu do Jacka, strachu o przyszłość moich dzieci, wściekłości na teściową. Kiedy już zaczęłam, po prostu nie mogłam przestać. Ale chyba faktycznie dobrze mi to zrobiło.

Wróciłam do domu wyczerpana. I jeszcze nie zdążyłam zamknąć drzwi, a już Gośka zadzwoniła, żeby mnie wyciągnąć w miasto. Miałam nadzieję, że wreszcie zabierze mnie do tego księdza. Zdołała mnie zaintrygować i jestem już naprawdę ciekawa, o co chodzi - a on już trzy razy przekładał spotkanie, które ma odmienić moje życie. Zawsze coś mu w ostatniej chwili wypada. Nie wiedziałam, że życie księży jest tak pełne niespodziewanych wydarzeń! Myślałam, że znalazł dla mnie czas w nocy, a tu chodziło tylko o wyjście do klubu.

Dziewczyny są kochane, próbują mnie rozerwać za wszelką cenę. A ja naprawdę wolałabym poleżeć z książką na kanapie albo pogadać z tym księdzem, niż siedzieć przy stoliku i patrzeć, jak pary wirują na parkiecie. No dobra, raz nawet zatańczyłam z przystojniakiem w kowbojkach. Wiem, że wdowy nie tańczą, lecz Scarlett też złamała tę zasadę. Tyle

że ona dostała nagrodę w postaci Rhetta. A ja miałam tylko nierozgarniętego, chociaż faktycznie ładniutkiego, kowboja made in Poland. Jednak zatańczyłam. Może rzeczywiście wychodzę na prostą?

- A co z tym księdzem? - dopytywałam po powrocie do stolika i do mojego kieliszka wina.

Gośka jak zwykle nie chciała zdradzić, o co chodzi. W kółko mi powtarza, że dowiem się na spotkaniu, i przysięga, że ksiądz nie będzie mnie nawracał. I że ma nadzieję, że zrobię na nim dobre wrażenie.

- Chyba nie chcesz mnie rekomendować do pracy na plebanii? - roześmiałam się w tym klubie, bardzo głośno, żeby przekrzyczeć muzykę. A muzyka akurat się skończyła i wszyscy zaczęli się na mnie gapić. Niezrażona mówiłam dalej: - Nie bardzo się nadaję na gosposię proboszcza. Kiepsko gotuję, mam alergię na kurz i fatalny charakter pisma. Proboszcz nie rozczytałby wiadomości, które zapisywałam, odbierając telefon. No i chyba nie tolerowałby wychodzenia z wami do klubu.

- Gosposia? Skąd ci to przyszło do głowy? - Gośka wiała się ze śmiechu. - Nie, to coś znacznie ciekawszego.

Ciekawszego? Nie musi być ciekawe, jeśli tylko będzie miało coś wspólnego z pieniędzmi. Prawdę mówiąc, może być nawet zabójczo nudne. Nie potrzebuję rozrywki, tylko forsy. I mam absurdalną nadzieję, że ten ksiądz zaoferuje mi pomoc z jakiegoś funduszu dla rodzin wielodzietnych w trudnej sytuacji materialnej. Chyba muszą mieć coś takiego? Staram się myśleć pozytywnie, lecz naprawdę są takie dni, kiedy mam dla chłopców tylko suchy chleb na śniadanie. Wczoraj wmówiłam im, że Pysia pożarła całe masło i biały ser z lodówki. Uwierzyli... albo udawali, że mi wierzą. Są tacy kochani.

Ale w Boże Narodzenie muszę dać im coś jeść! Cholera, Wigilia zawsze była u nas. Zawsze! Przyjeżdżała upiorna mamuśka Jacka, moi rodzice, siostra, ciotka Alicja, nawet moja siostra cioteczna przylatywała z Paryża z kolejnymi narzeczonymi. A w tym roku... Nie, nie rozmawiałam z nikim o świętach. Najchętniej wymazałabym je z kalendarza. Mam nadzieję, że wszyscy o tym wiedzą i nie zamierzają zwalić mi się na głowę. Nie biorę tego pod uwagę, nie i już! Nie mam czym nakarmić dzieci na co dzień, a co dopiero mówić o wigilijnej kolacji? Nie stać mnie też na prezenty!

Ach, gdybym mogła zasnąć i obudzić się dopiero dwudziestego siódmego grudnia!

Boże Narodzenie, cholera, dopiero w drodze do domu, o trzeciej w nocy, uświadomiłam sobie, że jestem znacznie gorsza niż Scarlett. Nie tylko tańczyłam, zamiast siedzieć pogrążona w rozpacz jako wdowa, ale w dodatku tańczyłam w Adwencie! Moja babcia zawsze powtarzała, że trzeba zachowywać się z umiarem i godnością podczas Wielkiego Postu i Adwentu. Nie wierzę w Boga ani w życie pozagrobowe. Ale... ale co, jeśli się mylę? Jeśli babcia i Jacek patrzą na mnie gdzieś z nieba? Jacek pewnie jest wściekły, że tak szybko pocieszyłam się po jego śmierci. A babcia... Babcia nigdy by mi tego tańca w Adwencie nie wybaczyła. Proboszcz, z którym mam się spotkać, pewnie też nie.

Rozdział 12

Szlag, szlag, szlag!!!

LENA

Szlag! Niech to nagły szlag! Czy to w ogóle możliwe? Jakim cudem? To znaczy... no tak, oczywiście, wiem, skąd się biorą dzieci. Ale... szlag! Dlaczego teraz?! Ja naprawdę bardzo bym chciała, kiedyś... Ale przecież nie teraz i nie w ten sposób! Dziecko powinno przyjść na świat w stałym związku. A czy ja jestem w stałym związku? Od paru dni nie jestem w ogóle w żadnym związku, ani stałym, ani chwilowym. Spławiłam dwóch facetów w trzy godziny.

Nie, to stanowczo nie może być to, o czym myślę. Przecież brałam pigułki. Szlag, no brałam, z małą przerwą. Kiedy rozstałam się z Grackiem, myślałam, że nie będę ich potrzebować. I przestałam łykać. A potem Drops spadł z balkonu i pojawił się Marcel. Więc do nich wróciłam. Nie czekając, aż skończy się stary cykl i zacznie nowy. Po prostu poszłam po nową receptę i łykałam dalej. Tylko że nie od razu. Minęło kilka dni. Co najmniej kilka. Tak, na pewno coś się rozregulowało. W takiej sytuacji to bardzo prawdopodobne, prawda? Jasne, że tak. Nie ma co panikować. Jutro kupię test ciążowy, i już.

Szlag! Pięć dni opóźnienia?! Niemożliwe, okres zawsze mam jak w zegarku. Z tabletkami i bez nich. Skończyłam to opakowanie dziewięć dni temu. A może nawet dziesięć? Nie ma innego wyjaśnienia. Jestem w ciąży, i już. Nie muszę nawet robić testu.

Szlaaag! Dziecko przecież nie powinno wychowywać się bez ojca, z matką siedzącą po dwanaście godzin w pracy, żeby zarobić na pieluchy i dobry żłobek.

Szlag!!! „Nie ma co wpadać w panikę” - powtarzałam sobie co trzy minuty. Bez skutku. Próbowалам czymś się zająć. Czymkolwiek. Usiadłam do komputera, żeby trochę

popracować, lecz zupełnie nie rozumiałam, co jest napisane na monitorze. Zająłam się zmywaniem i natychmiast zgmiotłam szklankę w dłoni. Postanowiłam przejrzeć gazetę, w której na każdej stronie były pary z dziećmi, samotne matki z dziećmi, aktorki w ciąży, piosenkarki w ciąży i zupełnie nikomu nieznane kobiety w ciąży - prawdopodobnie wynajęte, żeby urodzić dziecko jakiejś aktorce albo modelce, niebędącej w stanie samodzielnie donosić ciąży.

Odłożyłam to wszystko i pojechałam do apteki nocnej. W końcu dlaczego mam czekać z zakupem testu do rana, skoro istnieją apteki dyżurne? Są przecież po to, żeby pomagać ludziom w nagłych wypadkach. Mój zdecydowanie był nagły.

- Nie przyjmujemy kart na nocnym dyżurze - oznajmiła mi farmaceutka.

Okej, nie to nie. Poszłam do bankomatu. Znalazłam go cztery przecznice i siedem pijackich zaczepok dalej. Włożyłam kartę i... Jasne, dlaczego miałabym po prostu dostać sto złotych, o które poprosiłam, i wrócić do apteki? W chwili, gdy wystukiwałam na klawiaturze swój PIN, w całej okolicy zgasło światło. Kurczę, co to ma być, dziewiętnasty wiek? Najpierw ta awaria u Nory, a teraz kilka sekund przerwy w samym centrum Ursynowa. Tylko kilka sekund, ale gdy zasilanie przywrócono, ekran bankomatu zrobił się niebieski, potem zielony, a następnie pojawił się napis „Terminal uszkodzony”. Moja karta, niestety, już się nie pojawiła.

Zadzwoiłam natychmiast pod numer zapisany na bankomacie.

- W ciągu trzech dni powinna pani odzyskać kartę - oświadczyła zaspana dziewczyna z infolinii. - Do tego czasu proszę wybierać gotówkę w oddziale.

- A który oddział jest czynny w niedzielę? - zapytałam.

I oczywiście usłyszałam, że żaden.

A więc miałam przed sobą ponad trzydzieści godzin czekania. Albo pożyczanie od kogoś zawrotnej sumy dwunastu złotych na test. No, może jedenastu. Złotówkę miałam jeszcze w portmonetce. Kurczę, dlaczego nie poszłam do bankomatu w ciągu dnia?! I dlaczego wciąż nie odebrałam z poczty listu poleconego, w którym była nowa karta kredytowa? Bo stara straciła ważność dziesięć dni temu. Szlag!

Wróciłam do domu. Po drodze przywołałam resztki zdrowego rozsądku i postanowiłam nie dzwonić jednak do nikogo z prośbą o pożyczkę o północy.

Spać odechciało mi się gruntownie, więc zajęłam się rozmyślaniami o sytuacji, w której - byłam tego pewna i bez testu - właśnie się znalazłam. Szlag!!! Przez chwilę kusiała mnie absurdalna myśl, żeby oddać to dziecko Marcie! Ona marzy o dziecku. Ja nie. To znaczy - ja tak, oczywiście, jak najbardziej. Od dawna czuję, że powoli dojrzewam do tej decyzji i że naprawdę pewnego dnia, w przyszłości, chciałabym mieć dziecko. Ale przecież nie w taki sposób! Nie w tym miesiącu. Przeciężenia w samolocie do Stanów, aspiryna, którą łykałam jak szalona, żeby pozbyć się migreny i jet laga, półtora opakowania pigułek, no i alkohol. Całe morze alkoholu. Jak to dziecko ma być zdrowe, skoro mamusia zafundowała mu fantastyczną zabawę w klubie podczas wyciągania Nory z depresji? Jak nic będzie miało ten syndrom... no, czytałam o tym... syndrom pijanego dziecka, czy jakoś tak? Wolałabym, żeby moje nie miało żadnego syndromu.

- To pomyłka. Bzdura. Pomyłka - powiedziałam głośno.

Jednak daty w moim kalendarzu nie pozostawiały złudzeń. Będę miała dziecko. I ono będzie opóźnione w rozwoju. Kto wie, może nawet urodzi się pijane, jak te pokazywane w telewizji, przychodzące na świat w patologicznych rodzinach.

Nagle uderzyła mnie kolejna myśl, jeszcze bardziej wstrząsająca. Moje dziecko w pewnym sensie będzie nawet bardziej upośledzone. Te z patologicznych rodzin zwykle wiedzą, kto jest ich ojcem. Moje nigdy nie pozna prawdy o swoim pochodzeniu. Do żadnego faceta nie powie „tatusiu”. Boże, biedne dziecko. Jak ja mogłam ci to zrobić? Szlaaaag! „Jak jakaś, kurna, Bridget Jones” - przypomniałam sobie, że ta ikona popkultury (nie znosiłam książek o tej raz bardziej, raz mniej grubej, niezbyt rozgarniętej paniencie!) w późnym stadium swoich przygód zaszła w ciążę i nie wiedziała z kim. Zupełnie jak ja.

Nie pamiętałam, jak się ta historia u Bridget skończyła. Czy to było dziecko Pana Darcy'ego? Żaden z moich kandydatów na ojca nie nosił tak arystokratycznego nazwiska. Za to imiona mieli dostojne. I raczej nie nadawali się na ojców. Chociaż Marcel wiele razy powtarzał, że bardzo chciałby mieć ze mną dziecko.

Po raz setny tej nocy sięgnęłam po kalendarz. Miałam nadzieję, że wynika z niego jednoznacznie, że to musi, po prostu musi być dziecko Marcela. Lecz co może pokazać kalendarz osoby, która łyka tabletki, przestaje, potem znów łyka i nawet nie pamięta, kiedy przerwała pierwsze opakowanie i zaczęła drugie?!

MARTA

Miałam nadzieję, że w tę niedzielę spróbujemy jeszcze raz. Piotr najbardziej lubi (o ile w ogóle jeszcze można mówić o lubieniu) seks rano, w dni wolne od pracy. A więc niedziela wydawała się idealna.

Niestety, o ósmej obudził nas telefon.

- Cześć, tu Lena. Przepraszam, że cię budzę, ale zaraz zwariuję. Czy możesz pożyczyć mi dwanaście złotych? - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Dwanaście złotych? Nie umiałam sobie wyobrazić, dlaczego ktoś potrzebuje dwunastu złotych w niedzielę rano. W dodatku ktoś taki jak Lena, czyli raczej dobrze sytuowany.

- Dwieście? - podsunęłam. - Masz na myśli dwieście złotych, tak?

- Dwanaście - powtórzyła. - Jeśli nie możesz...

- Mogę, jasne, że mogę - zapewniłam ją szybko. - Podjedziesz do mnie?

- Podjadę. To trochę potrwa, muszę wpaść na stację benzynową. A nie, szlag by to trafił, nie podjadę, nie mam czym zapłacić. Przyjadę autobusem. A nie, biletu też nie mam. Przyjdę pieszo. Będę za... za jakieś cztery godziny?

- Przyjadę do ciebie - uspokoiłam ją, zdejmując piżamę i zakładając dzinsy. - Coś mi się zdaje, że to pilne.

- Jak cholera - przytaknęła Lena. - Słuchaj, a może mogłabyś. .. Gdybyś miała po drodze jakąś aptekę czynną w niedzielę... Może mogłabyś kupić mi test ciążowy? Powinien kosztować właśnie dwanaście złotych.

Roześmiałam się głośno. Trochę za głośno. Piotr przestał chrapać i patrzył na mnie z wyrzutem.

- Już jadę. Będę miała test - powiedziałam. - No i... gratuluję!

- Mam nadzieję, że nie ma czego. - Głos Leny brzmiał naprawdę kiepsko.

Byłam wściekła, coraz bardziej, z każdym kilometrem. Ona naprawdę nie cieszy się z dziecka. Ma nadzieję, że nie wpadła! Widzi, co przeżywam, widzi, jak ciężko jest zająć w ciążę - a mimo to broni się przed tym rękami i nogami. Może powinnam jej zaproponować, żeby oddała mi dziecko...? Jeśli się zgodzi, na pewno przekonam jakoś Piotrka.

Aż przeszedł mnie dreszcz na samą myśl o tym, że mogłoby się udać! Chociaż zupełnie nie rozumiałam, dlaczego Lenka miałaby rezygnować z bycia mamą. Nawet jeśli ma

kłopoty z Marcelem, tak jak mówiła w klubie, to co z tego? Niby my z Piotrem nie mamy problemów? Każda para je ma! A Marcel wygląda na faceta, który świetnie sobie poradzi z rolą ojca. I muszę przekonać o tym Lenkę, zamiast namawiać ją na oddanie mi dziecka - mimo że chciałabym tego najbardziej na świecie. Bo przyjaciółki nie robią takich rzeczy, tak? Nie jestem pewna. Od bardzo dawna nie miałam już prawdziwej przyjaciółki.

Lenka siedziała przy stole nad butelką wina. Przed dziewiątą rano! Wyglądało na to, że nie nadaje się do poważnej rozmowy. Do jakiegokolwiek rozmowy.

- Widzę, że nieźle wykorzystałaś te pół godziny od telefonu do mnie. - Próbowałam żartować, chociaż byłam wściekła. - Nie zastanowiłaś się, co alkohol oznacza dla dziecka? - Wzruszyła ramionami i przechyliła kieliszek, żeby wypić ostatnią kroplę. - Nie chcę prawić ci morałów - skłamałam.

Miałam ogromną ochotę wygłosić cały wykład o płodowym zespole alkoholowym. Ja co miesiąc przez dwa tygodnie po owulacji nie piję ani kropli wina czy nalewki, którą robi brat Piotrka, żeby nie narażać dziecka. Dziecka, którego nie ma. A ona jest w ciąży, niemal na pewno jest w ciąży, i sama opróżnia butelkę!

- Wypiłam tyle w klubie i na kolacji służbowej tydzień temu, i przy stu innych okazjach, że ta jedna butelka nie robi różnicy. - Nie byłam pewna, czy ona bełkocze, czy płacze. - I w Stanach, w Stanach też był taki wieczór, strasznie długi, i... Cholera, cholera jasna!

Teraz już na pewno płakała, tak jakby wspomnienie popijawy w Stanach dobiło ją kompletnie.

- Który to tydzień? Jak myślisz? - zapytałam, żeby oderwać jej myśli od tego, ile wypiała, i jaką krzywdę mogła

zrobić swojemu dziecku. A ona zaczęła płakać jeszcze bardziej.

LENA

Cholera jasna! To już nie Bridget Jones, to prawdziwa Mamma mia! Szlag!!! Zupełnie zapomniałam... zapomniałam, że się zapomniałam! Na tę jedną noc, w hotelu z widokiem na ocean, w ramionach byłego męża, po kilku kieliszkach wina. .. Biedne dziecko, już ma nie dwóch, tylko trzech kandydatów na tatusia. Czeka ją testy DNA, zaraz po porodzie.

Aż przeszedł mnie dreszcz.

Całe życie byłam wierna, uczciwa, kończyłam jeden związek, zanim zaczęłam drugi, nie było mowy o pocałunkach przed trzecią randką, o pójściu do łóżka nie było mowy całymi miesiącami. Marcel, gdy się poznaliśmy, mówił na mnie: „Mniszka”. Z czułością, oczywiście. Bo strasznie długo nie dawałam się dotknąć. A teraz co? Cholera jasna, w ciągu dwóch tygodni spałam z trzema facetami. Z Grackiem - noc przed naszym zerwaniem, potem z Marcelem i to nie raz, właściwie w ogóle nie wychodziliśmy z łóżka, pilnując Dropsa. No, ale przecież ja tak naprawdę nie wiedziałam, czy znowu będziemy parą, czy nie, nie miałam wobec niego żadnych zobowiązań, nie rozmawialiśmy o tym, więc nie wiedziałam, czy w ogóle jeszcze się zobaczymy po moim powrocie z Nowego Jorku i Miami. Właśnie, Miami... Do dziś nie wiem, jakim cudem, to takie niepodobne do mnie, takie... Wszystko wydawało się wtedy nierzeczywiste, jak sen. Tak daleko od domu, daleko od wszystkiego, czym żyję. Przekonywałam samą siebie, że to nie będzie miało żadnych konsekwencji, że nikt się nie dowie, że ja też mam w życiu prawo do przygody na jedną noc. W dodatku przygody z własnym mężem, byłym, a jednak mężem. Mężem, który przez cały wieczór zasypywał mnie komplementami i traktował jak królową. Dosłownie nosił mnie na rękach. A ja z

każdą lampką wina zapominałam o tym, jak mnie załatwił, o tym, że go nienawidzę.

To była piękna noc.

Tylko dlaczego właśnie w tym miesiącu, jak na złość!

- Który to tydzień? - uparcie dopytywała Marta.

Nie miałam pojęcia! Nie pamiętałam nawet, kiedy dostałam ostatnio okres. Bo przecież brałam pigułki. Miałam okres wtedy, gdy kończyło się opakowanie. To takie proste. Nie musiałam nic zapisywać, nic zapamiętywać. Tyle że tym razem po rozstaniu z Grackiem przestałam je łykać. Właściwie przestałam przed rozstaniem, tym ostatecznym. Bo przez trzy czy cztery dni rozstawaliśmy się, a potem do siebie wracaliśmy na kilka godzin, godząc się w łóżku - i od nowa kłócąc przy śniadaniu. Po pierwszej takiej kłótni wyrzuciłam pigułki do kosza.

Zaczęłam je znów brać, gdy pojawił się Marcel. Pobiełam do lekarza po receptę zaraz po naszej pierwszej wspólnej nocy, pierwszej od czterech lat. I go nie zastałam... Wróciłam następnego dnia... Ile było dni przerwy? Diabli wiedzą. Ile pigułek połknęłam z tego pierwszego opakowania, kiedy byłam jeszcze z Gracjanem? Też nie mam pojęcia. Od wczoraj nie robię nic innego, tylko próbuję to sobie przypomnieć. Bez skutku. A więc nie wiem, czy ojcem jest Gracjan, czy Marcel.

W dodatku, tak, Marta uświadomiła mi, że to może być również Paweł. Przecież nie wiem, czy te pigułki, które zaczęłam brać po przerwie, w ogóle działały. Przeczytałam tej nocy wszystko, co znalazłam w internecie o takich sytuacjach, komentarze lekarzy, opowieści dziewczyn, na forach polskich, angielskich, amerykańskich. Generalnie wiadomo tyle, że nic nie wiadomo. Jeśli miałam pecha, to w ogóle nie byłam zabezpieczona i mogłam mieć owulację właściwie w dowolnym momencie. Czyli mogę urodzić dziecko Pawła,

Gracjana albo Marcela. Wyjaśnią to tylko testy DNA. Co oznacza jakiś koszmarny wstyd, proszenie ich wszystkich o polizanie patyczka lub oddanie krwi na potrzeby sądu. Szlag! Nigdy nie przypuszczałam, że znajdę się w takiej durnej sytuacji. Każdy, ale nie ja, mniszka i strażniczka moralności. Trzech potencjalnych tatusiów.

- Matko boska! - jęknęłam, nagle robiąc się religijna.

- Może chciałabyś zrobić ten test? - Marta sprowadziła mnie na ziemię. - W końcu nie wiemy przecież, czy w ogóle. .. Wiesz, to przecież nie musi być ciąża...

- Jasne, to może być jeszcze menopauza! - jęknęłam głośniej na samą myśl o mojej mamie, która miała ostatni okres koło czterdziestki.

Po czym poszłam do łazienki i wysiusiałam z siebie butelkę wina.

- Nie ma kresek. Ani jednej - oświadczyłam Marcie minutę później.

- Poczekaj, zaraz się pojawią. - Uśmiechnęła się do mnie.

- Zawsze się pojawiają. Przynajmniej ta jedna, testowa.

Nie pojawiła się. Ani jedna.

- Zepsuty test? Przeterminowany? - Trudno mi było zachować równowagę.

- Raczej za dużo wypić. - Marta pokiwała głową. - Powinam od razu na to wpaść, lepiej byłoby poczekać parę godzin.

- Myślisz, że alkohol zabija te kreski? - Puknęłam się w czoło. To brzmiało absurdalnie.

- Nie chodzi o alkohol, tylko o wodę - wyjaśniła. - Przy rozcieńczonym moczu test po prostu zwariował i nie pokazał żadnej kreski. Poczekaj do jutra i zrób rano następny. Od razu po wstaniu z łóżka.

- Do jutra? Nie mam czasu na czekanie do jutra! Oszaleję, jeśli poczekam jeszcze choćby godzinę - jęknęłam.

- W takim razie jedziemy do laboratorium - postanowiła Marta. - Znam jedno, które od niedawna jest też czynne w niedzielę. Pobiorą ci krew i za godzinę wszystko będzie jasne.

Nie znoszę pobierania krwi, ale tym razem wydawało mi się znacznie ciekawszą perspektywą niż siedzenie beczynie do jutra.

- Chcesz zadzwonić do Marcela? - zapytała Marta, kiedy zeszliśmy na parking.

- Do Marcela? A po co? - Nie rozumiałam.

- No, chyba powinien być przy tobie w takiej chwili? W końcu to też jego dziecko. I coś mi mówi, że bardzo by się z niego ucieszył.

Nie wytrzymałam i rozryczałam się na jej ramieniu. A potem opowiedziałam jej całą tę durną historię o trzech potencjalnych ojcach. Było mi strasznie wstyd, jednak musiałam to z siebie wyrzucić.

Marta, wbrew moim obawom, nie zbulwersowała się, nie wyśmiała mnie, nie zemdląła i nie zaczęła prawić morałów. Powiedziała tylko:

- No fakt, w tej sytuacji lepiej poczekać z zawiadaniem kogokolwiek.

MARTA

Byłam zbulwersowana. Miałam ochotę zemdleć albo wyśmiać Lenkę za jej bezmyślność. Tylko co by to dało? Prawienie morałów po fakcie? Zebrałam się w sobie. Ona potrzebowała wsparcia, a nie stróża moralności. Zresztą tak naprawdę ona przecież nikogo nie zdradziła. Wobec każdego z facetów zachowała się fair. Nie, nie było sensu roztrząsać teraz tego wszystkiego. Zaczęłam rozumieć, dlaczego nie chciała tego dziecka, dlaczego ta ciąża wydawała jej się koszmarem.

- Jeszcze miesiąc temu byłam zachwycona, oglądając po raz piąty Mamma mia - mówiła przez łzy. - Wydawało mi się

to takie zabawne. Trzech ojców, żaden nie ma pewności, czy to jego córka, ale wszyscy z radością biorą za nią odpowiedzialność i wypisują czeki. A teraz... teraz czuję się jak tania dziwka! Jak ja mogłam z trzema facetami. Co za kretyńska sytuacja!

Zgadzam się, była kretyńska.

A myśl o tym, że ja chętnie zaopiekuję się dzieckiem Leny, adoptuję je, uznam za własne i pokocham z całego serca, bez względu na to, czy jego ojciec mieszka w Miami, czy w Warszawie, wciąż nie dawała mi spokoju. Jeśli ona naprawdę go nie chce...

- Chciałabym mieć dziecko, ale przecież nie w taki sposób! - łkała, odgadując moje myśli.

W laboratorium poziom HCG oznaczono błyskawicznie. Poszłyśmy na kawę, przy której obie milczałyśmy i szarpałyśmy nerwowo serwetki na stoliku - a gdy wróciłyśmy, wynik już czekał.

- Niestety, nie ma żadnych wątpliwości. Nie jest pani w ciąży - zakomunikowała blondynka w okienku. - Jeśli ma pani ochotę porozmawiać z lekarzem, to akurat jest wolny.

- Tak, oczywiście. - Po policzkach Leny ciekły łzy ulgi. Ja czułam lekkie rozczarowanie. Chociaż wiedziałam, że powinnam się cieszyć. Ze względu na nią. - Nie, nie mogę iść do lekarza. Przepraszam, nie wzięłam portfela. - Zmieniła nagle zdanie.

- Zapłacę, oddasz mi jutro. Idź! - Popchnęłam ją w stronę gabinetu.

Wyszła po półgodzinie, z plikiem recept i skierowań. Od razu zorientowałam się, że coś jest nie tak.

Rozdział 13

Romantyczna wyprawa

GOŚKA

Siedziałyśmy z Martą przy łóżku Lenki.

- Jutro mnie wypisują - powiedziała, uśmiechając się dzielnie. - Lekarka twierdzi, że to prosta, rutynowa operacja. I że możemy z nią poczekać, ale nie dłużej niż rok. Czyli, mówiąc wprost...

- Musisz zająć w ciążę natychmiast albo już nigdy nie będziesz miała szansy - dokończyłam za nią, chyba niezbyt delikatnie.

Pokiwała głową.

- I co powinnam zrobić? Mam dopiero trzydzieści dwa lata, zawsze wydawało mi się, że zostało mi mnóstwo czasu. A teraz co? Mam wziąć tatusia z łapanki? Iść do tego klubu, w którym byliśmy tydzień temu, i zamówić sobie przystojnego kowboja do domu na jedną noc?

- Nie przesadzaj, masz paru kandydatów pod ręką. No, przynajmniej dwóch, a trzeciego parę godzin lotu stąd. - Marta uśmiechnęła się z tajemniczą miną.

- Żaden nie jest idealny. - Lenka potrząsnęła głową. Chciałam powiedzieć, że ideały nie istnieją, w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Mój Claude - Olivier idealny na pewno nie jest, lecz to nie znaczy, że mam go porzucić i szukać kogoś innego.

- Paweł odpada, ojciec na przyjezdne to nie dla mnie - stwierdziła Lena.

Tym razem już musiałam się wtrącić.

- Moja Cloe ma ojca na przyjezdne i jest bardzo szczęśliwa.

Marta i Lenka uniosły lekko brwi, jakby się umówiły. Czyżby nie wierzyły, że dziecko może być silnie związane z ojcem, który mieszka w innym kraju?

- Ale chcesz się jednak do niego wyprowadzić, tak? - zauważyła Marta ostrożnie.

Oczywiście, że tak! Co za pytanie? Już spakowałam letnie ubrania w kartony, bo przecież na pewno wyjedziemy, zanim znów zrobi się ciepło! Claude - Olivier zapewnia, że w ciągu miesiąca dostanie rozwód. Będę u niego godzinę po uprawomocnieniu się wyroku! Cloe codziennie dopytuje, kiedy zobaczy swojego konika i nowy pokój.

- Stany są trochę dalej niż Francja. - Lenka nie była przekonana do kandydatury tego chłopaka z Ameryki. - W dodatku Paweł dużo pije, a przynajmniej dużo pił, gdy był moim mężem.

A więc to były mąż! Nie miałam pojęcia... Faktycznie, z pijakiem lepiej dziecka nie mieć.

- Może mieć uszkodzone plemniki. - Pokiwała głową Marta.

- No tak, ale jest najlepiej sytuowany z całej trójki. I chyba najprzystojniejszy. - Lenka jednak nie skreślała go ostatecznie. - Gdyby dziecko dostało w genach to jego zabójcze spojrzenie, gęste włosy i smukłe dłonie, nie obraziłoby się chyba, bez względu na pleć.

- Marcel też ma niezłe dłonie - wtrąciła się Marta. - I do tego bardzo sprawne, precyzyjne.

- Skąd wiesz? - roześmiałam się. I odpowiedziałam sobie sama: - No jasne, jest weterynarzem. Składa małe skrzydełka połamanych ptaków, robi zastrzyki rybkom.

- Rybkom? Nie jestem pewna. - Lenka zaczęła chichotać jak opętana. - Tak, dłonie też ma niezłe. I jest z nich najmłodszy, więc pewnie ma plemniki najlepszej jakości. Ale jest cholernie zaborczy. I skąpy. A więc nie mogę liczyć na wysokie alimenty, będzie się kłócił o każdy grosz.

- Alimenty? Dlaczego zakładasz, że nie zwiążesz się z ojcem dziecka na stałe? - Nie rozumiałam.

- Bo nie kocham żadnego z nich - odpowiedziała Lenka prosto i na temat. - Każdego kochałam, przez pewien czas, nawet bardzo, lecz to już przeszłość.

LENA

Nie chciałam dłużej rozmawiać o Pawle, Gracjanie i Marcelu. Nie chciałam wybierać. Nie dziś. Muszę się z tym przespać, przemyśleć wszystko spokojnie. W domu, w moim własnym łóżku będzie mi znacznie łatwiej. Jak to mówi Nora? Pomyślę o tym jutro.

Tak, pomyślę o tym jutro. Zrobię tabelkę i spiszę mocne i słabe strony wszystkich kandydatów. Gdy tylko wrócę do domu. Jutro, po spotkaniu z profesorem Gackiem, zaniepokojonym brakiem postępów w moim pisaniu doktoratu, i po zebraniu w firmie.

- Powinna pani wziąć kilka dni zwolnienia - sugerowała lekarka.

O nie! Wykluczone. Muszę iść do pracy. Nie mogę pozwolić, żeby ktoś zajrzał do teczki Nory i przejął sprawę. To mogłoby się kiepsko skończyć. Zresztą, czuję się przecież naprawdę dobrze. Normalnie. I muszę zająć się poszukiwaniem ojca dla mojego dziecka. Śmieszne to życie, trzy dni temu modliłam się, żeby nie być w ciąży, a teraz jestem gotowa wpaść nawet z chłopakiem z klubu nocnego. Bo nagle okazało się, że zostało mi naprawdę bardzo mało czasu.

Tak, jutro zajmę się wyborem ojca dla mojego Cyprianka albo Konstancji. Skoro to będzie tylko moje dziecko, to chyba mogę sama zdecydować o tym, jak będzie miało na imię.

- A gdzie Nora? - zapytałam dziś dziewczyny. - Na randce z Karolkiem?

Wszystkie zaczęłyśmy chichotać jak głupie na samą myśl o tej randce. Czy kiedyś w ogóle do niej dojdzie? Karolek czerwieni się jak burak już w drzwiach pracowni, a Nora w

ogóle nie zauważa jego wysiłków. Nawet tego, że czuje się odpowiedzialny za jej dzieci.

- Musimy coś zrobić, żeby zostali na parę godzin tylko we dwoje - powiedziała Gośka. - Bez dzieci, w romantycznej sytuacji. Może zabierzemy gdzieś chłopców?

- A może łatwiej będzie zostać z chłopcami w Norce numer 7/9 i wysłać gdzieś Norę z Karolkiem? - zastanawiałam się głośno. - Tylko jak to zrobić, żeby się nie zorientowała, że chodzi o randkę? Bo przecież w życiu na nią nie pójdzie.

- Ja mam z Norą do załatwienia sprawę na drugim końcu miasta. - Gośka jak zwykle okazała się kopalnią pomysłów. - Wspominałam wam już, że może będę miała dla niej duże zlecenie na ceramikę. Proste formy, z którymi na pewno sobie poradzi. Zabiorę ją wreszcie na to spotkanie. A po drodze wpadniemy na Karolka i ja się zmyję. Albo może nawet. .. Zaraz sprawdzę w internecie kilka dat i pokombinuję, jak to zorganizować.

- Masz telefon do Karolka? Znasz jego nazwisko? Marta, tak jak ja, nie bardzo sobie wyobrażała, jak można zorganizować „wpadnięcie” gdzieś na drugim końcu miasta na faceta, o którym wiemy tylko, że przychodzi do Norki z wielkimi pudłami i znika bez słowa. Gośka tylko machnęła ręką. Nie z takimi rzeczami sobie radziła.

- Jest jeszcze jedna sprawa - rzekła. - Boże Narodzenie. Czas chyba wszystko zaplanować i rozpisać.

Wygląda na to, że mamy pełne ręce roboty. Wybrać ojca dla mojego dziecka, pchnąć Norę w ramiona Karolka, zaplanować jej święta, no i zadbać, żeby Marta w końcu zaszła w ciążę. Naprawdę miałam nadzieję, że uzdrowiciel nie będzie musiał oddawać jej pieniędzy.

MARTA

- Możemy oczywiście zastosować mikrochirurgiczną aspirację plemników z najądrza. - Lekarz uśmiechał się

krzepiąco do Piotra. - Rzecz jasna, bez gwarancji powodzenia. Przed biopsją zrobimy kilka testów, żeby ustalić, czy ta metoda w ogóle ma sens w pana przypadku. Może położyłby się pan na dwa dni u mnie na oddziale? Byłoby najprościej.

Piotr zrobił się biały, a potem zielony. Wiedziałam, że zaraz zemdleje, jak zwykle, kiedy jest mowa o szpitalu.

- Raczej nie - odparł z wysiłkiem. - Chyba zrezygnuję z tej... tej opcji. Co jeszcze może nam pan zaproponować?

- Oczywiście, możemy to zrobić w całkowitej narkozie. - Lekarz najwyraźniej postanowił jednak namówić Piotra na poszukiwanie plemników w najądrzu.

A Piotr oczywiście zemdlął.

Ocknął się w połowie drogi do domu.

- Sama zaniósłś mnie do samochodu? - Spojrzał na mnie z podziwem.

Postukałam się w głowę znad kierownicy.

- Musieli przerwać odwirowywanie plemników jakiegoś ważnego faceta, kolegi szefa tej kliniki, żeby cię zanieść. Sam dyrektor, razem z naszym doktorem Jędrasem.

- Ludzie zatrzymywali się i patrzyli?

Miłosiernie oszczędziłam mu opowieści o dwóch emerytkach, przekonanych, że oto z kliniki wynoszony jest mężczyzna, któremu zrobiono in vitro i który jako pierwszy urodzi dziecko, nie mając macicy.

- Bo tamta kobieta, która niby była facetem, ale nic sobie nie obcięła i nie wycięła przy zmianie płci, to przecież wcale się nie liczy! - wykrzykiwała wyższa z emerytek na pół ulicy.

- Dzieci wracające ze szkoły pytały, czy nam w czymś pomóc - podzieliłam się z Piotrkiem najsympatyczniejszym wspomnieniem z pakowania go na przednie siedzenie i zapinania pasem, tak żeby nie zwałił się nagle na kierownicę. Wśród pozostałych komentarzy, oprócz kreatywnej wersji emerytek, dominowała koncepcja, że to zwykły pijak.

- Nie dam sobie ciąć jąder - oświadczył Piotr stanowczo, zanim dojechaliśmy do domu.

Byłam wściekła. Ja mogłam dać sobie ciąć dowolne organy. A on nie pozwoli lekarzowi dotknąć skóry cienką igłą! Cóż, wyszłam za mąż za tchórza, i tyle. Za późno, żeby to zmienić.

- W takim razie zapisuję się na przyszły miesiąc na inseminację nasieniem dawcy - oznajmiłam chłodno.

Miałam nadzieję, że Piotr zacznie błagać, żebym tego nie robiła - i natychmiast wybierze mniejsze zło, czyli biopsję najądrzy.

- Jeśli to zrobisz, wyprowadzę się z domu - zagroził, zamiast paść na kolana i błagać. - Nie zamierzam przyjmować gratulacji, kiedy będziesz w ciąży z obcym facetem. Nie ma mowy. Wybieraj, co jest dla ciebie ważniejsze, ja czy dziecko.

- Ty i dziecko. Nasze dziecko - szepnęłam. A on nie odezwał się ani słowem.

I tak jest od trzech dni. Głucha, złowroga cisza panuje w całym domu. On czeka, aż powiem, że rezygnuję ze wszystkich swoich marzeń o zostaniu mamą. Ja czekam, aż on powie, że zachował się jak podły egoista i zgadza się na punkcję, a potem - jeśli punkcja się nie powiedzie - na nasienie anonimowego dawcy.

Na razie jednak nie wygląda na to, że któreś z nas się doczeka, aż to drugie powie: „Okej, zrobmy tak, jak chcesz”.

Więc złowroga cisza trwa kolejny dzień.

GOŚKA

Zaczęłam wreszcie metodycznie wprowadzać w życie plan pod tytułem „Znaleźć Norze dobrze płatne zajęcie i fajnego faceta”. Nie jestem pewna, czy Karolek jest tak naprawdę fajnym facetem. Skoro jednak nie mamy innych kandydatów, nie zastanawiam się głębiej nad jego przydatnością. Przychodzi do Norki numer 7/9? Przychodzi. Lubi dzieci

Nory? Lubi. Troszczy się o nich wszystkich? Troszczy. Nawet z pochodnią przybiegł, jak prąd wyłączono. A więc należy dać mu szansę. I dostanie ją, za dwie godziny. Bo najpierw Nora musi porozmawiać z księdzem.

- Obiecuj, że nie chodzi o posadę gospodyni - poprosiła, wsiadając do mojego samochodu cała w czerni, zapięta pod szyję, gładko zaczesana. Wyglądała nobliwiej niż sam proboszcz!

- Obiecuję - roześmiałam się. - Myślisz, że proboszcz nie chciałby z tobą rozmawiać, gdybyś włożyła czerwoną bluzkę z dekoltem? Ja byłam już u niego w szortach, w sukience bez pleców, w bluzce z pieluchy i jakoś nigdy się nie przejął.

- Bywasz u niego regularnie? - Nora patrzyła na mnie trochę zdziwiona.

- Jasne, że regularnie, taką mam pracę - przytaknęłam. - Odwiedzam siedmiu proboszczów, kilka razy w tygodniu. Czasami wpadam nawet w niedzielę, przed sumą, żeby przejrzeć listę intencji mszalnych. Zwłaszcza ksiądz Paweł jest w tej sprawie bardzo skrupulatny. Ale ty nie będziesz musiała nigdzie jeździć, nie martw się. Będziesz mogła siedzieć sobie w domu, a ksiądz będzie przysyłał kuriera, kierowcę albo jakiegoś parafianina, który pracuje w pobliżu.

- Ty tak nie możesz? - Nora najwyraźniej uparła się, żeby się dowiedzieć, po co jedziemy do proboszcza. A ja obiecałam Markowi, że nic nie powiem. Uważał, że sam załatwi to delikatniej. Zupełnie jakby nie wierzył w mój takt!

- Bardzo się cieszę, że pani przyszła. - Ksiądz Marek był w dżinsach i serdecznie uścisnął Norze rękę.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. - Ona dla odmiany wyglądała, jakby zamierzała go pocałować w pierścień, którego oczywiście nie miał.

Nie wytrzymałam, musiałam się roześmiać.

- To co? Teraz zostawię was samych - powiedziałam, gdy już się opanowałam, po czym wyszłam na korytarz.

W drzwiach usłyszałam jeszcze, jak Marek przechodzi do tematu:

- Chodzi mi o to, żeby pani włączyła się jak najszybciej w obsługę pogrzebów.

No naprawdę, taktownie jak diabli, nic ma co!

NORA

W pierwszej chwili myślałam, że szuka płaczek pogrzebowych. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy, lecz byłam przekonana, że zaraz zapyta, czy umiem się rozpłakać na życzenie. Byłam jednocześnie oburzona i ubawiona. Nie wiedziałam, że taka funkcja jak płaczka w ogóle jeszcze istnieje. A w sumie, czemu nie? Ostatnio przecież dużo płakałam, były takie dni, że oczy nie wysychały mi od rana do wieczora. Gośka widziała wiele razy, jak ukradkiem ocieram łzy. Nic dziwnego, że uznała to za wymarzoną pracę dla mnie. Właściwie... Tak, płaczka to całkiem potrzebna instytucja. Ludzie są zajęci, nie mają czasu jechać na pogrzeb wujka czy babci na drugi koniec Polski, mogą więc wynająć żałobnika, który pożegna krewnego w ich imieniu.

- Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam - odważyłam się powiedzieć.

Ksiądz zaczął mówić do mnie jak do dziecka.

- Nasz cmentarz, jak większość cmentarzy w dużych miastach, ma pewne trudności... chodzi o ograniczoną pojemność, że się tak wyrażę. Rozumie pani?

Rozumiałam i wciąż kompletnie nie wiedziałam, co to ma wspólnego ze mną.

- Trzeba kopać groby głębsze niż do tej pory? - zaryzykowałam. - Iść w głąb, a nie w bok z kolejnymi mogiłami?

Nie jestem dobra w kopaniu, tylko raz usiłowałam posadzić drzewko bez pomocy Jacka. Złamałam dwie łopaty i mały palec u nogi. To naprawdę miłe, że Gośka próbowała znaleźć dla mnie jakąś pracę. Ale ja się nie nadaję do kopania! Wolałabym już sprzedawać hamburgery w jakimś fast foodzie. Gdyby tylko ktoś zajął się w tym czasie dziećmi.

- Dziękuję bardzo. - Wstałam z krzesła. Przedłużanie tej rozmowy nie miało sensu. - Nie mogę zostawiać dzieci samych na całe dni i nie jestem silna fizycznie. To nie praca dla mnie.

- Ale przecież ja jeszcze nic nie powiedziałem... - Ksiądz był zdumiony.

Ja też.

- Chodzi o kopanie grobów, tak? - bardziej stwierdziłam, niż zapytałam.

A on zaczął się krztusić ze śmiechu. Zrobił się cały czerwony, otworzył usta, jakby nie mógł złapać powietrza...

- Gośka! Gośka, na pomoc! - wrzasnęłam w stronę drzwi. Gośka wpadła do środka i złapała księdza wpół, po czym uniosła go w powietrze i zaczęła nim machać, jakby był nadmuchiwaną zabawką. Potem uderzyła go lekko w plecy, a ksiądz odzyskał naturalne kolory - i głos.

- Nikt mnie tak nie rozbawił do tej pory, nigdy w życiu - wyjęczał słabiutko. - Gośka, nie uwierzysz, kiedy ci powiem, co wywnioskowała pani Nora z mojej opowieści. Próbowałam wprowadzić ją w temat, jakoś tak delikatnie... A ona uznała, że chcę, żeby pracowała w pełnym wymiarze godzin jako grabarz!

- Co?! - Teraz to Gośka zaczęła zmieniać barwy i tracić oddech. Na szczęście opanowała się sama, nie musieliśmy łapać jej wpół i nią potrząsać. - Skąd ci to przyszło do głowy? - Śmiała się jak opętana. - Chodzi przecież tylko o urny.

GOŚKA

W czasie rozmowy chichotaliśmy przez cały czas. A przecież dotyczyła bardzo poważnych spraw. Na szczęście Marek (nie „ksiądz Marek” - od tej niedzieli, kiedy wezwał mnie na plebanię o świcie, blady z wściekłości, ponieważ trzy roczniki dzieci komunijnych pomieszały mu się w ewidencji z nieboszczykami, tuż przed mszą, podczas której do Pierwszej Komunii miała iść równa setka maluchów - od tamtej pory jesteśmy po imieniu). A więc Marek jest normalnym, fajnym facetem i można się z nim pośmiać nawet z pogrzebów. Nora z początku nie mogła uwierzyć w ten pomysł.

- Urny? Ceramiczne urny na prochy zmarłych? - powtarzała. - Chyba jest jakiś przemysł, który się tym zajmuje? Wielkie fabryki, taśma produkcyjna, wzornictwo, technologie. .. Jak z trumnami.

- Wiele osób nie chce czegoś z taśmy produkcyjnej. Bliskich czasem nie interesuje jedna z tysiąca identycznych urn - wyjaśniał Marek. - Gdy chowają zmarłego w grobie, mogą postawić piękny pomnik, napisać na nim wiersz albo wspomnienie o ukochanym mężu czy matce. W kolumbarium nie ma takiej możliwości. Jest tylko urna. I mały napis. Nie wiem, czy pani widziała nasze kolumbarium. Nawiązaliśmy do wzorów francuskich, nie zamykamy urn za betonową płytą, są za szklanymi drzwiczkami, do których klucz ma tylko rodzina, no i ja. Można do tej miniaturowej szafki wstawiać kwiatki, zdjęcia, lecz to urna jest najważniejsza. Więc powinna być piękna i niepowtarzalna. I oczywiście bardzo trwała. I zamknięta w stu procentach szczelnie. I...

Potrząsnęła głową.

- Chwileczkę, muszę się zastanowić, pomyśleć, sprawdzić parę rzeczy. Choćby ta szczelność. Nie wiem, czy to w ogóle jest do uzyskania.

- Gumki do weków. Lakowanie. Pieczętowanie. Wkładanie do ceramicznej urny metalowej puszkii zaspawanej

wokół. Jest wiele możliwości, już to przemyślałam. - Machnęłam ręką. - Zresztą mam dla ciebie propozycję małej wycieczki. Zobaczysz różne rozwiązania i spokojnie pomyślisz. A potem odezwiesz się do księdza, tak?

- Tak, oczywiście, tak. - Chyba była w głębokim szoku. Jak robot wstała z krzesła, ukłoniła się i wyszła za mną z kancelarii parafialnej. Doszliśmy do samochodu w całkowitym milczeniu. Włączyłam silnik, a wtedy Nora potrząsnęła głową, roześmiała się i zapytała z niedowierzaniem:

- Urny? Ja pierdolę, naprawdę mam robić urny? Pierwszy raz słyszałam, jak przeklina.

NORA

Miałam wrażenie, że wszystko, co najdziwniejsze, już za mną. Okazało się, że nie doceniłam Goški.

- No to jedziesz na wycieczkę. - Klasnęła w dłonie, puszczając kierownicę. - Musisz pooglądać różne urny. W Brnie są akurat targi przemysłu funeralnego.

- W Brnie? - Pokręciłam głową z niedowierzaniem. - To Czechy, tak? A ja mam dzieci, zapomniałaś? Muszę do nich wracać, moja mama nie może zostać dłużej niż do piątej. Jest umówiona u dentysty, a jutro przecież pracuje. Sama wiesz, że staram się nie nadużywać jej pomocy. Siedziała u mnie przez miesiąc po śmierci Jacka. Wystarczy. Nie pojedę sobie do Brna, zostawiając dzieci na jej głowie!

- Jasne! Dlatego Marta jest już u ciebie w domu, potem dojedzie Lena, a jutro ja będę z chłopcami przez cały dzień. Wszystko ustaliłyśmy z twoją mamą.

- Ale Brno... Nie, no nie. Nie ma takich targów w Warszawie?

- Były i to wcale nie tak dawno. - Pokiwała głową. - Moja wina, że je przegapiłam. Zresztą wtedy jeszcze nie ustaliłam z

Markiem wszystkich szczegółów, nie byłam pewna, czy to w ogóle wypali. A więc jedziesz do Brna, i już.

- Ale... - Coś mi się nie zgadzało. - Mówisz, że będziesz jutro z moimi chłopcami cały dzień.

- Zgadza się. - Gośka się uśmiechnęła. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że Cloe przyjedzie ze mną?

- Nie, jasne, że nie. Nie o to chodzi. Chłopcy na pewno się ucieszą. Tylko... no wiesz, ja mam sama jechać do tego Brna? Moim czołgiem w kwiaty będę jechała dwa dni. Nie wiem, czy to warto. Spalę jakieś hektolitry benzyny...

- Pojedziesz wygodnym, ekonomicznym samochodem, o nic się nie martw. - Gośka szczyrzyła się coraz szerzej. - Wszystko już ustalone, hotel zarezerwowany, a twoim kierowcą będzie Karolek.

- Karolek?! - Tym razem to ja zaczęłam się głośno śmiać. - Wciągnęłyście w ten spisek nawet jego?!

- Nie trzeba go było jakoś szczególnie mocno przekonywać - zauważyła Gośka, skręcając na parking przy centrum handlowym. - Mam nawet wrażenie, że bardzo się cieszy na ten wyjazd. Zresztą zaraz sama go zapytasz. No, przesiadka, proszę pani.

- A ubrania na zmianę? Majtki chociaż? Szczoteczka do zębów? - zaprotestowałam po raz ostatni, chociaż przeczuwałam już, co usłyszę w odpowiedzi. I nie pomyliłam się ani trochę.

- Karolek wiezie w bagażniku walizkę. Twoja mama i Julek zapakowali wszystko, czego możesz potrzebować. A nawet kilka rzeczy zupełnie niepotrzebnych, przynajmniej moim zdaniem.

Nie miałam już chyba nic do powiedzenia. Znowu ktoś zdecydował za mnie. I wcale mnie to nie złościło, chociaż chyba powinno. Bo w gruncie rzeczy to było bardzo miłe, nagle zostać otoczoną troską i opieką, zamiast troszczyć się,

opiekować i karmić przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Nie miałam wyboru. Wyruszyłam więc na wycieczkę na targi pogrzebowe. U boku Karolka, w samochodzie Leny, z walizką spakowaną przez mojego najstarszego syna. I na przekór okolicznościom zamierzałam się dobrze bawić.

Rozdział 14

Niewidzialne plomby

LENA

- Myślicie, że jedzą romantyczną kolację przy świecach? - Marta wyszła z pokoju, w którym usypiała Jeremiego, i spojrzała na zegarek.

Mam nadzieję, że tak. Zarezerwowałam im przecież byt w świetnym hotelu. Na dole mają saunę i basen, w pokoju wannę z jacuzzi. Wrzuciłam to wszystko w koszta firmowe. Od pięciu lat nie wykorzystuję budżetu dodatkowego na cele reprezentacyjne, który kumuluje się w jakieś straszne kwoty nie do przesunięcia na inne projekty. No to niech Nora ma z tych moich oszczędności wspaniałe dwa dni z Karolką. Tak naprawdę wszelkie koszta związane z jej osobą, bez względu na ich wysokość, zupełnie legalnie mogłabym rozliczyć jako związane ze sprawą. Jeśli tylko posunie ją to choć trochę do przodu. Szef nie może się doczekać mojego raportu, a ja zwlekam, jak tylko się da. I powtarzam jak Nora, że pomyślę o tym jutro. Chociaż wiem, że nie da się tego odkładać w nieskończoność. Muszę przecież w końcu jakoś tę sprawę załatwić! Póki tego nie zrobię, muszę wykorzystywać swój fundusz reprezentacyjny, zamiast budżetu na przypadek nr 113/BZ/N14. Bo taki numer noszą akta Nory.

NORA

Karolek podszedł do sprawy bardzo poważnie.

- Te twoje przyjaciółki, do spółki z księdzem, załatwiły wszystko tak, że nie wydasz grosza na ten wyjazd. Ja zresztą też nie. Mam nadzieję, że rozumiesz, że w tej sytuacji mamy moralny obowiązek wykorzystać w pełni każdą minutę - oświadczył.

Po czym zaparkował pod halą wystawową i chodziliśmy po niej przez ponad osiem godzin.

- Zlituj się - jęczałam. - Skupmy się na urnach. Nie muszę chyba oglądać trumien? Nie będę ich lepić z gliny! I sztucznych kwiatów też raczej nie!

- Za to ciężkie wazony, których z grobu nie zrzuci podmuch wiatru, możesz robić, prawda? - Naprawdę był bezlitosny. Zupełnie jak nie on. - Obiecałem, że wszystko dokładnie obejrzymy, i zamierzam dotrzymać słowa.

- A może coś pozwiedzamy? - podsunęłam bez większej nadziei. - Podobno Brno jest bardzo piękne.

Udał, że nie słyszy, zafrapowany katafalkiem w kolorze wściekłego rózu.

- Karol! - krzyknęłam tak, że Czesi handlujący zniczami na baterie słoneczne („Do nich należy przyszłość! Światło pamięci świeci przez 365 dni w roku na grobie twoich bliskich” - głosił wiszący nad stoiskiem napis w siedmiu językach) aż zmierz yli mnie wzrokiem.

Hmm, być może na targach cmentarnych należy zachować taką samą powagę jak na cmentarzu?

- Nie ma mowy. - Pokręcił głową człowiek, którego uważałam do tej pory za wyluzowanego i mającego dystans do wszystkiego, co robi. - One za to zapłaciły fortunę! I na pewno nie po to, żebyśmy przez pięć godzin wspinali się na jakąś średniowieczną krzywą wieżę.

- Jest tu jakaś wieża? Krzywa? Średniowieczna? I naprawdę aż taka wysoka? Wchodzi się na nią pięć godzin? - Wydało mi się podejrzan e, że nie słyszałam o tym zabytku klasy zero.

Wzrok Karolka powiedział mi jednak od razu, że nie mam się co łudzić. To był tylko przykład. Przykład tego, że nawet odkrycie piramidy egipskiej albo skarbu Inków w centrum Brna nie stanowiłoby dostatecznego powodu, żeby zrezygnować z obietnicy danej moim przyjaciółkom.

Wolę nie mówić głośno, co myślałam o tej przyjaźni po ośmiu godzinach spacerowania wśród trumien malowanych w czerwone maki i stoisk, gdzie pisano epitafia na zamówienie.

- Może weźmiemy udział w konkursie na najlepszy rym do słowa „pracowity”? - Karolek wciąż tryskał pomysłami. - Jakiś pastor ufundował nagrodę specjalną. Ponoć właśnie to słowo najczęściej pojawia się na protestanckich nagrobkach.

- A w jakim języku mam szukać tego rymu? - zapytałam, choć wcale nie zamierzałam zajmować się poezją.

W Karolka jednak wstąpiła nadzieja. Zostawił mnie przy sektorze nagrobków dla kanarków i pobiegł na poszukiwania regulaminu konkursu.

Dobra i ta chwila wytchnienia, choć w sekcji grzebania ptactwa domowego. Usiadłam na podłodze, zdjęłam buty, jęknęłam z bólu... po czym wyjęłam telefon i szybko wybrałam numer komórki Julka. Musiałam się upewnić, że są bezpieczni, że dziewczyny faktycznie zajęły się wszystkim, tak jak obiecały. Chociaż co do tego akurat nie miałam wątpliwości. Przede wszystkim jednak musiałam go poprosić, żeby nie spuszczał z oka pieca. I w żadnym wypadku nie pozwolił im wypalać misek albo wazoników. Dopóki nie dowiem się, co robił ten srebrny krążek na dnie pieca, nie włączę go. Nie i już!

- Powiedz im, że nie wolno, schowaj gdzieś instrukcję...

- Już schowałem. Ale to nic nie dało. Gośka właśnie ściąga z internetu wersję oryginalną - szepnął Julek, wprawiając mnie w nerwowe drżenie.

- Oryginalną? Po węgiersku? To przecież węgierski piec!

- Oryginalną - potwierdził najstarszy z moich synów. - Ma ją potem wrzucić do elektronicznego tłumacza i włączyć piec na noc. Bo wtedy prąd jest tańszy.

No jasne, mam dwie taryfy! Powinnam pracować w nocy, piec ciasto w nocy. Gdybym w ogóle piekła ciasto. Zupełnie

zapomniałam, że wtedy płacę za energię znacznie mniej. Jacek zawsze pilnował takich spraw. I nastawiał pralkę, kładąc się spać. Piec ceramiczny, oczywiście, też. I ciasto piaskowe, moje ulubione.

- Słuchaj, wyłącz korki. Albo powiedz, że piec jest zepsuty. - Wpadłam w panikę. - Nie, zepsuty nie. Gośka na pewno sama go naprawi. Powiedz, że...

- Powiem, że policja założyła plomby i nie wolno go ruszać - oświadczył spokojnie Julek, po czym się rozłączył.

Plomby, no jasne... To była prawda. No, prawie. Faktycznie oglądali pracownię, bardzo uważnie, i założyli plomby. Na drzwiach i na piecu. Ale tylko na dwadzieścia cztery godziny. Zdjęli je jeszcze przed pierwszymi zajęciami z dziewczynami. A na niewidzialne plomby Gośka na pewno nie da się nabrać.

Chciałam zadzwonić do niego jeszcze raz, ale w tym momencie wrócił Karolek.

- Załatwiłem na jutro specjalne wejściówki. - Zadowolone dosłownie z niego promieniowało. - Idziemy na wykład o trendach rynkowych w Ameryce. O siódmej, przed otwarciem targów dla publiczności. To może ci się przydać.

- Nie zamierzam robić urn dla Amerykanów! - zaprotestowałam słabo. - Oni ważą po dwieście kilogramów. Te urny byłyby wielkie jak beczki! Nie ma mowy, nie wybieram się na wykład. Chcę się porządnie wyspać.

- Jeśli obiecasz, że wstaniesz o szóstej i grzecznie przyjdiesz na wykład, wyjdziemy stąd i pojedziemy do hotelu - kusił Karolek.

- Teraz? Od razu? I już tu dzisiaj nie wrócimy? - upewniłam się. - W takim razie niech ci będzie. Obiecuję.

Nie zamierzałam dotrzymać słowa. O nie. Zwłaszcza po zjedzeniu boskiego łososa w sosie koperkowym. I po wypiciu

butelki wina w cudownym, pachnącym różami jacuzzi w naszej hotelowej łazience.

Nie doceniłam Karolka. Zerwał mnie z łóżka punktualnie o szóstej. Nie powiem, naprawdę się postarał: przyniósł mi pachnącą kawę, napuścił wody do jacuzzi. Wszystko, żebym tylko się podniosła i poszła na ten wykład. Wygrał. Wiedziałam, że jak się uprze, nikt nie ma szans. A tym razem na serio się uparł.

- Jeśli ktoś nam funduje ten wyjazd, to na pewno nie po to, żebyśmy siedzieli w łóżku do południa - przypomniał mi, gdy zeszliśmy na śniadanie do hotelowej restauracji, o dziwo wypełnionej do ostatniego miejsca. Okazało się, że na wykład wybierają się tłumy!

Wciąż wydawało mi się, że to jakiś żart.

Zwłaszcza gdy prowadząca prezentację Amerykanka imieniem Alice pokazywała kolejne slajdy. Na pierwszy ogień poszły karawany, o ile można tak nazwać coś, co uwieczniono na fotografiach. Różowe cadillaki - jak ze starego filmu - okazały się stonowaną klasyką. Trumnę na amerykańskim pogrzebie można też przewozić na specjalnie przystosowanym harleyu. Na platformie w kształcie stołu, dla miłośnika jedzenia. Na wózku widłowym wypełnionym skrzynkami z piwem. Hmm, to mogłoby się przyjąć także w naszej części Europy. Wyraźnie świadczyły o tym radosne pomruki i nieśmiałe brawa, dobiegające z lewej strony sali.

Potem nastąpił przegląd fryzur i strojów, proponowanych przez funeralnych stylistów. Oraz specjalny makijaż do trumny. Aż przeszedł mnie dreszcz. Zdjęcia ciał przebranych za Elvisa, Marylin Monroe, a nawet za papieża.

- Każdy szanujący się zakład pogrzebowy, nawet niewielki, musi zatrudniać stylistę, fryzjera i kosmetyczkę. Inaczej klienci do niego nie przyjdą - twierdziła stanowczo Amerykanka.

Ona na pewno miała makijażystkę. Sama nie zdołałaby chyba upudrować sobie szyi z tyłu? A miała upudrowaną, i to dość grubo. Widziałam to wyraźnie, gdy odwracała się do ekranu.

- Oczywiście trumna też może mieć dowolny kształt, rozmiar i być wykonana z takiego materiału, jaki spodobałby się zmarłemu - kontynuowała, śmiertelnie poważna. - To tylko kilka przykładów: trumna z fioletowego sztucznego futerka, zamówiona przez miłośniczkę pluszowych mebli. Odcień identyczny jak na kanapie w jej salonie! A tu, proszę, skórzana trumna nabijana ówiekami, dla punka. Trumna wyklejana w środku laminowanymi zdjęciami bliskich. Trumna w kształcie lodówki - dla łasucha. Trumna imitująca wygodne łóżko, oczywiście dla śpiocha. I trumna samolot - dla miłośnika podróży. Cokolwiek państwo wymyślicie, z pewnością w naszym kraju już taką trumnę wyprodukowano.

Na dowód swych słów pokazała jeszcze zdjęcia trzech trumien: udającej kanapę, telewizor i gigantyczną statuetkę Oscara. Po czym gładko przeszła do wątku imprez okołopogrzebowych, zwanych przez mniej wyluzowane osoby (takie jak ja) stypami. Na zdjęciach pojawiły się drinki z palemkami, grillowane kiełbaski, koncerty rockowe, śpiewy przy ognisku oraz wspinaczki całej rodziny na Mount Everest, by uczcić pamięć ukochanego wujka i tam wznieść ostatni toast.

- Najczęściej zmarły sam, zawczasu, przygotowuje nie tylko projekt swego stroju i makijażu funeralnego, a też scenariusz przyjęcia pogrzebowego. Wraz z upływem lat ulepsza go albo całkowicie zmienia - mówiła Alice. - Staje się więc regularnym gościem zakładu pogrzebowego, można by wręcz rzec: przyjacielem przedsiębiorcy. Wybiera muzykę, kwiaty, menu...

Znów przeszedł mnie dreszcz. Ciekawe, jaki scenariusz wymyśliłby mój Jacek. Hmm, a może to wszystko, co się stało, było właśnie jego drobiazgowo przygotowanym i stopniowo ulepszanym scenariuszem? Policja nie wykluczyła przecież samobójstwa, choć sprawa znikającej pocztówki i pojawiającej się obrączki zupełnie do tej koncepcji nie pasowała.

Rozdział 15

Whisky, barszcz i inne płyny

MARTA

Piotrek nie zdradził się ani słowem ze swoim planem. Nic nie podejrzewałam. Zupełnie nic! Spokojnie wyjechałam do norweskiej centrali, gdzie przez pięć dni po czternaście godzin dziennie oglądałam graczy testujących naszą rewolucyjną strategiczną grę planszową, której tytułu nie wolno mi nawet głośno pomyśleć. Zapowiada się na przebój, który wstrząśnie rynkiem. Na pożegnanie, w dowód uznania, dostałam od prezesa dwudziestopięcioletnią whisky.

- Naturalnie możesz też liczyć na premię finansową, lecz to dopiero po premierze. - Puścił do mnie oko. - Nigdy nie zapomnę, że twój pomysł na wprowadzenie dwóch postaci kobiecych zmienił całkowicie ten projekt i uchronił nas przed porażką.

Whisky? No jasne. Jestem jedyną kobietą pracującą na tym szczeblu, tak? Jedyną kobietą, która samodzielnie kieruje oddziałem. A więc dostałam prezent, jaki dostają szefowie za szczególne zasługi. Szefowie mężczyźni, oczywiście. Dla szefów płci żeńskiej prezentów nie przewidziano.

Kto by pomyślał, że Skandynawowie będą takimi seksistami! Whisky dla kobiety jako nagroda za to, że wprowadziła do gry pierwiastek żeński. Idiotyczna sprawa. Piotrowi na widok butelki rozbłyły oczy.

- Szkoda, że dziś nie mogę pić. Spróbuję pojutrze - jęknął z fotela, gdzie siedział pod kocem. Nie ruszył się nawet, żeby mnie przywitać.

- Jesteś chory? - Odsunęłam się odruchowo.

Jeszcze tylko brakowało, żebym złapała od niego grype. Akurat teraz, kiedy zbliżała się owulacja. Właściwie może już się zaczęła? Wezwano mnie na tę próbę generalną naszej gry w trybie pilnym i zupełnie zapomniałam zabrać do Oslo moje

paskowe testy owulacyjne. Nie wzięłam nawet termometru! Wyjątkowo nie kontrolowałam więc cyklu i nie miałam pojęcia, czy komórka jajowa jest już w jajowodzie. Na szczęście mogłam to szybko sprawdzić, zanim Piotr przygotuje kolację. O ile zamierzał mnie nakarmić. Zawsze szykował coś dobrego na mój powrót, jednak tym razem z kuchni nie dobiegały żadne apetyczne zapachy, na stole nie dostrzegłam butelki wina. Chyba naprawdę źle się czuł.

Odwracając głowę w drugą stronę, żeby nie zarazić się grypą, podeszłam i położyłam mu dłoń na czole. Nie było rozpalone. Z ulgą przytuliłam się i pocałowałam go w policzek. Kto wie, może jednak nie trzeba spisywać tego miesiąca na straty? Jeśli owulacja akurat się zaczyna...

Usiadłam mu szybko na kolanach.

- Auuu! - zawył Piotrek i zerwał się z miejsca, strącając mnie na podłogę.

A ja z wrażenia wcale się z niej nie podniosłam.

- Co to... co to ma być? - wydusiłam wpatrzona w miejsce znajdujące się trochę powyżej linii mojego wzroku.

Mój mąż nie miał na sobie spodni. W pasie obwiązany był czarno - biało - czerwonym szalikiem Polonii Warszawa, drużyny, której kibicuje od dzieciństwa, bez względu na to, w której ona gra lidze. A na końcu tego szalika miał... Nie, wzrok mnie nie mylił... Mogłam wyraźnie odczytać napis na zielonym tle... Na końcu szalika przytroczony do frędzelków wisiał...

- Groszek cukrowy? - zapytałam ze zgrozą i niedowierzaniem.

- Nie miałem bloku lodu ani nabożów do torby lodówki - mruknął Piotr, odwiązując szalik. - Znalazłem w zamrażalniku groszek. Nie jest zły. Łatwo można nadać torebce odpowiedni kształt.

- Jaki kształt? - Miałam wrażenie, że znalazłam się w jakiejś idiotycznej komedii, w samym środku sceny, w której bohaterkę ktoś próbuje zrobić w konia, a widownia wyje ze śmiechu.

- Jeśli już musisz wiedzieć, to... No więc... seks wykluczony. Dziś, jutro i w ogóle.

- Jak to: i w ogóle? - Teraz już zaniepokoiłam się na serio. Nagle przyszło mi do głowy, że poznał kogoś w ciągu ostatnich pięciu dni. Kogoś, komu zależało na czymś więcej niż jego plemniki. Kogoś, z kim uprawiał seks tak namiętny, że teraz musi robić sobie zimne okłady. Kogoś, kto zrobił mu krzywdę i sprawił, że już nigdy nie zostanie ojcem. Albo nie, nie krzywdę. Ten ktoś okazał się wspaniały. Tak wspaniały, że Piotrek chce z nim... to znaczy z nią...

Chyba z nią? Chce odejść i zacząć nowe życie. Byłam pewna, że zaraz powie mi, że odchodzi.

- Miałem ci to powiedzieć dopiero przy kolacji - westchnął. A więc moje przypuszczenia były słuszne! - Tylko że kolacji nie ma. Nie miałem siły jej zrobić. A więc, skoro musisz znać szczegóły... Więc ja... ja byłem wczoraj na biopsji. Doktor Rolicka zadzwoni, kiedy już będą wyniki.

NORA

Usiadłam do koła, wzięłam głęboki oddech i zaczęłam toczyć moją pierwszą urnę.

Wyszła mi cukiernica. Faktycznie niezła. Najlepsza z moich wszystkich cukiernic. Ale na urnę stanowczo za mała i za pękata. No, chyba że to miałyby być urna na prochy ratlerka albo papużki falistej.

- Muszę zapytać Gośkę, czy coś wie o potrzebach polskich miłośników zwierząt - mruknęłam pod nosem, centrując kolejny, znacznie większy, kawałek gliny.

- Na targach oferta dla nich była całkiem rozbudowana, Czesi i Słowacy kłębili się przy trumienkach dla chomików.

Chyba w Polsce właściciele psów, kotów i kanarków też mają cmentarze dla swoich pupili? I co, grzebią tam zwłoki w kartonowych pudełkach? Raczej nie. Tak, to mógłby być niezły interes, mniej dołujący niż te urny dla księdza Marka. Gośka na pewno będzie wiedziała, gdzie powinnam się zgłosić.

Następna urna przypominała wazę do zupy. Taką, z której można nakarmić cały pluton wojska.

- Miłośnikom zwierząt bym jej nie opchnęła - zaśmiałam się pod nosem, nieco już zirytowana. - Chyba że komuś padł słoń albo tłusta żyrafa. Wielkością pasowałyby doskonale.

Przy centrowaniu następnej kulki zaczęłam zastanawiać się nad wysłaniem oferty do ogrodu zoologicznego. Albo do kilku ogrodów. Może też potrzebują urn na prochy podopiecznych?

Trzecia urna wielkość miała mniej więcej taką, jak te oglądane w Brnie. Tylko kształt był dość awangardowy. Hmm... powiedzmy, że to był graniastosłup nieforemny. Raczej nie nadawał się do zaoferowania zrozpaczonemu żałobnikom.

Czwarta nadawała się jeszcze mniej. Wyglądała jak...

- O rany, robisz futerał na wibrator? - zapytała Gośka, wchodząc do pracowni z blachą ciasta kokosowego.

Zabiłam ją wzrokiem. Po czym, ze złości chyba, zrobiłam naprawdę niezłą urnę. Idealnie równą, z doskonale dopasowaną pokrywką.

- Jesteś stworzona do toczenia urn, od razu wiedziałam - ucieszyła się, nastawiając wodę na herbatę.

Miałam nadzieję, że się myli, i że jednak kiedyś jeszcze zrobię coś bardziej artystycznego niż pojemnik na prochy, równy i proporcjonalny. Póki co zachwycało mnie, że wyprodukowałam pierwszą urnę z prawdziwego zdarzenia. I że może właśnie dzięki niej moje dzieci zjedzą za parę dni

prawdziwy ciepły obiad, który kupię za własne pieniądze, a nie dostanę od Gośki w słoikach i pojemniczkach do odgrzania w mikrofalówce. Jeśli zdążę sfinalizować transakcję do piątku, może to być nawet obiad świąteczny. Gdyby nie Gośka i ten jej ksiądz w podartych dzinsach, byłoby mnie stać najwyżej na opłatek.

GOŚKA

Przygotowałam dla Nory piętnaście różnych pojemników, pudełek i słoiczków ze świątecznymi daniami. Pierogi, karpia w galarecie, a na drugi dzień świąt pieczeń i żurek. Jej chłopcy uwielbiają żurek! Ale najważniejsze, że mam gotowe pierogi, no i barszcz. Zakisiłam go według przepisu babci. Poszłam z kijami, po kostki w świeżym śniegu, specjalnie po prawdziwy razowiec. Oczywiście, do ulubionej piekarni mojej mamy. Twierdzi, że razowiec taki jak w jej dzieciństwie można kupić tylko tam. A przecież kiszenie nie udaje się bez skórki chleba razowego. No, w moim przypadku była to dość duża skórka; wyszło mi w sumie jedenaście litrów barszczu. Musiałam dać Norze porcję dla sześciu osób, oprócz tego słoik sąsiadce, która ma męża w szpitalu, dwa słoiki moim rodzicom, no i przygotować słoik dla Claude'a - Oliviera. Paczkę wysłałam na poste restante rzecz jasna, żeby ta okropna baba nie wykorzystwała słoiczka zupy i kilku uszek przeciw niemu w sądzie.

- Jedzenie to za mało - oświadczyła Lenka dzień przed Wigilią. - Musimy sprawić, że Nora nie będzie myślała o mężu. Ze to będzie dla niej dobry wieczór. No wiesz, że nie pograży się we wspomnieniach i nie przeryczy całej nocy przy choince. Nie mam tylko pojęcia, jak możemy to osiągnąć. Ona też się boi, że złapie doła. Rodzicom i siostrze zabroniła przychodzić, kuzynce też zapowiedziała, że nie wpuści jej za próg, bo odwiedziny bliskich przypomniałyby jej poprzednie

święta. Telefonów od teściowej nie odbiera od tygodnia... Ale to chyba nie wystarczy, żeby oderwać ją od myśli o Jacku.

- Może synowie jakoś ją oderwą? - podsunęła z nadzieją Marta. - Julek ma dość oleju w głowie, żeby wymyślić jakąś grę albo... no nie wiem, śpiewanie kolęd.

- Myślisz, że śpiewanie kolęd wprowi ją w szampański nastrój? - Pokręciłam głową. - Nie, to musi być coś innego... coś absorbującego. I w dodatku coś, co nie będzie wymagało naszej obecności. Mamy przecież swoje domy, nie możemy spędzić całego wieczoru u Nory. Więc może...

- Film? Bardzo zajmujący film? - Nawet Lenka nie wyglądała na przekonaną do swojego pomysłu.

- Przypalony garnek? Albo w ogóle jakiś mały pożar. - Pomysł Marty faktycznie mógł się okazać szalenie skuteczny, jeśli chodzi o zaabsorbowanie Nory na kilka godzin. Ale czy naprawdę musiałyśmy podpalać dom, żeby uratować jej święta?

- Urna? Dwie urny? Dziesięć? - Wpadłam na lepszy pomysł. - Nagłe zlecenie. Bardzo pilne. Musi usiąść do koła i toczyć. A potem suszyć suszarką do włosów, tak żeby zaraz po świętach poszkliwione urny trafiły do klienta.

- Dziesięć urn? - Lenka była sceptyczna. - Nora w to nie uwierzy. Niby dlaczego ktoś tak ich nagle potrzebuje?

- Bo ludzie umierają nagle - przypomniałam jej. - Jakiś mały wypadek... Tak, wypadek obcokrajowców. Trzeba przetransportować prochy z Polski, już w urnach. To była jakaś wycieczka... nie wiem, amerykańskich wielorybników, ichtiologów albo górników. No i urny mają być niezwykle, związane z ich zawodem.

- Amerykańscy wielorybnicy na wycieczce po Polsce? Chyba pojechaliby do Norwegii albo na Islandię, a nie do nas? - Marta popukała się w czoło. - Nora jest naiwna, ale tego nie łyknie. Możemy się założyć.

NORA

Nieźle mam święta! Chciałam odpocząć z chłopcami, obejrzeć jakiś film, iść na długi spacer, a tymczasem tkwię przy kole i toczę urny dla niemieckich ornitologów. Osiemnastu. Jechali obserwować ptaki nad Biebrzą i zginęli w wypadku. Co za koszmarna historia.

A ich przewodnik, Polak, złożył zamówienie na urny z ptaszkami. Żeby uczcić ich pasję.

Boże, gdyby ktoś mi rok temu, gdy łamałam się z Jackiem opłatkiem, powiedział, jak będą wyglądały moje kolejne święta, roześmiałabym się głośno. A teraz siedzę nad atlasem ptaków i szukam sójki. Sójka była symbolem ich kółka ornitologicznego. A więc każdy musi mieć na wieku urny sójkę. Nie mogliby mieć pelikana? Albo chociaż bociana? Słyszałam w radiu, że Niemcy szalenie zazdroszczą nam tych bocianich gniazd, które mamy niemal w każdej wsi. Chyba dobrze pamiętam, że co czwarty bocian świata mieszka w Polsce? W niektórych małych wioskach na Warmii jest po dwadzieścia, trzydzieści, a nawet czterdzieści gniazd. Niemcy chcieliby też mieć ich tyle. Kombinują więc, jak zwabić do siebie więcej osobników. W radiu opowiadali, że Niemcy wymyślają różne sposoby, żeby stać się dla bocianów atrakcyjnymi, lecz wciąż przegrywają z Polską w liczbie bocianich gniazd. No to może niemieccy ornitolodzy mogliby, w imię tej zazdrości, mieć w herbie bociana? Ale nie. Oczywiście. Musi być sójka. Sójka poza kolorami nie ma w sobie nic charakterystycznego. Ma taki kształt i dziób jak setki innych gatunków. Jak ja mam pokazać, że to sójka?

Dobrze że chociaż nie muszę misternie szkliwić tych ptaków w naturalne kolory. Wystarczy bezbarwne szkliwo. Tak przynajmniej twierdzi Gośka, która przyjmowała zamówienie. Ten przewodnik po biebrzańskich błotach to jakiś jej znajomy.

A więc toczę, a chłopcy gapią się w telewizor. Niezła Wigilia, nie ma co. Przynajmniej brzuchy wszyscy mamy pełne. I lodówkę też. W dodatku nie rozkleiłam się dzisiaj ani razu, choć tak się tego bałam. Cholerne urny z sójkami skutecznie załatwiły sprawę.

LENA

Od rozvodu rodziców nie znoszę Bożego Narodzenia. Jeżdżenia od mamy do ojca, od ojca do mamy, ciągłych wyrzutów sumienia, że jedno z nich jest samo. Żeby przynajmniej ułożyli sobie życie! Chociaż jedno z nich mogłoby mieć nową, cudowną rodzinę, jakiegoś pasierba albo nawet własne dziecko, młodsze ode mnie o dwadzieścia czy trzydzieści lat... Dobra, mama nie dałaby rady urodzić mi siostry albo brata, ale tata? Z powodzeniem mógłby związać się z jakąś młodą fajną dziewczyną. Może nawet bym się z nią zaprzyjaźniła? Ale nie. Oni zgodnie powtarzają, że nie zamierzają wchodzić w nowe związki, że są już za starzy, nie poznali nikogo ciekawego i w ogóle nie po to się rozwiedli, żeby znów iść na te wszystkie kompromisy czy - cytuję za mamą - na stare łata prać czyjeś brudne gacie.

A więc nie piorą cudzych gaci i nie idą na kompromisy. Chodzą spać o tej, o której chcą, i mogą kłaść się choćby w poprzek łóżka bez obaw, że kogoś kopną albo obudzą. Cudownie, prawda?

Tylko w Boże Narodzenie, niestety, jakoś nagle ta cudowna samodzielność przestaje być dla nich atrakcyjna i marzą wyłącznie o jednym: o tym, żebym przy nich była. Jednocześnie na Żoliborzu u taty i w Aninie u mamy. Gdybym im pozwoliła, urządziliby chyba aukcję i licytowali bezlitośnie.

- Barszczyk już gotowy, córeczko!

- Pierogi, twoje ulubione, wyjątkowo się w tym roku udały!

- Upiekłam sernik!
- W piekarniku już dochodzi karp pod pierzynką, według przepisu prababci!
- Ciocia Madzia specjalnie dla ciebie przywiozła kluski z makiem!

I tak dalej, w nieskończoność. Moje ulubione filmy na DVD, prezenty jak z bajki czekające pod choinką... Święty Mikołaj stał się dla mnie łaskawy dopiero od chwili, gdy na trzecim roku studiów usłyszałam od rodziców: „Uznaliśmy, że jesteś już dostatecznie dorosła, by to udźwignąć” i zobaczyłam spakowany do dwóch walizek cały dobytek taty. Czekali tak długo! Żyli pod jednym dachem tylko ze względu na mnie!

Od tamtej pory wciąż mają poczucie winy i próbują mi to wynagrodzić.

- To przez nasz rozwód wyszłaś za męża tak szybko i pochopnie - często powtarza mama.

- Byłam dla ciebie złym wzorem mężczyzny - wzdycha tata. - Przeze mnie wiążesz się z takimi gówniarzami jak ten obślizgły Gracjan i jego kot!

Przy wigilijnym stole też wzdychają nad moim nieudanym życiem. Słuchając ich, ktoś mógłby pomyśleć, że jestem bezdomną, bezrobotną narkomanką, wiążącą się seryjnie z paserami i sutenerami!

- Mamo, nie dzisiaj... Przełożmy tę rozmowę na kiedy indziej - prosiłam i w tym roku.

Oczywiście bez skutku. Do Anina przyjechała babcia Wiesia, rodzeństwo mamy z mężami, żonami, dziećmi i wnukami oraz, co najgorsze, przydreptała jej sąsiadka, pani Ala. Największa plotkara, jaką znam.

- Kochanie, może powinnaś przemyśleć jeszcze to rozstanie z Grackiem? - Mama zaraz po podaniu barszczyku wróciła do ulubionego tematu. - On jest naprawdę szarmancki.

I nie żałuje mi masła, w przeciwieństwie do tego twojego weterynarza!

Co mnie podkusiło, żeby opowiedzieć mamie o awanturze o kostkę skandynawskiego masła? Miałam ochotę odgryźć sobie język! Lecz najgorsze miało dopiero nastąpić...

- Mówicie o tym przystojnym weterynarzu, Marcelu Wierzbickim? - zapytała z uśmiechem grzechotnika pani Ala.

- Widziałam go kiedyś z tobą, Lenko. Od razu go rozpoznałam! Uroczy młody człowiek, uratował dwa lata temu mojego Bubusia od pewnej śmierci. Po świętach wybieramy się na szczepienia do naszego cudotwórcy.

No tak! Wspaniale! Po prostu wspaniale! Pani Ala odwiedzi Marcela w gabinecie i rzecz jasna opowie mu, że przy moim stole wigilijnym toczą się dyskusje o tym, czy warto mu zaufać, czy lepiej byłoby raczej wrócić do Gracjana, mimo że spalił moje książki i obrobił mi tyłek przed szefem z czystej małpiej złośliwości.

- Psy szczepi się chyba wiosną? W maju, o ile się nie mylę? - wysyczałam słodko jak kobra znad mojego barszczu. - Więc po co idzie pani do weterynarza ze zdrowym psem o tej porze roku?

Przy stole zapadła głucha cisza. Poderwałam się z miejsca.

- Muszę już jechać do taty, jest dziś całkiem sam - powiedziałam, kierując się do drzwi.

U taty nie musiałam się chyba spodziewać żadnych wścibskich sąsiadek?

Sąsiadek na szczęście nie było. Ciotek też nie. Pojawił się za to mój dziadek. I jeszcze zanim zdążyłam powiedzieć „dzień dobry”, spojrzał na mnie surowo i zapytał:

- Prawnik w drodze? Pokręciłam głową.

- Kiedy będzie? - Nie odpuszczał.

Wzruszyłam ramionami. Nie zamierzałam wtajemniczać dziadka w szczegóły medyczne, a tym bardziej wbijać sobie

gwoźdźcia do trumny, informując go, że mój zegar biologiczny bije znacznie szybciej niż zegary moich rówieśnic.

- Robię, co mogę - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

- Nie zabezpieczasz się? - Dziadek najwyraźniej szedł na rekord w kategorii „najnowocześniejszy osiemdziesięciolatek w Europie”. Z amerykańskimi nie wygra, za to na naszym kontynencie, jak tak dalej pójdzie, ma spore szanse...

- Chwilowo nie mam partnera. - Miałam nadzieję, że to utnie rozmowę i pozwoli mi w końcu przejść do głównego punktu programu, czyli składania życzeń i jedzenia kolejnego talerza barszczu.

- Chwilowo? - Najwyraźniej tak objawiał się dziadkowy wigilijny nastrój.

- Chwilowo, naprawdę. - Jezu, jak miałam mu to wyjaśnić? - Pracuję nad tym. Obiecuję, dziadku, niedługo zatańczysz na moim weselu.

- Po co ci wesele? Nie masz na co wydawać pieniędzy? Daruj sobie wesele, ślub zresztą też. Jeden już miałaś, wystarczy. - Dziadek wciąż miał szansę na tytuł seniora największego luzaka. - Teraz skup się na szukaniu dobrego materiału genetycznego, a nie męża.

- O, Lenka! - Ojciec nareszcie wyszedł z kuchni i mnie zauważył. - Wchodź, kochanie! Siadaj do stołu! Pewnie dziadek opowiedział ci już o tym artykule w „American Scientist”? Bardzo ciekawy, naprawdę. Koniecznie musisz się zapoznać, żeby nie popełnić błędu na poziomie doboru genów. Najlepiej by było, gdybyś poszukała mężczyzny, który jest przynajmniej półkrwi Azjatą lub pochodzi z Afryki. Mieszając jego pulę genetyczną z twoją, miałabyś duże szanse na spłodzenie przyszłego laureata Pulitzera lub Nobla, albo jakiegoś olimpijskiego medalisty...

Rozdział 16

Czy to bliźniaki?

LENA

Marta przyniosła dziś do Norki zdjęcie. A właściwie dwa. Na jednym był chłopiec o wyglądzie amorka, tyle że ciemnowłosego. Wielkie oczy, usta jak serduszko i loczki. Ciemne, równiutko poskręcane loczki.

- Jaki słodki. - Nora wyglądała, jakby natychmiast zapragnęła mieć jeszcze jedno dziecko. - Kto to?

- A jak myślisz? - Marta uśmiechnęła się tajemniczo. To zdecydowanie nie było w jej stylu! Ona wali prosto z mostu, nie bawi się w zagadki i niedopowiedzenia.

Gośka przez dłuższą chwilę przyglądała się zdjęciu, a potem zapytała:

- Czy to znaczy... czy to znaczy to, co myślę?

- Skąd mam wiedzieć, co ty myślisz? - Marta błyskawicznie wróciła do swojego zasadniczego tonu. - Jeśli myślisz, że to mój synek, to tak, masz rację. Właśnie to oznacza zdjęcie.

- Synek? - udało jej się zaskoczyć nawet mnie. - Skąd ty nagle wzięłaś synka? I to trzyletniego?

- Pięcioletniego. - Marta patrzyła na mnie z politowaniem. Fakt, wiedziałam o dzieciach najmniej z naszej czwórki. - A to córeczka.

- Też pięcioletnia? - zapytałam odruchowo.

- Też. - Tym razem była ze mnie zadowolona. - W tym samym wieku co chłopczyk. Co do godziny.

- Bliźniaki? - Gośka też była zaintrygowana.

- Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

To zaczynało przypominać zabawę w głuchy telefon! Jasne, skąd mogło nam przyjść do głowy, że dzieci w tym samym wieku, urodzone tego samego dnia, o tej samej porze są rodzeństwem!

- Mów jak człowiek. - Gośka wyraźnie się zdenerwowała.
- Planujesz adopcję, tak? Dwójki dzieci jednocześnie? To rodzeństwo?

- Rodzeństwo, tak. W zasadzie rodzeństwo.

- Pewnie że rodzeństwo. - Nora pokiwała głową. - Od razu widać. Mają takie same oczy, no i te noski perkate, lekko zadarte.

- Perkate?! - oburzyła się Marta. - Niby kto ma perkaty nos? Ja czy Piotr?

- Nie mówię o was, tylko o dzieciaczkach, które chcecie adoptować. - Nora się roześmiała. - Nie zrozumiałaś mnie.

- To ty mnie chyba nie zrozumiałaś. - Oj, robiło się naprawdę nieprzyjemnie. Ten lodowaty ton... - To nie są jakieś tam obce dzieciaki. To moje dzieci. Moje i Piotra. Nasze biologiczne dzieci.

W pracowni zapadła głucha cisza. Marcie udało się uciszyć nawet Gośkę, która zawsze ma coś do powiedzenia.

Jakim cudem do tej pory ukrywała przed nami fakt, że jest matką dwójki dzieci? Wariowała z powodu ciąży, w którą nie udawało jej się zajść. Jeden jedyny raz widziałam ją naprawdę wzruszoną - wtedy, gdy mały Jeremi zasnął, wtulony w jej biust. Mówiła wiele razy, że za późno dorosła do decyzji o macierzyństwie, że powinna wcześniej pomyśleć o małej przerwie w karierze. I co? Zapomniała dodać, że ma już dwójkę dzieci? I niby gdzie one są? Byłam u niej w domu trzy razy i nie zauważyłam nie tylko przedszkolaków, ale też żadnej zabawki, butów, malutkich szczoteczek do zębów. Wszystko idealnie wysprzątane i całkowicie dorosłe.

- Oddałaś je? - domyśliła się Gośka. - Oddałaś dzieci do adopcji, bo nie byłaś gotowa na macierzyństwo? A teraz żałujesz i chcesz je odzyskać?

Nie wiedziałam, jak się zachować. Co powiedzieć w takiej chwili. Nigdy nikt nie dzielił się ze mną tajemnicą aż tak

wielką i ciężką. Nora chyba też nie umiała powiedzieć nic sensownego. Przytuliła po prostu Martę z całej siły i zaczęła płakać.

MARTA

Czy one powariowały? Lenka wyglądała jak ryba wyjęta z wody. Ciężko oddychała z szeroko otwartymi ustami, oczy dosłownie wychodziły jej z orbit. Gośka mówiła coś o oddawaniu i odzyskiwaniu dzieci, a Nora rzuciła się na mnie i zaczęła szlochać.

- Boże, musiało ci być strasznie ciężko! - chlpała. - Przez tyle lat nosiłaś w sobie taki sekret, taki koszmar. Jak dobrze, że wreszcie nam o tym powiedziałaś!

- Ale o czym? - Nie rozumiałam.

Wizualizacja komputerowa faktycznie wyszła znakomicie, sama byłam zaskoczona efektem. Ale żeby reagować aż tak emocjonalnie jak dziewczyny? To jednak była przesada.

- Jeśli ktoś miałby się wzruszać na widok tych dzieci to chyba ja, a nie wy, tak? - Próbowałam je uspokoić.

- Tak, tak, oczywiście - przytakiwała mi Lena, wciąż z trudem łapiąc oddech.

- Ja się nie wzruszam - zaprzeczyła Gośka, ocierając ukradkiem kącik lewego oka. - Ja tylko... Słuchaj, ja wiem, że żałujesz, i że chciałabyś cofnąć czas.

- Chciałabym, o parę lat - przytaknęłam. To przecież nie była tajemnica, sama niedawno im mówiłam, że powinnam urodzić dziecko zaraz po studiach, zamiast czekać prawie do czterdziestki. - Ale to niemożliwe...

- Niemożliwe, właśnie. - Gośka nieoczekiwanie przybrała ton psychiatry rozmawiającego z osobą w stanie ciężkiej psychozy. - Dobrze, że to rozumiesz. Pomyśl o dzieciach. O tym, co one by przeżyły, gdybyś nagle się pojawiła.

Gdybym ja się nagle pojawiła? Gdzie? Na trzecim zdjęciu, rzuconym obok tych dwóch, na biurku wymazanym krystalicznym turkusem, którym Lenka szkliwiła swój zegar?!

- One mogą w ogóle nie wiedzieć o twoim istnieniu. - Nora wreszcie przestała chlipać i przyłączyła się do obrony nieistniejących dzieci przed moimi tajemniczymi atakami. - Żyją gdzieś szczęśliwie, z kochającymi rodzicami, dla których są oczkiem w głowie...

- Dwoma oczkami - poprawiła ją trzeźwo Gośka.

- O czym wy mówicie, wariatki? - Nie wytrzymałam. - Uważacie, że te dzieci naprawdę gdzieś sobie spokojnie mieszkają? Gdzieś poza moją wyobraźnię? Powołałam tę dwójkę do życia dopiero dziś w nocy, nie rozumiecie tego?

Znów zamilkły wszystkie trzy. Tylko wpatrywały się we mnie wstrząśnięte. Miałam wrażenie, że czas się zatrzymał i będziemy tak siedzieć do końca świata, gapiąc się na siebie wzajemnie. Lenka z pędzlem, z którego turkus kapie na stół i podłogę, Gośka z rękoma zlepionymi czarną gliną i Nora próbująca ozdobić gustownie urnę dla przewodniczącej Stowarzyszenia Hodowców Storczyków. No i ja, która jako jedyna nie dotknęłam jeszcze dzisiaj gliny. Nie zdążyłam nawet włożyć fartucha. Od razu po wejściu do pracowni wyjęłam te zdjęcia, no i wywołałam niechcący małe trzęsienie ziemi.

Jako pierwsza, po minucie albo po roku tej ciszy, poruszyła się Gośka. Wytarła lewą rękę w spodnie, podniosła zdjęcie i zaczęła czytać maleńkie literki na dole. Nawet nie zauważyłam, że w ogóle coś tam się wydrukowało.

Całą pracownię wypełnił jej zaraźliwy śmiech.

- Future Face, no jasne! - Chyba było ją słyszeć na drugim końcu ulicy. - Zrobiłaś to samo, co dziennikarze angielscy, gdy tylko się okazało, że William i Kate spodziewają się dziecka! Zaraz w gazetach pojawiły się

komputerowe portrety ich synka lub córki. Program stworzył je, analizując twarze rodziców. Zrobiłaś to samo, tak?

- Mam najnowszą wersję tego programu, Future Face 5.1 - pochwaliłam się. - Wrzuciłam do niego zdjęcie moje, Piotrka, jego rodziców, moich rodziców, jego brata... Dokładność jest naprawdę niewiarygodna.

- Te nosy, no tak. - Pokiwała głową Lenka. - Powinnam się domyślić.

A Nora znów uderzyła w płacz, powtarzając:

- Co za szczęście, co za szczęście, że nie musisz burzyć ich spokoju.

Hmm, tak naprawdę planuję właśnie zburzyć ich spokój. I przenieść je w końcu ze świata wirtualnego w rzeczywisty. No, przynajmniej jedno z nich. I to jak najszybciej.

- Wiecie co, ja nie będę jednak dzisiaj lepić - postanowiłam, zwijając zdjęcia do torby. - Muszę wracać do domu, obiecałam Piotrowi, że zjemy razem kolację.

Gdy już zbliżałam się do drzwi, Lenka zawołała:

- Słuchaj, a drogi jest ten program? Może mogłabym ci wysłać zdjęcia i... no wiesz, chciałabym sprawdzić...

- Jak wyglądałoby dziecko twoje i Marcela? - domyśliłam się.

Lenka wyraźnie się zarumieniła.

- Moje i Marcela, moje i Gracka, moje i Pawła. I jeszcze moje i... no, kilku innych facetów. Muszę w końcu się na coś zdecydować. Naprawdę zostało mi niewiele czasu.

Rozdział 17

Godzina pąsowej róży

MARTA

- Dziś wpadnie do nas na zajęcia twoja koleżanka. - Nora uśmiechnęła się, gdy weszłam. - Powinna zjawić się lada chwila. Dziękuję, że jej poleciłaś moją pracownię.

Koleżanka? Poleciłam? To chyba jakaś pomyłka. Ja nie mówiłam nikomu, że tu przychodzę. Uważam to... no nie, teraz już nie, oczywiście, ale na początku naprawdę uważałam chodzenie na glinę za coś wstydliwego. Obciachowego wręcz. Dlaczego niby miałabym polecać komuś psychoterapię dla kobiet, które nie zachodzą w ciążę z powodu nadmiernego stresu?

- Koleżanka? - powtórzyłam za Norą zdezorientowana. Oczywiście Piotr wie, że tu przychodzę. Mówiłam też Ance. Ale ona na pewno by nie przyszła. Organicznie nie cierpi brudzić rąk, wykończyłaby się tutaj w ciągu kwadransa. No i wiedzą nasi eksśasi, po tym jak mnie zobaczyli umazaną na czerwono. Lecz oni też na pewno nie mieliby ochoty nic ulepić.

- Dziewczyna z takim ciekawym imieniem... Paulina? Marcelina? Nie, jakoś inaczej, ale chyba kończyło się na - ina.

Niech to diabli! Ewelina. Ewelina, tak? Na pewno. Jakim cudem? Przecież ja jej nie widziałam od czasu... tak, od tego spotkania w aptece, przy kupowaniu testów. Jak przez mgłę przypominałam sobie, że coś jej wtedy nałgałam. Kompletnie nie pamiętam co. To była jakaś bzdurna informacja, na odczepnego. Na pewno nie podałam jej namiarów na Norkę nr 7/9! Imię Nory też nie padło, w ogóle nie mówiłam nic o pracowni, tylko o testach ciążowych dla koleżanki. O rany, no tak! Powiedziałam, że chodzę z tą koleżanką na ceramikę, pamiętam już dokładnie. Nie, nie że chodzę, ale że chodziłam. Bo ona wyjechała do Anglii i potrzebuje tych testów. Miała

chyba na imię Maria. Ja nawet tego nie powiedziałam, tylko wykrzyczałam z drzwi autobusu, do którego uciekłam przed Eweliną. Myślałam, że nic nie usłyszała.

- Rany, jak ona mnie tutaj znalazła? - jęknęłam.

I opowiedziałam Norze o tamtym spotkaniu w aptece.

O kobiecie gotowej zabrać testy do Londynu i udzielić mojej koleżance cennych porad, i o Ewelinie, przed którą zwałam do pośpiesznego, a ten wywiózł mnie siedemnaście czy osiemnaście przecznic od mojego samochodu.

Gdy skończyłam, Nora płakała ze śmiechu. Chyba po raz pierwszy widziałam ją tak rozbawioną.

- Nie mam pojęcia, jak się dowiedziała, gdzie chodzę na zajęcia - dodałam zgodnie z prawdą. - Wcale jej nie namawiałam, by chodziła ze mną. Przeciwnie: zdecydowanie wolałabym, żeby nie chodziła. Będę się bała przy niej odezwać słowem. To straszna plotkara. Nie będę mogła już rozmawiać z wami tak szczerze jak do tej pory. Trudno, spotkamy się na kawę gdzieś poza pracownią.

- Wygonimy ją - obiecała Nora.

- Nie, nie, no co ty. - Pokręciłam głową. - Przecież dla ciebie oznacza to dodatkowe pieniądze, Ewelina będzie ci płacić za każde zajęcia. Ona dobrze zarabia, pewnie kupiłaby też od ciebie jakąś miskę albo wazon, albo nawet całą zastawę obiadową. Nie mam prawa...

- Masz prawo - uspokoiła mnie Nora. - Coś wymyślimy. Dziś się z nią jakoś przemęczymy, a kiedy wyjdzie, wymyślimy coś z Goską i Lenką. Nie martw się. Tylko wyślij im esemesa, żeby uważały przy niej na to, co mówią. Nie chcemy przecież, by wyniosła stąd jakieś sensacje o tobie albo o nas. Zwłaszcza o tobie.

Wysłałam więc esemesy. Do obu. Równo 160 znaków: „Dziś przyjdzie Ewelina, mój jakby wróg. Chcemy z Norą ją

wykurzyć. Nie mówcie za wiele i udawajcie, że była w pracowni Maria, która wyjechała do Anglii na stałe".

- Chyba nic z tego nie zrozumieją - mruknęłam. Nie miałam jednak pomysłu, jak czytelniej przedstawić to, co najważniejsze w telegraficznym skrócie.

- Może Ewelina się spóźni i wszystko im szybko opowiemy? - wyraziła nadzieję Nora.

Nic z tego. Ewelina pojawiła się w progu akurat, gdy chowałam komórkę do torebki.

- Cześć, Martuśka! - zawołała rozkosznie. Martuśka, też coś!

- Cześć. - Nadanie głosowi lodowatego brzmienia przyszło mi bez trudu.

- Nie dziwisz się, że tu jestem? Ze cię znalazłam? - Ewelina najwyraźniej pozowała na moją serdeczną przyjaciółkę.

Nawet próbowała mnie objąć, lecz strząsnęłam jej rękę. - Fajna niespodzianka, no przyznaj, że fajna! Nie zastanawiasz się, jak mi się udało tu dotrzeć?

- To proste. - Wzruszyłam ramionami. - Zadzwoiłaś do Anki i zapytałaś, gdzie chodzę na ceramikę. Gdy się ostatnio widziałyśmy, mówiłam ci przecież o koleżance z pracowni, tak? A więc nie musiałaś knuć szczególnie skomplikowanej intrygi.

Ewelina wydeła usta jak klon Marilyn Monroe. Nie lubiła być niedoceniana.

- Cieszysz się, że będę z tobą chodzić na zajęcia? - Wciąż grała moją przyjaciółkę. - Bo ja bardzo się cieszę, wreszcie znowu sobie porozmawiamy od serca!

- Znowu? - zdziwiłam się mało uprzejmie.

Jakoś nie przypomiinałam sobie, żebyśmy kiedykolwiek rozmawiały od serca. I zamierzałam to powiedzieć głośno i wyraźnie. Skoro Nora pozwoliła mi zniechęcić Ewelinę do

przychodzenia na czwartkowe zajęcia, to nie musiałam chyba się powstrzymywać?

Zanim jednak zdążyłam otworzyć usta, drzwi do Norki się otworzyły i w progu stanęły Gośka i Lena. W białych maseczkach na ustach.

- Pytałyście panią, czy jest szczepiona? - zadudniła Lenka zza swojej maski. - Jesteśmy akurat w najniebezpieczniejszej fazie choroby...

GOŚKA

Nawet gdyby Marta nie wysłała nam esemesa, od razu zorientowałybyśmy się, że coś jest nie tak. Ta dziewczyna była jakaś... jakaś taka śliska. A Marta kulila się w kącie, byle znaleźć się jak najdalej od niej. Nikt o zdrowych zmysłach nie uwierzyłby w ich wielką przyjaźń!

Może nasz pomysł z maseczkami nie był szczególnie oryginalny. Nie wysiliłyśmy się za bardzo, przyznaję. Lecz co można zrobić, dostając taką wiadomość dwie przecznice od celu? Nie miałyśmy czasu, żeby zawrócić i stanąć w korku tylko po to, aby po czterdziestu minutach dostać się do sklepu lub apteki i kupić coś lepiej nadającego się do wykurzenia wroga.

Postanowiłyśmy więc poszukać inspiracji w moim schowku na rękawiczki i w bagażniku.

- Szkoda, że nie jedziemy moim samochodem - westchnęła Lenka. - Mam wciąż pod fotelem apteczkę Marcela. Podstawowy zestaw ratunkowy, bez którego nigdzie się nie ruszał. A w nim prawdziwe cudowniki: aparat do usuwania kleszczy, który wygląda jak narzędzie tortur, bandaże, opaski uciskowe, waciki, krople do oczu, uszu, preparat prowokujący wymioty, niezbędny, kiedy pies połknie coś, czego absolutnie łykać nie powinien...

- Uważasz, że powinniśmy przyjąć środek wywołujący wymioty, żeby spłoszyć tę Ewelinę? - Nie jestem zbyt

delikatna, naprawdę, jednak pomysł wydał mi się kontrowersyjny.

Zaczęła się śmiać.

- Nie, skąd. Po prostu jestem pewna, że wpadłybyśmy na jakiś pomysł, zaglądając do tego pudełka Marcela.

- Czekaj, czekaj. - Coś zaczęło mi świtać. - Przecież ja też mam apteczkę. Podstawową, jednak nieźle zaopatrzoną. Tylko kogo my chcemy udawać? Lekarki, które zabierają do szpitala Martę? Z powodu choroby zakaźnej?

- Może same będziemy zarażone czymś paskudnym? Czymś, czego ona na pewno do tej pory nie miała, więc niemal na pewno może się tym zarazić? - podsunęła Lenka w nagłym przyływie geniuszu.

No, może jej wspomnienia z niezwyklej wizyty Marty, usiłującej zabezpieczyć się przed toksoplazmozą, też trochę tu pomogły. Faktycznie, okazało się, że możemy przeobrazić się naprawdę łatwo i szybko. Wystarczyły maseczki dorzucone przeze mnie do apteczki wieki temu, kiedy wszyscy panikowali z powodu epidemii ptasiej grypy.

- Mam tylko nadzieję, że ona nie jest lekarką - westchnęła Lenka, gdy parkowałyśmy pod norką Nory.

- Ani farmaceutką - dodałam.

- Ani weterynarzem. Ani filologiem klasycznym. Gdyby nim była, nazwa choroby na pewno dałaby jej do myślenia! Zwłaszcza w połączeniu z maseczkami.

- A właściwie skąd ty znasz tę nazwę? - zastanowiłam się nagle. - Akurat tę? To chyba nie jest często spotykana choroba? Ani u zwierząt, ani u ludzi?

- Chyba nie. - Wzruszyła ramionami Lenka. - Tyle że ja uwielbiam daktylę. I jak usłyszałam, że Marcel rozmawia z kimś o megalodactylii, od razu tę nazwę zapamiętałam. I potem nawet trochę sobie poczytałam na jej temat.

- Na wszelki wypadek mówmy niewyraźnie - szepnęłam jeszcze, zakładając maskę na twarz.

I natychmiast zrozumiałam, że nie będziemy musiały się szczególnie wysilać, żeby seplenić i szeleścić. Maską załatwiała wszystko za nas.

NORA

Naprawdę nie mogłam powstrzymać śmiechu, patrząc na Lenkę i Gośkę. Odprowadzając przerażoną Ewelinę do drzwi, musiałam co chwilę symulować atak kaszlu.

- Metalotabilia? - upewniała się Ewelina. - Wszystkie jesteście na to chore? Naprawdę?

- Lena przywozła to świństwo z egzotycznej wycieczki. - Szłam na całość, nie miałam przecież nic do stracenia. Nawet jeśli Ewelina zorientuje się, że zrobiłyśmy ją w konia, nie pozwie nas chyba do sądu? - Nawet szczepionka nie zabezpiecza w stu procentach.

- Metalo... - sylabizowała Ewelina. - To ma coś wspólnego z metalami ciężkimi?

Zrobiłam najbardziej tajemniczą i dwuznaczną minę, jaka przyszła mi do głowy, i szybko zatrzęsnęłam drzwiami. W pracowni dziewczyny dosłownie tarzały się ze śmiechu.

- Przerost palca. Jednego lub kilku - wyjaśniała Lenka. - Daktylos to po grecku palec. Właściwie wszyscy to wiemy, bo przecież daktyloskopia to badanie linii papilarnych. A megalos, też z greki, to wielki.

- Megalomania, no jasne! - Stuknęła się w czoło Marta. - Mam nadzieję, że Ewelina tego nie skojarzy.

GOŚKA

- Otworzysz?! - krzyknęła do mnie Nora, pochylona nad kołem. - Nie mogę teraz wstać, bo będę miała półmisek zamiast urny.

- Jasne! - Pobiełam do drzwi, spodziewając się powrotu Eweliny.

Zaskoczyłaby mnie, tak szybko rozpracowując nasz podstęp. To nie była Ewelina. Ani też nastolatki, chętne do nauki lepienia garnków. Ostatnio koleżanki Juliana przychodziły tu całymi stadami. Naprawdę robiły, co mogły, żeby się do niego zbliżyć. Za drzwiami nie stały jednak pryszczate gimnazjalistki, lecz facet, do którego fanklubu to ja byłam gotowa zapisać się natychmiast. Jeszcze zanim otworzył usta.

- Szukam Eleonory - powiedział niesamowitym radiowym głosem, lekko mrużąc oczy.

Czyżby krótkowidz?

Eleonory...? To imię jakoś z nikim mi się nie kojarzyło. Chyba że z tą Elą, na którą natknęłam się kiedyś u Nory, gdy przyniosłam jej racuchy i zostałam na kawie. To chyba jakaś kuzynka jej męża, jeśli dobrze pamiętam. Diabli wiedzą, może tak naprawdę jest Eleonorą? Ja tam bym na jej miejscu wolała używać pełnej formy.

- Eli tu dzisiaj nie było - odpowiedziałam spokojnie.

- Jak to nie było? A co z dziećmi? Zabrała je ze sobą? Dokąd? - zdenerwował się.

- Tu nie ma żadnej Eleonory - powiedziałam najgłośniej, jak potrafiłam, mając nadzieję, że mój głos dobiegnie do Norki i ostrzeże dziewczyny przed świrem, który nie zamierza odejść.

Co za dzień! Najpierw Ewelina, teraz ten...

- Pan mnie szuka? - Nagle ze środka wyszła Lenka, wyglądająca jak pomocnica rzeźnika.

Całe ręce miała brunatnoczerwone. Białą koszulę nocną, którą nosiła jako fartuch, też. Przecieranie tego brązowego szkliwa na kamionkę zawsze tak się kończy. Wygląda się jak po popełnieniu morderstwa.

- Szukam Eleonory - potwierdził facet.

- Jestem Eleonora. Eleonora Tokarska. - Lenka się uśmiechnęła, wyciągając do niego brunatną dłoń. - A pan?

Brunet w sweterku w paski nie czekał dłużej, tylko po prostu wszedł do środka.

- Cześć, Robert, dowiedziałeś się czegoś nowego? - To był głos Nory.

Wyglądało na to, że w pracowni jest nie jedna Eleonora, a nawet dwie. Eleonora, Leonora, Lenora, Lena. I Eleonora, Nora... Co za przypadek!

- Niesamowite, obie macie na imię Eleonora? - Przystojniak odłożył teczkę i przeciągle wpatrywał się to w Lenkę, to w Norę, to znowu w Lenkę.

- Jesteś Eleonora? Naprawdę? - roześmiała się Lenka, jak na siebie wyjątkowo głośno.

- Ty też? - Nora była wstrząśnięta. - Wydawało mi się, że to imię można zobaczyć tylko na dziewiętnastowiecznych nagrobkach na Powązkach. Nie wiem, skąd moja mama je wytrzasnęła. To znaczy wiem, oczywiście. Ta książka wciąż stoi u rodziców na honorowym miejscu...

- Godzina pąsowej róży } - Lena wciąż się śmiała i kręciła głową. - Nie, nie wierzę! Naprawdę? Twoja mama też uwielbiała tę książkę?

- Mało tego, że uwielbiała. Złożyły sobie z przyjaciółką przysięgę, że jeśli któraś z nich będzie miała córkę, nada jej to przepiękne imię. Przepiękne! Szkoda, że żadna z nich nie była u mnie w szkole podczas odczytywania listy na początku roku szkolnego. Te chichoty, te dziwaczne spojrzenia. Wolałabym być Anią! Dlaczego nie mogłam dostać imienia po głównej bohaterce książki, nastolatce? Musiałam je odziedziczyć po ciotce z obrazu?! Ach, jak miło byłoby być Magdą, Ewą, Agnieszką. Kimkolwiek, byle nie Eleonorą.

- Ja nawet prosiłam moją mamę, żeby zmieniła mi imię. Marzyłam, żeby zostać Kasią - westchnęła Lena. - Nic z tego

nie wyszło, powiedziała, że kiedyś docenię klasyczną Eleonorę.

- Wstyd mówić, że po siostrzyczce woda brudna. - Nora zaczęła nagle nerwowo chichotać. - Pamiętasz tę scenę?

Najwyraźniej wiele je łączyło. Tak wiele, że obie całkiem zapomniały o przystojniaku w sweterku w paski.

Tymczasem on postanowił dyskretnie dać znać, że wciąż jest w pracowni. Zakaszał, rozłożył teczkę na blacie do wyrabiania gliny i wyciągnął jakieś papiery, niemożliwie przy tym szeleszcząc.

- Rozmawiałem z kapitanem, który zajmuje się twoją sprawą - powiedział, pochylając się w stronę Nory. - Niestety, nie znaleźli w pociągu ani w Krakowie żadnych świadków, żadnego punktu zaczepienia. Pocztówkę widziałaś tylko ty. A więc...

- Ciii! - Nora położyła palec na ustach. - Dzieci mogą usłyszeć, są w kuchni. Julek uczy Janka i Jonka robić kisiel. A pozostali asystują.

- Pójdę do nich - zaproponowałam. - Włączę im jakąś muzykę albo coś razem zaśpiewamy. Nie usłyszą ani słowa z waszej rozmowy, obiecuję.

- Pójdę razem z tobą. - Marta się poderwała.

Lenka najwyraźniej walczyła z sobą samą: iść czy nie iść. Dałam jej znak, żeby została. Może dowie się czegoś, dzięki czemu będziemy w stanie pomóc Norze?

Wychodząc z pracowni, usłyszałam jeszcze, jak przystojniak mówi:

- A więc prawdopodobnie nie uda się uznać go za zmarłego wcześniej niż za pięć lat.

Nie trzeba było być Sherlockiem Holmesem, żeby domyślić się, że chodzi o Jacka, który niby umarł - ale ciała wciąż nie znaleziono.

Sherlock zaś przydałby się do rozszyfrowania tego, co wyszłochała w odpowiedzi Nora:

- A ta obrączka? Czy naprawdę policja nie ma żadnego pomysłu, skąd mogła się tu wziąć? Nagle? Już po jego śmierci?

LENA

Strasznie żałowałam, że Gośka poszła do dzieci. Ona na pewno nie bawiłaby się w podchody, tylko zapytała wprost o całą sprawę.

Oczywiście wiedziałam od inspektora Rogali o tej historii z obrączką. I o tym, że policja ma kilka hipotez. Żadna jednak mnie nie przekonywała. Wydawało mi się od samego początku, że właśnie ta obrączka może wskazywać, że wszystko jest inaczej, niż nam się wydaje. Czułam, że jestem blisko rozwiązania, że niemal na nie patrzę, jednak nie umiałam go dostrzec.

- Policja od początku traktuje cię jak podejrzaną i uważa, że coś ukrywasz. Najpierw zaginiona pocztówka, potem cudownie odnaleziona obrączka... - Chłopak w sweterku w prążki najwyraźniej nie zamierzał owijać w bawełnę. Struchlałam w oczekiwaniu, aż przypomni sobie moją twarz, i zacznie przy Norze omawiać mój udział w całej sprawie. Na pewno nie raz mijaliśmy się w komendzie. Ostatnio byłam tam naprawdę częstym gościem. Dokładnie pamiętałam jego biurko, tuż przy przejściu, po lewej stronie.

Cóż, tak właśnie wyglądał konflikt interesów, o którym tyle uczyłam się na studiach. Mój interes jako przyjaciółki Nory był zupełnie inny niż to, na czym powinno zależeć mi zawodowo. Zawodowo powinnam natychmiast odkryć karty przed facetem w blezerku. Prywatnie - wprost przeciwnie, powinnam za wszelką cenę przekonać go, żeby odkrył swoje, bez ujawniania dlaczego chcę to wszystko wiedzieć. Do głowy przyszło mi mnóstwo rozwiązań, lecz żadne z nich nie

nadawało się do zastosowania. No, może poza zaciągnięciem koleżki do łóżka, by tam powiedział mi, co już wie, czego nie wie, a czego się domyśla. O tej sprawie i o wszystkich innych, żeby nie mógł wywnioskować, który fragment tej wiedzy jest dla mnie najcenniejszy. Dlaczego Nora nigdy nie wspomniała przy nas o obrączce? Ani o pocztówce? Czyżby naprawdę coś ukrywała?

- Musisz znaleźć świadków, którzy potwierdzą jego tendencje samobójcze, albo sama zostaniesz uznana za pierwszą podejrzaną - straszył paseczkowiec w półgolfie.

Nora pokiwała głową, niepewnie, jak to ona. Jakby chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

- Zabiłam go z zemsty czy dla zysku? - zapytała po chwili zrezygnowana. - Policja powinna mieć jakąś koncepcję, prawda? Może powiedziałbyś im, że jestem kiepską kandydatką. Nic przecież na jego śmierci nie zyskuję.

Nic, oczywiście. Niewiele brakowało, żebym zakrztusiła się herbatą, słysząc coś takiego.

Ach, gdybym tak wiedziała, czy ona gra, czy naprawdę tak myśli!

„To twoja przyjaciółka, musisz jej ufać” - przypominała jedna strona mojego ja. Pewnie ta prawa, odpowiedzialna za uczucia wyższe.

„Masz wyjaśnić tę sprawę i tyle, to przecież twoja praca” - szeptało drugie ja. Prawdę mówiąc, znacznie cichsze niż to pierwsze.

Musiałam w końcu coś postanowić. Podniosłam się z krzesła z głębokim przekonaniem, że zaraz wyznam, kim jestem, i poproszę o łagodny wymiar kary. Przecież muszę to w końcu zrobić. Wstałam, otworzyłam usta i...

- A czy twoja mama też należała do gazetowego Klubu Pąsowych Różyczek? - zaszcebiotałam w zamian. - Moja do dziś przechowuje poźólką legitymację.

Boże, powinni mnie natychmiast wyrzucić z pracy!!!

Rozdział 18

Kierunek: Francja

MARTA

Jadę do Francji, na całe trzy tygodnie! Już nie mogę się doczekać. Przez dwa lata odmawiałam wszystkich wyjazdów służbowych albo skracalam je, przekładałam - byle tylko nie być dalej niż dziesięć kilometrów od Piotra w czasie owulacji. Do Oslo, jeśli już musiałam, latałam w ostatniej fazie cyklu albo w czasie miesiączki. Teraz już wiem, że to bez znaczenia. Nie mamy szans na spłodzenie dziecka we własnym łóżku, jak zwykli ludzie. Ani w hotelowym łóżku, ani na plaży, ani w żadnym innym miejscu. Nie możemy go spłodzić nawet w klinice. Bo Piotr nie ma ani jednego plemnika zdolnego zapłodnić moje jajeczko. Wyniki biopsji są bezlitosne: nie będziemy mieli dziecka.

- Nasienie dawcy to dla państwa wspaniałe rozwiązanie - tłumaczył cierpliwie jakiś młody lekarz, który przekazał nam wyniki biopsji najądrza. Widać nasz ulubiony doktor Jędras bał się reakcji Piotrka i wolał schować się w innym gabinecie.

- Szanse powodzenia są niemal stuprocentowe, pani przecież jest całkiem zdrowa.

- Nie ma mowy! - rzucił przez zęby mój mąż. ,

- Znajdziemy dawcę o tej samej grupie krwi co pańska, z tym samym kolorem oczu i włosów. - Nie rezygnował lekarz.

- Dziecko będzie wyglądało jak skóra zdjęta z tatusia. Mamy wiele bardzo pozytywnych doświadczeń...

- Nie ma mowy. - Piotr wstał z krzesła i skinął na mnie niecierpliwie. - Dziękujemy, do widzenia.

- Proszę o tym spokojnie porozmawiać w domu. - Lekarz uśmiechnął się ciepło, wyciągając rękę na pożegnanie.

Ja ją uścisnęłam, Piotr nie. Wychodząc, trzasnął drzwiami jak małe wściekłe dziecko.

- To, że zabijesz posłańca, nie zmieni wiadomości, którą ci przyniósł - zauważyłam, wsiadając do samochodu.

Nie odpowiedział.

Od tamtej pory nie zamieniliśmy ani słowa. To znaczy ja próbuję mówić, a on wychodzi. Nie chce, żebym go pocieszała. Żebym przekonywała, że nie winię go za to, że nie możemy mieć dziecka. Żebym mówiła, że kocham go tak samo jak tydzień temu. A przede wszystkim, nie chce słyszeć już ani słowa o nasieniu dawcy. A ja nie potrafię przestać o tym myśleć.

Dlatego propozycję wyjazdu do Francji przyjął z wielką radością i odrobiną ulgi. Dokładnie tego mi teraz potrzeba. Na chwilę skupić się na pracy, od świtu do nocy, jak kiedyś. Być dawną Martą. Oderwać się od myśli o dziecku. Być szefową polskiego oddziału wielkiej międzynarodowej firmy. Pracować nad strategią na następne lata. Wybierać gry, które wprowadzimy na rynek. Negocjować. A potem odpocząć w jakimś pięknym miejscu.

- Program spotkania dyrektorów ze wszystkich stron świata jest prosty - mówiła asystentka prezesa, potwierdzając ze mną wszystkie szczegóły. - Dwa tygodnie ciężkiej pracy, a potem tydzień we wspaniałej winnicy, na kursie sommelierskim. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko próbowaniu win?

Absolutnie nie mam nic przeciwko. Nareszcie mogę pić wino bez wyrzutów sumienia wobec nieistniejącej zygoty. Zygoty nie ma i nigdy nie będzie, mogę spokojnie pić, od świtu do nocy!

NORA

Kiedy usłyszałam, że Marta jedzie do Francji, do jakiejś sławnej winnicy, po prostu musiałam zapytać:

- Spróbujesz znaleźć tego faceta Goški?

Gośki akurat nie było w pracowni. Miała próbę generalną swojej orkiestry przed jakimś ważnym występem. Mogłyśmy więc spiskować za jej plecami.

- Francja jest duża - zauważyła Marta. - Marne szanse, że będę akurat w okolicy, gdzie mieszka ten jej Pierre - Maurice.

- Claude - Olivier! - Roześmiałyśmy się z Lenką równocześnie. Marta zawsze miała kłopoty z zapamiętywaniem imion i nazwisk.

- Mogłabyś podjechać któregoś dnia. - Lena nieoczekiwanie mnie poparła. - Chyba pozwolą ci wyjść z tego kursu na parę godzin?

Marta przez chwilę zastanawiała się nad naszym pomysłem.

- No dobra, założmy, że to naprawdę nie jest bardzo daleko. Ze będę miała wolny poranek. Ze znajdę tę winnicę. I co wtedy? Co mam właściwie zrobić? Wpaść do biura, przystawić Claude'owi - Olivierowi pistolet do głowy i zapytać, kiedy się ożeni z Goską? Tak to sobie wyobrażacie?

Parsknęłam na samą myśl o Marcie wymachującej pistoletem.

- Musimy opracować plan. Gośka jest w tym najlepsza, ale nie możemy prosić jej o pomoc, więc poradzimy sobie same. - Lenka wzięła dużą kartkę, jedną z tych, na których odrysowujemy wzory do naniesienia na glinę, i zaczęła notować: - Punkt pierwszy to zdobycie adresu Claude'a - Oliviera. Nie wiemy nawet, jak on ma na nazwisko.

- Chyba Cloe musi nazywać się tak jak on? - podsunęłam. - Jeśli uznał ją oficjalnie za swoją córkę... ?

- Właśnie, jeśli - westchnęła Marta. - Nie mamy pewności, ale może po prostu zapytamy Goškę? Powinna nam powiedzieć, w końcu nazwisko Cloe to chyba nie jest jakaś intymna sprawa.

- Gośka jest otwarta nawet w tych bardzo intymnych sprawach - zauważyłam, wspominając jej opowieść o tym, jak kochała się z Claude'em - Olivierem na jakiejś skale i nagle usiadła jej na pośladku mewa o zimnych, mokrych łapkach, i wbiła pazurki głęboko w jej skórę. Podobno do dziś ma na pupie bliznę w kształcie ptasiej łapki.

- Otwarta jest. - Pokiwała głową Lenka. - Na pierwszy rzut oka przezroczysta wręcz, wszystko o niej wiadomo. Tylko że to jakoś nie dotyczy tego jej Francuza, zauważyłyście? O nim stara się mówić jak najmniej, odpowiada półsłówkami, zmienia temat.

- A co ma nam powiedzieć? - mruknęła Marta. - Ze ten facet nie zamierza wziąć rozwodu i wodzi ją za nos, tak? Przecież to widać gołym okiem i ona też musi o tym wiedzieć. Nie jest głupia, ma więcej mądrości życiowej niż my trzy razem wzięte, bez urazy. Więc na pewno wie, gdzieś w głębi duszy, że on ją oszukuje.

- W takim razie czemu się na to zgadza? - zdenerwowałam się.

I zaraz pomyślałam o Jacku. Czy ja też czasami nie zgadzałam się na zbyt wiele? Czy nie pozwalałam na pewne sprawy dla świętego spokoju albo po prostu dlatego, że wolałam w coś nie wnikać, czegoś nie wiedzieć? Gdybym była bardziej dociekliwa, może dziś nie paliłabym znicza w kącie pracowni, w tajemnicy przed chłopcami, zamiast nosić go normalnie, na cmentarz, jak każda porządna wdowa? Czy nie zachowywałam się tak nawet teraz, kiedy sama zaczęłam udzielać lekcji, robić urny. Kiedy dotarło do mnie, ile ludzie płacili za rzeczy, które robił Jacek, za lekcje, których udzielał. Nagle zrozumiałam, że faktycznie mieliśmy w garażu skarb. Glinę i jego talent. Jacek pracował często po czternaście godzin na dobę, miał w grupach po piętnaście osób. A jednak co chwilę na coś nam brakowało. Zwłaszcza przez ostatni rok.

Tak, naprawdę powinnam się była zastanowić, gdzie znikają te wszystkie pieniądze. I gdzie znika Jacek... coraz częściej, czasami nawet na dwa dni. Wolałam jednak te rozważania przełożyć na jutro, na pojutrze... Bo czułam, że wnioski, do których dojdę, mogą mi się bardzo nie spodobać. I że będę musiała poważnie porozmawiać z teściową. A na to nie miałam najmniejszej ochoty. Tylko ona mogła mi odpowiedzieć na kilka pytań. Jeżeli w życiu Jacka była inna kobieta, teściowa na pewno o tym wiedziała. Może nawet wspierała go w decyzji o rozpoczęciu nowego życia, z dała ode mnie? Zrobiło mi się zimno na samą myśl o tym, co może to oznaczać.

- Gośka woli być oszukiwana, niż nagle stawić czoła faktom - powiedziała Lenka, trzeźwo i mądrze. - Bo fakty byłyby prawdopodobnie bardzo nieprzyjemne.

Z trudem oderwałam się od myśli o Jacku, jego mamusi i seksownej kochance i wróciłam do sprawy Gośki. Marta mówiła, potrząsając swoimi czarnymi loczkami:

- Więc co, mam odnaleźć tego faceta, nagrać na ukryty dyktafon jego wyznanie, że wcale nie wniósł sprawy rozwodowej i nie zamierza sprowadzić Gośki do pięknej winnicy, a potem puścić jej to, gdy przyjdzie do Norki lepić lampy, które ustawi w swojej francuskiej sypialni? O to nam chodzi, tak? Chcemy, żeby oprzytomniała, nawet jeśli to będzie bolesne?

Spojrzałyśmy na siebie z Lenką niepewnie.

- Byłoby dobrze, gdyby Gośka oprzytomniała, oczywiście że tak. - Lenka skinęła głową.

- Jest jeszcze młoda, mogłaby ułożyć sobie życie z jakimś normalnym facetem - dodałam. - Potencjalnych kandydatów na pewno by nie zabrakło, jednego nawet znam osobiście. Kłopot tylko w tym, że takie oprzytomnienie byłoby cholernie bolesne. Gośka musiałaby pogodzić się z porażką, pomalować

wreszcie mieszkanie i kupić nowe meble, zamiast żyć na kartonach, byle jak, bo i tak się wyprowadza. Pracę pewnie też mogłaby sobie znaleźć normalną...

- Ona chyba lubi to, co robi - zaprotestowała Marta. - Zwariowałyby, siedząc w jakimś biurze po dziesięć godzin dziennie.

- Jak można lubić pracę związaną z nieboszczykami? - Lenka się wzdrygnęła. Po chwili chyba dotarło do niej, co powiedziała, bo mruknęła do mnie: - Przepraszam.

Roześmiałam się.

- Byłam w takiej sytuacji, że nawet kopanie grobów wydawało mi się opcją do przyjęcia, powstrzymywały mnie tylko ograniczenia fizyczne. Naprawdę ta praca spadła mi z nieba. Jestem zachwycona, że mogę zarabiać na życie, siedząc we własnym domu i jednocześnie patrząc, czy moje dzieci odrabiają lekcje. Sprzedałabym duszę diabłu za taką możliwość. Nieważne, co muszę robić. Urny to zajęcie równie dobre jak każde inne. Do tego artystyczne i niepowtarzalne. A z mojego punktu widzenia nawet dużo lepsze.

- Może z punktu widzenia Gośki komputerowa ewidencja pogrzebów, chrztów i bierzmowań też jest najlepszą możliwą pracą? - Lenka ciągle nie była przekonana. - Nawet jeśli czasami system miesza nieboszczyków z nowo narodzonymi w środku długiego weekendu albo akurat wtedy, gdy toczy na kole wazon dla nauczycielki Cloe?

- To co, odpuszczamy sobie nasz plan? - zapytała Marta. - Nie muszę nagrywać tego Jeanne'a Paula?

- Claude'a - Oliviera - Oszusta - poprawiłyśmy ją chórem z Lenką. - No, chyba nie musisz. To byłoby zbyt brutalne. I Gośka mogłaby nas znienawidzić za coś takiego.

- Zabić posłańca, który przynosi złe wiadomości - mruknęła Marta.

No właśnie, mniej więcej tego się obawiałam.

LENA

Która z nich pierwsza powiedziała o tym dyktafonie? Marta czy Nora? Jeśli Nora to... to zaczynam się obawiać, że ona jednak wie, dlaczego do niej przychodzę. To znaczy, dlaczego przyszłam na pierwsze zajęcia. I bawi się ze mną w kotka i myszkę, czekając, kiedy się wsypię.

Ale ja przecież nigdy dyktafonu nie użyłam, nawet wtedy, na pierwszym spotkaniu. Od razu wiedziałam, że nie mogę tego zrobić, gdy tylko ją zobaczyłam. Po prostu miałam go w kieszeni ten jeden raz. To chyba nie jest przestępstwo?

MARTA

Wydawało mi się, że słaba pamięć do nazwisk i imion może najwyżej wpędzić mnie w kłopoty. Już nie raz zdarzały mi się przez tę moją przypadłość idiotyczne wpadki, maile wysłane nie do tej osoby, do której powinny trafić, konieczność przeproszenia... Nie wyobrażałam sobie, jakie korzyści mogłaby mi przynieść. A jednak to właśnie dzięki niej rozgryzłam tego Claude'a - Oliviera - Oszusta. O, proszę, już pamiętam jego imię!

To było trzy dni przed moim wyjazdem do Francji. Lista spraw do załatwienia wydawała się nie mieć końca, biegałam po mieście od świtu do nocy, a zza kierownicy rozmawiałam non stop przez telefon.

- Pamiętasz, że mamy testy tej nowej gry logicznej w międzynarodowej grupie dzieciaków? - przypomniała mi kontrolnie Michalina, moja asystentka.

Oczywiście nie pamiętałam. I oczywiście musiałam wziąć udział w tych testach. W końcu sama zabiegałam w centrali o zgromadzenie w jednym miejscu dzieciaków z dziesięciu różnych obszarów językowych.

- Mam jechać na te testy do Katowic, tak? - upewniłam się.

- Do Poznania - poprawiła mnie Michalina. No więc pojechałam.

- Mi chiamo Marco. - Chłopiec z Mediolanu się uklonił.

- I'm Jessica, hi! - Mała Angielka potrząsnęła rudą grzywką.

- Jancsi vagyok - mruknął chłopczyk.

Chyba z Węgier? Jak ktoś używa tak dziwnego słowa jak „vagyok” to chyba musi być z Węgier.

- Clotilde - przedstawiła się krótko mała Ukrainka.

- Nietypowe imię. - Nie mogłam się powstrzymać od komentarza. - Chyba nie ukraińskie?

- Francuskie - bąknęła śliczna dziewczyna siedząca pod ścianą.

Pewnie niania tej małej. Studentka? Nieźle mówiła po angielsku, naprawdę. Prawie bez tego wschodniego śpiewnego akcentu.

- Moja przyjaciółka też ma córkę Clotilde - powiedziałam, gdy już pochwaliłam jej talent lingwistyczny. - Ojciec dziewczynki jest Francuzem, więc nie jest to nic nadzwyczajnego. W dodatku on ma na imię Pierre - Claude, więc mała dostała imię po nim.

- Moja córka też dostała imię po ojcu. - A więc młodziotka Ukrainka była mamą, a nie nianią... Kiedy zaszła w ciążę? W podstawówce? - Też jest Francuzem. Niezwykły zbieg okoliczności, prawda?

Nie zdążyłam odpowiedzieć nic błyskotliwego. W ogóle nie zdążyłam powiedzieć ani słowa. Do sali bowiem weszła zamaszystym krokiem moderatorka, poprosiła dorosłych, żeby wyszli i obserwowali rozgrywkę przez lustro weneckie, a potem rozłożyła na stole wielką planszę i rzuciła kostką.

Już po pięciu minutach wiedziałam wszystko, czego chciałam się z tych międzynarodowych i kosztownych jak diabli badań dowiedzieć: przy tej grze niepotrzebna była

znajomość angielskiego ani żadnego innego języka, w którym wydrukowano by planszę. Tu obowiązywał uniwersalny język znaków, min i kropek na sześciu ściankach kostki. Właściwie byłam skłonna zgodzić się z prezesem: wydawanie fortuny na badania z udziałem dzieci z różnych obszarów językowych to absolutna strata czasu i pieniędzy. Miałam jednak dość rozumu, by nie wybrać na komórcę jego numeru i nie oświadczyć, że jestem beznadziejna.

A może to wcale nie była kwestia rozumu albo instynktu samozachowawczego? Może po prostu to, co powiedziała młoda Ukrainka, okazało się znacznie bardziej interesujące niż rozmowa telefoniczna ze wściekłym prezesem?

Rozdział 19

Suchy mursz

MARTA

Z początku nic mnie nie tknęło w sprawie tej Ukrainki. Nie mam przecież pamięci do imion, nazwisk czy adresów. Ale kiedy zaczęła opowiadać jakiejś kobiecie siedzącej obok, że jej partner ma winnicę i że ona niedługo tam wyjedzie, po prostu wiedziałam. Wiedziałam, że to nie może być przypadek. I że Gośka ma znacznie większe kłopoty, niż jej się wydaje. „Baba”, czyli żona tego jej Claude'a, walcząca o prawa do winnicy od piętnastu czy dwudziestu lat, może w ogóle nie istnieć. Jest za to śliczna, młoda Ukrainka z dzieckiem. Dzieckiem - byłam przekonana - tego samego Claude'a!

Tylko co ja miałam z tym zrobić? Iść prosto do Gośki i o wszystkim jej opowiedzieć? Przecież w życiu by mi nie uwierzyła! Obraziłaby się, zerwała kontakty. To mógłby być koniec naszego wspólnego lepienia, czwartkowych spotkań, herbatek, wzajemnej pomocy. Nie tylko dla mnie i dla Gośki, ale dla całej naszej czwórki. Nie chciałam tego. Naprawdę. Nigdy nie miałam przyjaciółki od serca, nawet z Anką nie mogłam nigdy porozmawiać tak szczerze jak z dziewczynami z garów. Jesteśmy jak ulepione z jednej gliny, naprawdę. Mimo że całkiem różne. One wiedzą o mnie najgorsze rzeczy i wciąż chcą się ze mną widywać. Może dla kogoś innego to byłoby normalne, ale dla mnie brzmi jak mały cud. Nie jestem gotowa z niego zrezygnować.

Przez chwilę myślałam o innej opcji: mogłabym przecież udawać, że nic się nie stało. Byłam tam służbowo. Jako poważna pani dyrektor testująca grę dla dzieci. Nie musiałam wdawać się w żadne dyskusje. Mogłam udawać, że w ogóle mnie ta historia Klotyldy z za wschodniej granicy nie zainteresowała. Przez moment nawet chciałam tak zrobić.

Obserwowałam obojętnie dzieci, grające w pełnej zgodzie mimo braku wspólnego języka, komentowałam ich zachowania wobec Grzegorza i Marii z naszego działu marketingu, uśmiechałam się grzecznie do siedzących pod ścianą matek. Zagadałam nawet kolejną z nich, odwracając się plecami do tej Ukrainki od Klotyldy. Ale nagle pomyślałam: „Nie! Nie!!! Skoro Gośka jest twoją przyjaciółką, musisz powiedzieć jej prawdę. Przyjaźń to bardzo zobowiązujące słowo. Wiesz coś, co powinna wiedzieć ona, tak? A więc musisz jej to przekazać”.

Znów odwróciłam się do Ukrainki.

- Bardzo bym chciała, żeby pani kogoś poznała - powiedziałam po prostu. Na szczęście, dzięki mojej kiepskiej pamięci do imion, nie spodziewała się niczego złego. Nie podejrzewała, że chodzi o tego samego mężczyznę. - Proszę ze mną pojechać. - Uśmiechnęłam się najpiękniej, jak umiałam.

- Ale mój lot do domu... - usiłowała protestować, nie wiedząc, o co chodzi.

- Zdąży pani. - Machnęłam ręką. - A jeśli nie, wynajmiemy dla pani i Klotyldy pokój w hotelu i zmienimy rezerwację lotu. Proszę się nie martwić. To zresztą nie potrwa długo. Chodzi o sprawę najwyższej wagi.

GOŚKA

Wiedziałam. Po prostu wiedziałam, gdy tylko Marta zadzwoniła z wiadomością, że chce mi kogoś przedstawić. Oczywiście nie miałam pojęcia, że chodzi o Nataszę i jej córeczkę. Nie jestem przecież wróżką! Jednak wiedziałam od razu, że to ma coś wspólnego z Claude'em - Olivierem. I że to odmieni moje życie. Po prostu... po prostu to czułam. Chyba po raz pierwszy w życiu uruchomiła mi się kobieca intuicja! I też po raz pierwszy chciałam stchórzyć. Powiedzieć, że nie mam czasu, nie jestem zainteresowana, że muszę jechać do

parafii, bo znów z ewidencji zniknął cały rocznik chrztów albo pogrzebów. Pogrzeby byłyby nawet lepsze. Ze sprawami ostatecznymi nikt, nawet Marta, nie śmie dyskutować. Mogłam też, zgodnie z prawdą, powiedzieć, że wybieram się na próbę chóru. Nareszcie minęło pół roku od operacji krtani i znów mogę śpiewać gospel. Nasz świecki gospel, chyba jedyny taki w Europie. Z afrykańskim rytmem, energią chóru, który nie stoi jak wmurowany, tylko tańczy i klaszcze, lecz bez całego religijnego kontekstu, co sprawia, że może śpiewać z nami i Dawid, piekielnie uzdolniony Żyd z niebywałym falsetem, i Beata, która rok temu przyniosła tort, żeby uczcić fakt, że dokonała apostazji, i dwie Wietnamki, które rano sprzedają T - shirty w azjatyckim centrum handlu hurtowego w Wólce Kosowskiej, a wieczorem statystują w operze. Od tak dawna czekałam, żeby ich wszystkich spotkać, żeby wtopić się w tę niezwykłą mozaikę losów, osobowości, głosów. Tęskniłam za naszymi ciągnącymi się do nocy próbami. Orkiestra była fajna, jednak to nie to samo co nasz chór. Grałam w niej tylko po to, żeby mieć kontakt z muzyką, gdy nie wolno mi było śpiewać. A teraz wreszcie mogłam tam pojechać! Mogłam powiedzieć, że mam próbę, i faktycznie na nią pojechać, tak po prostu!

Tylko że ja nie znoszę tchórzostwa. I, prawdę mówiąc, byłam naprawdę zaintrygowana. Chciałam się dowiedzieć, co wykryła Marta i jakim sposobem. Powiedziałam więc po prostu:

- Jestem w domu do drugiej. Potem biegnę po Cloe do szkoły. Przychodź, z kim chcesz.

No i przyszła.

W pierwszej chwili myślałam, że coś mi się śni. Ze to niemożliwe. Ta dziewczynka, Clotilde, była tak bardzo podobna do Cloe. Niewiele młodsza, ciut drobniejsza, z odrobinę dłuższymi włosami, ale nie to uderzyło mnie od

progu. Ona wyglądała nie tylko jak Cloe. Ona wyglądała jak Claude - Olivier... Miała jego nos, jego wydęte usta, wysokie czoło i spiczaste uszy. Często się śmiałam, że musi być elfem. Nie wiedział, o co mi chodzi. Elfy rzadko dożywają sześćdziesiątki. Ale ta dziewczynka... ona była cudownym małym elfiátkiem. Niewinnym i trochę zdziwionym spotkaniem ze mną.

- Natasza i Clotilde nie mają zbyt wiele czasu - podkreśliła Marta. - Za chwilę odlatują na Ukrainę.

- A potem do Francji - powiedziała Natasza po angielsku z uroczym, bardzo delikatnym wschodnim akcentem. - Nie możemy się spóźnić, mój partner zaplanował dla nas wspaniały weekend. Chce mi pokazać letni dom, który zamierza kupić dla nas... dla mnie, w prezencie ślubnym.

- Pani partner? - Pociemniało mi w oczach. Ona jeszcze niczego nie rozumiała. Ja już tak.

- Mój partner jest Francuzem. - Zaczerwieniła się, nie wiadomo dlaczego. - Tata Clotilde. Niedługo będziemy małżeństwem. Gdy tylko...

Nie wytrzymałam.

- Gdy tylko rozwiedzie się z tą głupią babą, która próbuje odebrać mu winnicę? Gdy załatwi wszystko w sądzie? Urządzi dla pani i dla córki cudowne gniazdko? Wybrał już meble dla córki? I kupił jej konia?

- Konia? Dlaczego konia? - Natasza wciąż nie dopuszczała do siebie prawdy. - Moja Clotilde kocha psy. Dostanie owczarka...

- Tylko jednego? - Nie mogłam się powstrzymać, kpiłam z niej, choć przecież nic mi nie zrobiła. - Niech pani poprosi o trzy owczarki. Albo pięć. Na pewno się zgodzi. Claude - - Olivier ma wielkie serce!

- Zna go pani? - Idiotka rozpromieniła się, zamiast przerazić. Naiwna, łatwowierna, ukraińska idiotka!

- Jest pani idiotką - wyłożyłam kawę na ławę. - Taką samą jak ja. Dała mu się pani wodzić za nos, całymi latami.

MARTA

Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy. Tego, jak zmieniły się jej oczy, gdy powoli, stopniowo docierało do niej, że Claude - Olivier jest oszustem. I że wcale nie zamierza wziąć rozwodu i się z nią związać. Przez moment żałowałam nawet, że przyprowadziłam do niej tę Ukrainkę. Mogłam to załatwić jakoś delikatniej, w cztery oczy. Przygotować ją na to, co mam do powiedzenia.

Nie, nie mogłam.

Gośka nigdy by mi nie uwierzyła. Przez tyle lat ignorowała wszystkie sygnały. Wierzyła swojemu Francuzowi w każde, choćby najgłupsze kłamstwo. Te wszystkie domy, które z nim oglądała! Zabierał ją na wycieczki w odległe zakątki Francji, byle dalej od jego winnicy i jego żony. I całymi dniami zwiedzali domy na sprzedaż. Za każdym razem zapewniał, że chce kupić coś idealnego na wakacyjne wypady, dla nich dwojga, no i rzecz jasna, dla Cloe. Niestety, każdy dom miał feler. Za mało miejsc parkingowych dla gości. Albo za wąski podjazd, na którym nie da się wykręcić jeepem na jeden raz, bez wrzucania wstecznego.

Jak nasza mądra, przedsiębiorcza Gośka mogła wierzyć w te bzdury... ?

GOŚKA

Gdy Natasza mówiła o domu, który kupuje dla niej ukochany Francuz, natychmiast przypominały mi się te wszystkie domy, które oglądałam z Claude'em - Olivierem. I jego idiotyczne wymówki. Łykałam to wszystko jak głupia gęś! I jeszcze opowiadałam dziewczynom.

„Claude - Olivier nie lubi wrzucać wstecznego!” - Naprawdę tak brzmiało wyjaśnienie, dlaczego nie kupimy cudownego zameczku na zboczu góry. Został skreślony, bo

nie miał na podjeździe klombu, wokół którego można zawrócić z gracją samochodem. „W ścianach czai się suchy murasz”. - To z kolei o domu w Normandii, który oglądaliśmy z agentką o zachodzie słońca. Agentka miała wszelkie ekspertyzy, dowodzące, że mury i więźba dachowa są w idealnym stanie, jak na stuletni budynek, rzecz jasna. Jednak on wiedział swoje. Twierdził, że potrafi rozpoznać suchy murasz na pierwszy rzut oka. Powtarzał mi, że to najgorsze, co może spotkać ściany z elementami drewnianymi. Niby nic się nie dzieje, niby wszystko jest normalnie, a potem nagle, w jeden dzień, ściany zaczynają się sypać i zostajemy bezdomni. Brzmiało okropnie! Przez te wszystkie lata odrzuciliśmy siedem czy osiem bajecznie pięknych domów, właśnie z powodu suchego muraszu. Rzecz jasna, niepotwierdzonego przez żadnego eksperta.

Wymówek było tyle, że mogłabym nimi zapełnić cały brulion. Do najczęstszych należały autostrady, elektrownie, wysypiska śmieci i inne uciążliwe budowy, które lada dzień miały ruszyć w przepięknej okolicy, jaką właśnie oglądaliśmy. Kiedyś Lenka, słysząc w pracowni o tym, że nie kupimy domu, ponieważ tuż obok powstaje autostrada, zaczęła szperać na ten temat w internecie. Aż byłam zła, że jej o tym powiedziałam! Po co sprawdzała to, co Claude - Olivier zweryfikował już tak dokładnie...?

- To obszar chroniony. W bliskim sąsiedztwie Parku Narodowego Vanoise - zauważyła, wpatrując się w swojego smartfona. - Żyją tam koziorożce. Nie ma mowy, żeby ktoś wydał zgodę na poprowadzenie autostrady nie tylko kilometr, ale i dwadzieścia kilometrów od tej wioski, w której stoi dom.

- Myślisz, że Claude - Olivier o tym nie wie?! - wściekłam się. - Sam mi pokazywał te strony internetowe. Mówił, że władze regionu wszystko robią w sekrecie, właśnie w obawie przed lobby zwariowanych ekologów. Ogłoszą tę

budowę w ostatniej chwili, już po wyborach, by sobie nie zaszkodzić...

Wierzyłam we wszystko. Uwielbiałam te wycieczki. Tę krótką chwilę, gdy wydawało mi się, że tym razem naprawdę kupimy dom. Ze zostaniemy prawdziwą rodziną, może nawet zanim rozwód zostanie wreszcie sfinalizowany. Byłam gotowa czekać w naszym wymarzonym domu letnim, razem z Cloe, choćby rok czy dwa na decyzję sądu. Gdybyśmy tylko już mieli miejsce, gdzie mogłabym czekać...

Kochałam te chwile, gdy spotykaliśmy się z agentem nieruchomości. Gdy zwracał się do nas jak do małżeństwa. Gdy mogłam wyobrazić sobie, gdzie postawimy łóżko, gdzie będzie pokój Cloe, a gdzie drugiego dziecka, które urodzę po ślubie... Na kilka minut marzenia stawały się rzeczywistością.

- Obejrzałam z nim siedemnaście domów. - Głos Nataszy sprowadził mnie na ziemię. - To były takie szczęśliwe chwile...

NORA

Bałam się, że Gośka się załamie. Jej wszystkie marzenia wiązały się z tym facetem. Żyła byle jak, mieszkała byle jak, próbując doczekać dnia, kiedy łaskawie pozwoli jej przeprowadzić się do Francji.

Ja pewnie położyłabym się i płakała całymi dniami. Ale ona jest inna. Trudności tylko ją motywują. Całymi dniami siedziała z tą Ukrainką i knuły swój wielki plan. Wieczorami omawiały go z Martą. Dwa razy podrzuciły mi Cloe i Clotilde, by spokojnie popracować. Podejrzewałam, że szykuje się coś dużego. A gdy usłyszałam, że Marta przedłużyła pobyt we Francji i zostaje dodatkowy tydzień całkiem prywatnie, byłam już pewna, że beztrudne dni Claude'a - Oliviera dobiegają końca.

Zazdrościłam Goście tej siły, pozwalającej stawić czoła problemom, zamiast przed nimi uciekać. Ja też powinnam

wreszcie pojechać do teściowej i szczerze z nią porozmawiać. O ile w ogóle można szczerze rozmawiać z tą kobietą. Musiałam jednak spróbować. Coraz bardziej gniotło mnie pewne okropne, niewiarygodne podejrzenie. Podejrzenie, że Jacek wciąż żyje, gdzieś bardzo daleko stąd. I że jest tam tak szczęśliwy, jak nigdy przedtem.

Rozdział 20

Bulion jest dobry na wszystko

MARTA

Z drogi faktycznie widać było tylko winorośl. I gruby mur, za którym krył się budynek. Nie sposób zajrzeć. Claude - Olivier żył w małej twierdzy, z trzema ochroniarzami siedzącymi leniwie przy bramie.

Musiałam zrewidować plany. Na przypadkowe spotkanie nie było co liczyć. Mogłabym czekać cały tydzień, bez skutku. A nawet skończyć w areszcie, zatrzymana za zakłócanie spokoju.

Nie mogłam bez końca tkwić w samochodzie naprzeciwko bramy do winnicy. Włączyłam silnik i ruszyłam do centrum miasteczka. Już po chwili siedziałam nad filiżanką kawy, na urokliwym ryneczku. Nagle przypomniały mi się praktyki studenckie. Bawiliśmy się wtedy w dziennikarzy. Byliśmy kompletnie nieprofesjonalni, a jednak wszyscy lokalni oficjele chętnie się z nami spotykali. I jeden przez drugiego lansowali się w artykułach, które miały nigdy się nie ukazać. Dlaczego nie mogłabym powtórzyć tego numeru teraz?

Szybko zapłaciłam za kawę, przybrałam najbardziej zawodową minę, na jaką było mnie stać, i wmaszerowałam do merostwa, usytuowanego oczywiście przy samym ryneczku. Dumnie powiewająca nad kamienicą francuska flaga nie pozostawiała wątpliwości, że jestem we właściwym miejscu.

Zastanawiałam się przez moment, czy zrobię lepsze wrażenie z moim oksfordzkim angielskim, czy z byk jakim francuskim, wydobywanym z głębin pamięci, z wczesnostudenckich czasów. Ostatecznie zdecydowałam się na mieszankę firmową.

- Bonjour. I am journalist from Poland. I need your help.

LENA

Idę na randkę. Pierwszą randkę od wieków. To znaczy, oczywiście, nie żyłam jak mniszka. Zdecydowanie nie. Do dziś przechodzi mnie dreszcz na myśl o dziecku trzech ojców, które mogłam sprowadzić na świat. A więc owszem, mężczyźni przewinęło się przez ostatnie miesiące sporo. Ale jakoś z żadnym z nich nie byłam na prawdziwej randce. Marcel ratował mi kota, znaczy ratował kota Grackowi. Paweł upijał się ze mną, korzystając z różnicy czasu. Gracek... Gracek w późnej fazie naszego związku był mniej więcej tak czuły i miły jak brzytwa, którą pamiętam z domu pradziadka. Randka z Grackiem? Brr!

Teraz jednak czeka mnie prawdziwa randka! Być może nawet rozbierana?

- Pamiętaj o złotej amerykańskiej zasadzie: seks nie wcześniej niż na trzeciej randce - powtarzała mi Marta z poważną miną, tuż przed swoim wyjazdem do Francji.

Ciekawe, czy ona zawsze stosowała się do tej reguły?

- Inaczej wyjdiesz na łatwą i nie potraktuje cię poważnie.
- Tym razem Gośka stanęła po jej stronie. - Nawet jeśli zamierzasz użyć go tylko jako... no wiesz, jako dawcę nasienia, a nie partnera na resztę życia, i tak musisz poczekać. Możesz mieć kłopot z wywalczeniem w sądzie porządných alimentów, jeśli facet ci udowodni, że go wykorzystywałaś tylko w tym jednym celu. Zresztą to chyba porządny gość, z tego co o nim słyszałam. Może naprawdę ci się spodoba?

Skoro tak, no dobrze, seks na trzeciej randce. Ale może będzie chciał potrzymać mnie za rękę? Na to chyba mogę się zgodzić? Za rękę?! O matko, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?!

- Dzień dobry, chciałam zapisać się do manikiurzystki. - Nerwowo wydzwaniałam do kolejnych gabinetów w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od mojego mieszkania. I wszędzie słyszałam: „Owszem, proszę bardzo. Jutro, pojutrze,

we wtorek, w sobotę o siódmej trzydzieści. Skoro to takie pilne...".

W sobotę o świcie mogę być już po trzeciej przełomowej randce! Pilne nie oznacza w sobotę, tylko dzisiaj, w ciągu godziny! „Niestety, nie mamy miejsc. Niestety, mamy wyjątkowo dużo klientek. Mamy awarię prądu. Bardzo mi przykro, dziś muszę wyjść wcześniej, odebrać dziecko z przedszkola”.

W ostatniej chwili ugryzłam się w język i nie powiedziałam tej uroczej pani, że chętnie też bym odebrała dziecko z przedszkola. Tylko żeby tak się stało, muszę poderwać odpowiedniego kandydata na tatusia. I dotrwać z nim do trzeciej randki. A jak mam tego dokonać z połamanymi paznokciami?

„W takim razie zrobię sobie manikiur sama!” - zdecydowałam.

W końcu w dawnych czasach kobiety same sobie obcinały, piłowały i lakierowały paznokcie. Ja też kiedyś to robiłam, mniej więcej w połowie liceum. Tego się nie zapomina, jak jazdy na rowerze! Na pewno sobie poradzę!

Pomalowałam paznokcie lewej dłoni, nawet całkiem nieźle mi wyszło.

- Najtrudniejsze przede mną - mruknęłam pod nosem. - Kiepsko się maluje lewą ręką, jeśli się nie jest mańkutem.

Postanowiłam poczekać, aż lakier trochę wyschnie. To moja stara sztuczka, właśnie z czasów szkolnych. Jeśli pomaluje się obie ręce naraz, na pewno ktoś zapuka do drzwi, zadzwoni telefon, zacznie kipieć zupa, którą nastawiłyśmy i natychmiast o niej zapomnieliśmy. No i wszystko na nic, nie da się otworzyć drzwi, odebrać telefonu, odstawić rondla z gazu, nie psując żadnego paznokcia. Lakier trzeba zmyć i nałożyć jeszcze raz.

Po kilku takich doświadczeniach wypracowałam metodę idealną: najpierw maluję jedną rękę, a drugą trzymam słuchawkę, kanapkę, klamkę, szczoteczkę do zębów, cokolwiek. Dopiero gdy pierwsza piątka wyschnie, biorę się do obróbki drugiej.

Oczywiście kiedy stosuje się tę metodę, nie dzieje się nic nieprzewidzianego. Nie kipi żadna zupa, żaden listonosz nie dobija się do drzwi. Tak było i tym razem. Nawet telefon milczał jak zaklęty.

Spokojnie więc zabrałam się do pedikiuru. Nim też do tej pory zajmowała się w moim życiu kosmetyczka. Mama zafundowała mi pierwszą wizytę na osiemnastkę, tuż przed maturą. Uznała, że nie mogę paradować w sandałach z piętami jak u słonia. Trudno było nie przyznać jej racji.

Skóra jak u słonia. Tak, na pewno moje pięty pokryte są potwornie grubą warstwą martwego naskórka. Nie byłam przecież u pani Oli od kilku tygodni. Albo nawet miesięcy? Tak, już wiem, ostatnią wizytę przełożyłam z powodu wypadku Dropsa.

Z determinacją sięgnęłam po środek ostateczny: maszynkę z żyletką, ostrą jak... jak ta brzytwa pradziadka, z którą skojarzył mi się Gracjan. Jeden ruch i...

Cholera jasna! Cholera!!!

Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Na podłogę w łazience kapłała krew.

NORA

- Mam prośbę. - Gośka brzmiała w słuchawce jakoś tak blado i słabo. Jak nie ona! - Czy mogłabyś, wyjątkowo, sama dostarczyć urny Markowi? Tak, wiem, obiecywałam, że je dziś od ciebie zabiorę i zawiozę na plebanię. Miałam i tak u niego być, znów sobie wykasował pół kartoteki. Ale nie dam rady. Weź taksówkę na mój koszt. Przepraszam, mam chyba ze czterdzieści stopni.

- Nie mierzyłaś gorączki? - Nie mogłam w to uwierzyć. Czyżby było z nią aż tak źle, że o tym nie pomyślała?

A może nie ma termometru! Eee, niemożliwe! Przecież ona jest istnym MacGyverem w spódnicy, nosi w kieszeniach sto niezbędnych rzeczy, jak zawodowy komandos. Nieprawdopodobne, żeby w domu, w którym jest małe dziecko, nie było termometru!

- Nie mam termometru - przyznała cicho. - Chwilowo nie mam. Rozbiłam, wkładając go pod pachę. Trochę się trzęsłam, chyba z zimna...

- Zaraz u ciebie będę - oświadczyłam i odłożyłam słuchawkę, zanim zdążyła zaprotestować.

Tym razem to ona potrzebuje pomocy. Jest chora i pewnie wreszcie pozwoliła sobie na łzy. Całymi dniami oplakuje tego oszusta, Claude'a - Oliviera. Stanę na wysokości zadania! Zadbam o to, żeby niczego jej nie brakowało. Tylko co to właściwie znaczy?

Tkwiłam bezradnie na środku kuchni i żałowałam, że... nie ma ze mną Gośki! Ona na pewno by wiedziała, czego potrzebuje chora osoba. Muszę spróbować myśleć jak ona.

- Termometr - mruknęłam do siebie. - Rozbiła, nie ma, więc jej zawiozę.

Na szczęście ja mam w domu z dziesięć albo i z piętnaście termometrów. Od narodzin Julka, a właściwie od dnia, kiedy powiedziałam rodzinie i znajomym o swojej pierwszej ciąży, co chwilę ktoś przynosił mi termometr. Specjalny do mierzenia temperatury wody w wanience. Taki, który wkłada się do ucha dziecka. Do buzi dziecka. Do pupy dziecka. I paskowy, który przykłada się do czoła. Kobietom bezdzietnym przynosi się kwiaty albo butelkę wina. Młodym matkom - termometry.

Dziwne, że Gośka nie miała ich w domu kilkunastu. Przecież też była kiedyś młodą matką. Właściwie cały czas jest. Cloe wciąż jest przecież mała!

A więc termometr. I jakieś owoce. Chorym zawsze zanoszą się owoce. Co jeszcze?

Zadzwoiłam do Lenki. Odebrała dopiero po ośmiu dzwonekach.

- Bulion. Gorący - podsunęła, dziwnie słabym głosem. Słowo daję, brzmiała jeszcze gorzej niż Gośka. Czyżby jakaś epidemia?

- Dobrze się czujesz? - upewniłam się.

- Świetnie. Znakomicie - przytaknęła, stanowczo za szybko. - A wracając do bulionu, pamiętasz, w starych książkach i filmach zawsze podawali go na wzmocnienie. W Godzinie pąsowej róży, w Przemięło z wiatrem.

- Kiedy podawali bulion w Godzinie pąsowej róży} - zainteresowałam się.

Ona jednak przywołała mnie do porządku:

- Jedź do niej z termometrem i owocami. Ja zadzwonię do mamy, pewnie ma zamrożony rosół. Czy, jak ona to nazywa: smak na zupę. Zawsze ma takie rzeczy w lodówce. Skoczę zaraz do niej, wezmę dwa albo trzy słoiki i dojadę do Gośki.

- Przecież masz randkę? - przypomniałam sobie w ostatniej chwili.

- Zdążę. Do randki jeszcze mnóstwo czasu - zapewniła mnie. - Przyjadę, naprawdę. Najwyżej dam ci ten bulion pod jej blokiem. Zatomuję krew i przyjadę.

- Jaką krew?!

- Nieważne, potem ci opowiem. Tylko podaj mi adres. Nie miałam adresu! Żadna z nas nie miała! Dopiero teraz

to do mnie dotarło. U Lenki wszystkie byłyśmy już wiele razy, czasami nawet bez zapowiedzi. Marta zapraszała trzy tygodnie naprzód, zgodnie z zasadami savoir - vivre'u.

Czasami nawet na piśmie, na różowych karteczkach starannie kaligrafowanych jej krągłym pismem. U mnie dziewczyny spotykały się co kilka dni, na zajęciach. Ale u Gośki...?

Szybko wybrałam jej numer. I usłyszałam, że połączenie nie może być zrealizowane. I jeszcze raz. I znowu.

Pewnie coś źle nacisnęła, rozłączając się ze mną.

Zadzwoiłam znowu do Lenki.

- Marta u niej kiedyś była! - przypomniała. I zaraz uświadomiłyśmy sobie, że nic nam z tego nie przyjdzie. Przecież Marta nieustannie myli nazwiska i adresy.

- Byłam u niej, faktycznie - powiedziała mi szeptem, gdy udało mi się do niej dodzwonić. - To chyba było gdzieś na Ochocie? Kolo Blue City? A może na Żoliborzu, koło Arkadii? Na pewno w pobliżu jest jakieś centrum handlowe. Tylko które...?

- Galeria Mokotów? - podsunęłam.

- O, właśnie tak! - ucieszyła się Marta. - Nie. Jednak nie. Na Mokotowie mieszkam ja, nie ona. Nie jesteśmy przecież sąsiadkami... Słuchaj, muszę kończyć, historia z Claude'em - Olivierem nabiera rumieńców... Nie uwierzycie, jak wam opowiem po powrocie do Polski, co tu odkryłam!

- Centrum Handlowe Targówek? - Znow zadzwoniłam do Lenki, a ona od razu przeniosła nasze rozważania na drugą stronę Wisły. - Cholera, jakie są jeszcze duże sklepy?

- Poczekaj, mam pewien pomysł. Oddzwonię za dwie minuty - rzuciłam.

Była jeszcze jedna osoba, która mogła wiedzieć, gdzie mieszka Gośka.

LENA

„Pewnie wda mi się zakażenie i umrę w męczarniach, a facet okaże się dupkiem, niegodnym takiego poświęcenia” - rozmyślałam ponuro, kuśtykając w stronę kawiarni.

Najchętniej wróciłabym do domu i dała sobie spokój z tą całą randką. Odebranie zupy od mamy i dostarczenie jej Norze już dostatecznie mnie wyczerpało. Chciałam się wycofać, ale przecież obiecałam Goście... A ona obiecała swojej sąsiadce, że znajdzie jakąś miłą, delikatną dziewczynę dla jej siostrzeńca.

Nie czułam się ani miła, ani delikatna. Pięta bolała jak diabli. Z rozkoszą zrobiłabym komuś awanturę. Najwyraźniej zaczynał mi się PMS. Wiedziałam jednak, że Gośka i Nora czekają na mój telefon. Ze mają nadzieję, że ten facet naprawdę mi się spodoba. Nawet Marta we Francji trzymała za mnie kciuki.

Złapałam za klamkę i... znów zrobiło mi się ciemno przed oczami. Tym razem nie z bólu, lecz ze złości. Pomalowałam paznokcie lewej ręki. Wyglądały idealnie. Niestety, o prawej zapomniałam całkowicie! Nora też najwyraźniej niczego nie zauważyła, gdy podawałam jej na parkingu zupę. A u mamy w drzwiach w ogóle nie zdejmowałam rękawiczek.

Hmm, może i teraz mogłabym ich nie zdejmować?

Wyjdę na rąbniętą ekscentryczkę i w dodatku inwalidkę! Wszystko jedno, czy uprę się, żeby siedzieć przy kawiarnianym stoliku w rękawiczkach, czy zdejmę je i pokażę paznokcie. Wyjdę na wariatkę, i już.

No, ale chyba nie mam wyjścia? W pobliżu nie widać żadnego sklepu kosmetycznego czy choćby kiosku, gdzie mogłabym kupić zmywacz do paznokci. Zwłaszcza że dla kogoś z pociętą piętą „w pobliżu” oznaczało nie więcej niż piętnaście kroków.

Noga zabolą ostrzegawczo. Uznałam, że bezpieczniej będzie usiąść przy stoliku jako nieprzewidywalna wariatka, niż zemdleć na ulicy po to, by zrobić doskonałe wrażenie na jakimś nieudaczniku, który musi szukać żony za pośrednictwem swojej ciotki i jej sąsiadki.

Najbardziej naturalnym krokiem, na jaki było mnie stać, wmaszerowałam do kawiarni.

- Już jesteś? - Jakiś chłopak, na oko siedemnastoletni, poderwał się z fotela. - Lena, prawda? Dużo o tobie słyszałem od cioci, której sąsiadka podobno jest twoją przyjaciółką. Ciocia wie, że lubię kobiety dojrzałe, starsze panie... To znaczy, przepraszam, o rany, naprawdę cię przepraszam, nie to miałem na myśli... Po prostu, no wiesz, moje rówieśnice są takie nudne.

Stąpnęłam na krwawiącej pięcie jeszcze raz, naprawdę z najwyższym trudem.

- Przykro mi, najwyraźniej pan mnie z kimś myli - oznajmiłam wyniośle.

A potem usiadłam przy stoliku pod oknem i odegrałam scenę godną Oscara: telefon do przyjaciela, który się spóźnia.

Nerwowe słuchanie jego wymówek. I wreszcie dramatyczny okrzyk: „No trudno, w takim razie dopijam herbatę i jadę do domu, Kaziu! Czekaj na mnie!”.

Nie mam pojęcia, skąd przyszedł mi do głowy Kazio.

Grunt, że dopiłam herbatę i pojechałam do domu. Choć nie było to łatwe.

W domu, rzecz jasna, nie czekał na mnie żaden Kazimierz. Mogłam zrobić okład na piętę i spokojnie się położyć. Nigdy więcej randek w ciemno! Nawet aranżowanych!

Gdyby nie moja stopa i czterdziestostopniowa gorączka Gośki, słowo daję, że pojechałabym rozszarpać ją gołymi rękoma za tego licealistę! Jak mogła nie zapytać sąsiadki o wiek kandydata do mojej ręki?

NORA

- Zobacz, jak pięknie wyszło to nowe żółte szkliwo!

Stałam w progu, zasłonięta całkowicie drewnianą skrzynką, z której wystawało wszystko, co zdołałam wyjąć z pieca. Na samym wierzchu leżała żonkilowa urna, jeszcze

ciepła. Właściwie w ogóle nie powinnam jej wyciągać z pieca w takiej temperaturze, lecz nie chciałam już czekać. Nie lubię jeździć do Karola po urny w środku nocy, a ostatnio zdarza mi się to coraz częściej. Obok urny stał słoik z rosółem od mamy Lenki.

- Jaka śliczna! - zachwyciła się Gośka. - Tylko czy zmieści się w niej grubawy nieboszczyk?

Drzwi mieszkania obok uchyliły się, skrzypiąc przeciągle. No jasne, nie powinnyśmy prowadzić takich dialogów na klatce schodowej.

- Dzień dobry, pani Nowicka. - Gośka pomachała do sąsiadki pokrywką od urny. - Jak się czuje piesek? Już lepiej?

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

- Za godzinę cały blok będzie wiedział, że trzymam w domu zwłoki jakiegoś grubasa - prychnęła i otuliła się ciaśniej szlafrokiem. - Wchodź, wchodź.

Weszłam więc. Chociaż, prawdę mówiąc, nie bardzo było dokąd. Mieszkanie Gośki miało wielkość mojej kuchni. No, może kuchni i przedpokoju. Było miniaturowe. I nieprawdopodobnie wręcz zagracone.

Wyobrażałam sobie zawsze... Nie, właściwie nic sobie nie wyobrażałam. Nie zastanawiałam się, jak ona mieszka. Chyba po prostu przyjąłam za pewnik, że ma jakieś superfunkcjonalne mieszkanko, z mnóstwem półek, schowków, praktycznych rozwiązań, które sama wymyśliła. W końcu potrafiła usprawnić życie każdemu w swoim otoczeniu. Jej mieszkanie musiało więc być idealnie zaprojektowane, w najdrobniejszych szczegółach. Musiało, ale nie było.

Nie mogłam uwierzyć, że Gośka mieszka w czymś takim. Sterty paczek, gazety piętrzące się na parapecie, nieumyte okno... Mistrzyni organizacji okazała się zwyczajną fleją!

Byłam wstrząśnięta.

- Sorry, przez tę chorobę nie posprzątałam na twoje przyjście - wykrztusiła, najwyraźniej zauważywszy mój wzrok.

Musiałyby chyba chorować od dziesięciu lat, żeby doprowadzić dom do takiego stanu! Wiedziałam już, dlaczego Marta wołała nam nie opowiadać za wiele o mieszkaniu Goški. Nasza pedantyczna, elegancka Marta z pewnością przeżyła szok.

Próbowałam być taktowna i nie rozglądać się po pokoju zawalonym papierami i otwartymi kartonami, z których wystawały jakieś ciuchy, deski, kawałki folii i książki. Nie ośmieliłam się też zapytać, co to właściwie znaczy. Próbowałam udawać, że wszystko jest w porządku. Chociaż „porządek” nie był tutaj dobrym słowem.

- Mam dla ciebie supę od Lenki - powiedziałam najswobodniej, jak potrafiłam. - Nie ma lepszego sposobu na przeziębienie niż gorący bulion.

- Dzięki. - Goška uśmiechnęła się słabo. - Przepraszam, że przyjmuję cię wśród tych paczek. Wiesz, ja po prostu wciąż nie mogę się zdecydować, czy rozpakować wszystko i wreszcie urządzić sobie tu z Cloe wygodne gniazdko, bez wizji przeprowadzki, czy raczej spakować i wynieść się raz na zawsze.

- Do Francji? - zapytałam przerażona.

Może ona jednak wypiera fakty? Czyżby nie słyszała wszystkiego, co opowiadała nam przez telefon, na razie niedokładnie i w dużym skrócie, Marta? Wciąż czekałyśmy na pełną relację po jej powrocie. Lecz to, czego już się dowiedziałyśmy, wystarczało w zupełności, żeby odrzec Goškę ze złudzeń. Ta historia o pięknej młodej żonie Claude'a - Oliviera, dwuletnim synku, dziedzicu fortuny, i całkowitej sielance panującej w winnicy... Tam naprawdę nikt nie szykował się do rozwodu!

- Z Francją skończyłam raz na zawsze - uspokoiła mnie Gośka, próbując wyglądać dzielnie i beztrosko. - Myślę o kupieniu większego mieszkania. Cloe tak marzy o własnym zwierzątku. Oczywiście nie będzie to koń. - Wybuchnęła śmiechem na samą myśl o koniu parkującym w ciasnym przedpokoju. A ja, rzecz jasna, razem z nią.

Ona potrafi się śmiać nawet wtedy, gdy jest najsmutniej. Naprawdę jej tego zazdroszczę.

Rozdział 21

Rozbuchane ego

MARIA

- Umówiłem nas na spotkanie w ośrodku adopcyjnym - oświadczył dziś o świcie Piotr, przełamując milczenie.

Po tygodniu! Po tygodniu od mojego powrotu z Francji. I po całej tej złowrogiej ciszy podczas mojej nieobecności. Nie odbierał telefonów, a dzwoniłam, żeby opowiedzieć mu o konferencji, o kursie sommelierskim i o zwiedzaniu winnicy Claude'a - Oliviera w przebraniu słodkiej jak miód dziennikarki. Nie wyszedł po mnie na lotnisko w dniu powrotu. A potem, przez całutki tydzień, nie odzywał się ani słowem przy śniadaniu czy kolacji. Był bardzo obrażony, że nie chcę uznać tematu dziecka za zamknięty. Aż do dzisiaj.

- Już prawie zapomniałam, jak brzmi twój głos. - Uśmiechnęłam się smutno. Po czym dotarło do mnie, co ten głos powiedział. - Ośrodek adopcyjny?! Naprawdę chcesz... - Nie mogłam uwierzyć. - Pójdiesz tam? Z własnej woli?

- Pójdę - przytaknął. - Dla ciebie. Tylko mam prośbę: nie mówmy o tym więcej niż to konieczne. Nie zamierzam wałkować tego tematu od rana do nocy. Zgoda?

Jasne, że zgoda. Zgodziłabym się na wszystko, byle tylko tam pójść. Sprzedałabym duszę diabłu...

W efekcie dziś w pracy zajmowałam się pracą może przez godzinę. Nie, tak naprawdę to było nie więcej niż czterdzieści pięć minut. Sama nie mogę w to uwierzyć! Gdybym przyłapała pracownika na takim skandalicznym zachowaniu, zwolniłabym go natychmiast!

Oczywiście nie działo się nic pilnego. Sprawy właściwie same się załatwiały. Albo przesuwaly na jutro. Bo ktoś czegoś nie przyniósł, nie dostał, nie podpisał, nie podjął decyzji. Normalnie bardzo by mnie to wkurzyło. Tak bardzo, że rozpętałabym piekło. Może nawet poleciałaby czyjaś głowa.

Nie poleciała. Nie tym razem. Pracuję w tej firmie od siedmiu lat. Z moich nadgodzin dałoby się bez wysiłku złożyć kolejne dwa albo trzy lata. Praktycznie mieszkam w biurze. W domu zresztą też mam biuro. Śpię z komórką i tabletem pod ręką. Z dokumentami na szafce nocnej. Udowodniłam już swoje zaangażowanie i lojalność, tak? Jasne, że tak. W takim razie nie ma żadnych przeszkód, żebym przez jeden dzień porobiła to, co pracownicy na wszystkich szczeblach robią przez całe życie. Czyli solidnie się poobijała.

Miałam przecież bardzo ważne powody. Byliśmy umówieni na osiemnastą w ośrodku adopcyjnym. Musiałam przygotować się do spotkania.

Przeszukałam internet wzdłuż i wszerz, żeby zorientować się, jak wygląda taka pierwsza rozmowa. Nie miałam pojęcia, że tyle osób stara się o adopcję. Tak, słyszałam o Angelinie Jolie i Madonnie, i tej aktorce, która grała Ally McBeal. Chodzi mi o zwykłych ludzi. Tutaj, w Polsce.

W internecie można znaleźć tysiące stron na każdy temat związany z adopcją. Są oceny ośrodków adopcyjnych, grupy wsparcia dla tych, którzy czekają na adopcję, i dla tych, którzy już adoptowali. Przeczytałam mnóstwo relacji dziewczyn z pierwszych spotkań w ośrodkach (Swoją drogą to ciekawe, czemu o adopcji dyskutują prawie wyłącznie kobiety? Zupełnie jakby ich mężowie nie mieli z tym nic wspólnego!). Wypisałam na kartce papieru, jakie pytania padają najczęściej i jakie odpowiedzi są uznawane za właściwe.

Okazuje się, że mogliby nam nie dać dziecka tylko dlatego, że nie przestaliśmy się leczyć. Co za bzdura! Podobno psychologowie uważają, że trzeba pożegnać się ze staraniami o biologiczne dziecko, zanim się człowiek zabierze do adopcji. A co ma piernik do wiatraka? A może ja chcę mieć dużą rodzinę? Jak Angelina właśnie? Kilkoro dzieci urodzę sama,

jedno przywiozę z Ugandy, jedno z Chin. I co? W Stanach mogę, a w Polsce nie?

No dobra, nie to nie, nie zamierzam się kłócić. Oczywiście gdyby się okazało, że można jakoś zmusić organizm Piotrka do wyprodukowania choćby jednego porządnego, zdrowego plemnika, poruszę niebo i ziemię, żeby tak się stało. Choćbym miała osobiście przywiązać go do stołu operacyjnego i podać znieczulenie. Popędziłabym też do kliniki jak na skrzydłach, gdyby tylko Piotrek zmienił zdanie w sprawie nasienia dawcy. Lecz nie zmienił. A ja nie muszę się do tego przyznawać w ośrodku, prawda?

- Pamiętaj, że już się nie leczymy - klarowałam Piotrowi w samochodzie.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Jak mógłbym zapomnieć? Lekarz przecież powiedział wyraźnie, że nie ma żadnej szansy...

- Nie chodzi o szansę, chodzi o nasze nastawienie! - On naprawdę nic nie rozumiał, nie umiał się wczuć w oczekiwania ludzi z ośrodka adopcyjnego! - Nie leczymy się, nie myślimy o tym, całe nasze emocje, nadzieje, wysiłki skierowane są na adopcję. Powtórz, znaczy... powiedz własnymi słowami. Tak, żeby brzmiało naturalnie.

Popukał się w głowę.

- Jesteśmy normalną, fajną parą. Nie musimy nic wymyślać i uzgadniać, by dali nam dziecko.

A ja, głupia, mu uwierzyłam!

LENA

Usiadłam przy kuchennym stole nad aktami Nory. Wiedziałam, że sprawa zbliża się do końca. Ze niedługo zadzwoni TEN telefon. Musiałam wszystko przeanalizować jeszcze raz. Przejrzeć zeznania świadków. Świadków, których nie było. Bo przecież nikt nie widział Jacka w pociągu do Krakowa ani przy skrzynce pocztowej na Rynku. A

pocztówka, którą rzekomo dostała Nora, zniknęła ze stołu w jej pracowni.

Sięgnęłam po zapis pierwszej rozmowy policjantów z Norą. Nie zdążyłam jednak przeczytać ani jednego zdania, bo ktoś zadzwonił do drzwi.

Nie do wiary! Na schodach stała moja teściowa. Była teściowa. Matka Pawła. Ciekawe, czemu w czasie, kiedy byłam jego prawowitą żoną, ani razu nie raczyła nas odwiedzić? Ani zadzwonić? Ani nawet przyjść na ślub? A teraz nagle, niezapowiedziana, staje w moich drzwiach?

- Przyszłam podzielić się opłatkiem - oświadczyła z kamienną twarzą.

- Opłatkiem? - Miałam wrażenie, że coś źle zrozumiałam.

- Opłatkiem. - Wyjęła ciekawą paczuszkę z torby, chyba myśląc, że nie znam słowa opłatek. - Wiem, że nie jesteś zbyt religijna, lecz chyba mogłabyś, raz do roku, z okazji świąt... Opłatek to symbol znany także ateistom. Nigdy go nie używałaś?

- Używałam - przytaknęłam odruchowo. - To znaczy... nie, chyba nie używałam. Ja go po prostu jadłam. W towarzystwie innych osób, które robiły to samo.

- Bogu dzięki, wiesz, co to jest opłatek! - Hura! matka Pawła potrafi się uśmiechać! Kto by przypuszczał?

- Ale jeśli się nie mylę, święta były już ponad miesiąc temu - odważyłam się zaprotestować. - Jakiś spóźniony ten gest.

- Spędzałam Boże Narodzenie w Ameryce, z moim synem, a twoim mężem - wyjaśniła.

- Byłam mężem - poprawiłam ją szybko.

- Dla Boga ciągle pozostajecie małżeństwem.

Ach, więc o to jej chodziło! Przyszła wybadać, czy zgodzę się na kościelne unieważnienie ślubu. Najpewniej z powodu mojej choroby psychicznej. Ona niewątpliwie znajdzie

niepodważalne dowody, że jestem wariatką, która umiejętnie zataiła swoją przypadłość i podstępnie zaciągnęła jej synka do ołtarza. Biskup, czy kto tam daje te rozwody, może się na to nabrać.

Siedziałam cicho. Nie zamierzałam ułatwiać jej zadania. Musiała przecież odkryć karty. No i odkryła.

- Wiesz, że Paweł ma problem z alkoholem - powiedziała w końcu.

Problem z alkoholem? Cóż za eufemizm! Paweł jest alkoholikiem! Co najmniej od sześciu lat!

- Miło, że wreszcie to zauważyłaś, Ewuniu - syknęłam. Słowo „mamo” nigdy nie chciało mi przejść przez gardło, nawet w najszcześniejszych dniach mojego małżeństwa. Ona zresztą nie ułatwiała mi sytuacji, nie zrobiła ani jednego zachęcającego gestu, nie próbowała się do mnie zbliżyć, spotkać na kawę... aż do dziś.

- Co masz na myśli? - zmieniła ton. Był teraz zimny jak lód. Prawie bałam się o los moich kwiatków, stojących na parapecie. Są raczej ciepłolubne...

- Byłam u ciebie pięć lat temu w tej sprawie - przypomniałam jej. - Chciałam, byś mnie wsparła, namówiła Pawła na leczenie. Wyśmiałaś mnie. Powiedziałaś, że każdy ma prawo wypić szklaneczkę whisky po pracy. Albo w pracy.

- Przecież tak jest! - Teściowa, była teściowa, podniosła głos niemal do pisku. - Spotkania z klientami, z prezesami, negocjacje, ogromne pieniądze! To musi się odbywać przy alkoholu!

- Tak się składa, że też prowadzę negocjacje, spotykam klientów i prezesów i mam do czynienia z pieniędzmi. - Próbowałam zachować spokój, naprawdę! - Śmiem przypuszczać, że obecnie są to pieniądze znacznie większe niż te, którymi kiedykolwiek zajmował się Pawełek. I jakoś nigdy nie wypiałam w pracy ani kieliszka.

- Jesteś kobietą! - Teściowa rzuciła mi to słowo w twarz jak największą obelgę.

Kobieta nie pije, czyli ma klasę. Mężczyzna nie pije, czyli jest frajerem. Ot, prosty i logiczny sposób rozumowania mojej teściowej.

Nie wiedziałam, do czego ona zmierza. Odkryła nagle Amerykę, zauważyła, że jej synek pije. I co? Co ja mam z tym wspólnego?!

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytałam najspokojniej, jak umiałam. - Rozstałam się z Pawłem dawno temu. A właściwie to on rozstał się ze mną.

- Nie był wtedy sobą - oświadczyła. - Dopiero teraz zrozumiałam, że tkwił w szponach nałogu od wielu lat. To się zaczęło jeszcze na studiach. Pamiętam taki dzień, chyba na początku maja, było już ciepło, ale jeszcze nie upalnie...

Nie, nie, nie! Mam za sobą ciężki dzień. A przed sobą kolejną randkę w ciemno. Z facetem, którego wytypował dla mnie amerykański system komputerowego doboru partnerów. Skoro nie mogłam zaufać w tej kwestii ani sobie samej, ani moim przyjaciółkom i krewnym, podsuwającym mi co chwilę „idealnych kandydatów”, to może faktycznie dobór komputerowy okaże się strzałem w dziesiątkę? Jeśli tylko zdążę się przebrać i umalować.

- Ewo, posłuchaj... - Musiałam to przerwać jak najszybciej. - Trochę się śpieszę. Powiedz wprost, w jakiej sprawie do mnie przysłaś.

- W sprawie Pawła, chyba to oczywiste! - Znów ten okropny pisk. - On cię potrzebuje! Namawiam go, żeby wystąpił do sądu o unieważnienie rozwodu. Udowodnimy, że był niepoczytalny, składając pozew. Mam już prawnika, który się tego podejmie. I wielką nadzieję, że zechcesz współpracować. Tyle was łączyło. Moglibyście mieć piękne dzieci, pomyśl o tym!

Myślałam, naprawdę. Wredny babsztyl nie miał pojęcia, jak często i intensywnie myślałam w ostatnich tygodniach o tych dzieciach...

- Tylko ty jedna możesz go wyciągnąć z nałogu. On pije dzień i noc, już nawet nie chodzi do pracy. - Teściowa po raz pierwszy w życiu patrzyła na mnie w ten sposób. Czułam, że zaraz padnie magiczne słowo „błagam”.

- Nie ma mowy. - Wstałam z krzesła i ruszyłam w stronę drzwi, mając nadzieję, że ona zrozumie, że czas kończyć tę wizytę. - Poświęciłam Pawłowi trzy lata. Przynajmniej o dwa za dużo. Z twojej strony nie dostałam wsparcia ani razu. Nawet wtedy, gdy pozbawił mnie firmy, na którą tak ciężko pracowałam. Narobił długów, obraził kontrahentów. Nie stanęłaś wtedy po mojej stronie. Przeciwnie, pomogłaś mi wszystko załatwić tak, bym zorientowała się jak najpóźniej. A gdy mówiłam, że pije za dużo, demonstracyjnie dolewałaś mu burbona.

- Pójdę do sądu! Udowodnię, że ciągle jesteś jego żoną! - Już się nie hamowała. Wrzeszczała tak, że aż szklanki zadrżały w kuchennej szafce. - Będiesz musiała się nim zająć, czy tego chcesz, czy nie! Albo przynajmniej płacić na niego alimenty! Do końca życia!

- Sąd orzekł rozwód z jego winy. Alimenty mu nie przysługują - wytknęłam jej z uśmiechem. To akurat dokładnie sprawdziłam w Kodeksie rodzinnym jeszcze przed pierwszą sprawą rozwodową. A potem wzięłam głęboki oddech i poszłam na całość: - A co do ślubu, to przykro mi, ale mam już innego męża. I spodziewam się dziecka. Żaden sąd nie wyrazi raczej zgody na bigamię.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu?! - Teściowa poderwała się z miejsca.

- Bo nie pytałaś - szepnęłam do drzwi zatrzasnkujących się przed moim nosem.

MARTA

Kobieta w ośrodku adopcyjnym nie okazała się oschłym potworem, którego sobie wyobraziłam. Nie nosiła siwego koka upiętego misternie na czubku głowy, nie patrzyła na nas zza grubych szkieł i nie stukała w biurko ołówkiem.

- Mam na imię Ika - powiedziała po prostu, wyciągając rękę.

A ja, zamiast się przedstawić, musiałam oczywiście wyrwać się ze swoim głupim pytaniem.

- Ika? To chyba skrót?

- Skrót - potwierdziła. - Od Monika. Nie znoszę tego imienia.

- Bardzo dobre, porządne, neutralne imię. - Nie umiałam się zamknąć! To było silniejsze ode mnie! - Moim zdaniem u osoby pracującej w poważnej instytucji brzmi znacznie lepiej niż Ika, nieco dziecinna i źle brzmiąca w celowniku i wołaczu.

Piotrek wsadził mi łokieć między zębra. Oprzytomniałam. - Przepraszam, to chyba skaza zawodowa. W kółko muszę wymyślać imiona dla bohaterów gier planszowych i komputerowych. Decydować, czy zostawiamy imię w oryginalnej wersji, czy spolszczamy, czy wybieramy nowe. Prowadzę niekończące się dyskusje o imionach z moim zespołem. Czasami najwyraźniej nie potrafię wyjść z roli „szefowej od imion”, nawet jeśli wyjdę z biura.

- To bardzo ciekawe. - Ika - Monika się uśmiechnęła.

I szybko się okazało, że wcale nie powiedziała tego z grzeczności. Ona naprawdę była miłośniczką gier i miała do mnie milion pytań. O to, kiedy pojawi się trzecia część Liści? I czy w ogóle znam tę grę? Dlaczego polska edycja Ula ma inny kolor niż niemiecka? Czy zastanawialiśmy się nad znaczeniem imion japońskich w Kyoto 028 i czy nie lepiej byłoby je jednak przetłumaczyć? I czy kostka elektroniczna nie zabija idei gier planszowych?

Piotrek przeglądał jakąś gazetę, która leżała na stoliku, a my gadałyśmy... Zupełnie jakby ta dziewczyna była moją koleżanką z branży.

Kiedy jednak doszliśmy do imienia noworodka w zeszłorocznej norweskiej grze Fiordy, nagle przypomniała sobie, po co przyszliśmy do jej biura.

- A państwo chcecie zostać rodziną adopcyjną, prawda? - zapytała.

Pokiwaliśmy głowami. Piotrek odłożył gazetę na stół.

- W takim razie muszę zapytać państwa o kilka spraw formalnych. Imiona, nazwiska, data ślubu. - Nagle jej głos stał się oficjalny i o ton wyższy. Wzięła do ręki jakąś kartkę podzieloną na chude rubryczki.

Przebrnęliśmy dzielnie przez wszystkie dane osobowe, wykształcenie, pracę, zarobki. Kryzys nastąpił dopiero przy pytaniu o to, dlaczego chcemy adoptować dziecko. Wzięłam głęboki oddech, żeby jednym tchem opowiedzieć o wszystkich moich marzeniach, planach, o tym, co wydarzyło się do tej pory... A w tym momencie Piotrek powiedział:

- Ja wcale nie chcę adoptować dziecka. Uważam, że to głupi pomysł. Ale żona rozwiedzie się ze mną, jeśli się nie zgodzę.

NORA

- Mamo, Jędrzek się zakochał - oświadczył mi Julek takim tonem, jakby informował mnie o swoim ślubie. Albo o tym, że rzuca szkołę i wyjeżdża w podróż dookoła świata.

Tym razem udało mi się nie roześmiać i potraktować sercowe rozterki Jędrzeja najpoważniej, jak się da.

- Miłość to piękna sprawa - zaczęłam ostrożnie.

- W wieku dziewięciu lat? - Julian patrzył na mnie jak na wariatkę.

- No cóż, to się może zdarzyć każdemu. Sama zakochałam się po raz pierwszy jeszcze w przedszkolu.

- I co wtedy zrobiłaś? - dopytywał mój najstarszy syn, wciąż śmiertelnie poważnym tonem. - Tak konkretnie?

- Jak to co? Bawiłam się z nim częściej niż z innymi chłopakami. Chyba nawet narysowałam mu laurkę.

Kurczę, to było ponad trzydzieści lat temu! Nie musiałam chyba pamiętać z detalami tamtych porywów serca?

- I nie wyprowadziłaś się do swojego chłopaka?

- Nie. Jasne, że nie. - Zaczynało się robić naprawdę rozrywkowo, ale wciąż jakimś cudem powstrzymywałam wybuch śmiechu.

- No właśnie. - Julek pokiwał głową. - A Jędrzej chce się do niej wynieść. Już zaczął pakować walizkę.

- Chyba wiem, o kogo chodzi. - Uśmiechnęłam się na wspomnienie kilku wizyt Cloe w pracowni.

Byłam przekonana, że to wtedy zaczęła się ta wielka miłość. Wtedy właśnie Jędrzek wspominał coś o pierścionku, który kupi z pieniędzy z polisy. Polisy ubezpieczającej Jacka na trzy tysiące, których pewnie długo jeszcze nie zobaczę. Tak, Jędrzej zakochał się w Cloe, nie miałam cienia wątpliwości.

- Włączysz dziś piec?! - zawołała Gośka zza regału ze szklivami. - Chciałabym mieć na wtorek ten półmisek, w prezencie dla mojej najmłodszej siostry na urodziny!

- Włączę - odpowiedziałam, z trudem przestawiając się z sercowych zawirowań Jędrusia na racjonalne myślenie.

O ile można nazwać racjonalnym wynoszenie w sekrecie całej ceramiki do Karolka i wypalanie jej u niego, a nie w moim cudownym nowoczesnym piecu, będącym wciąż na gwarancji. Tak, wiem, to nie było najmądrzejsze. Nie mogłam się jednak przełamać. Nie po tym, jak nagle znalazłam na dnie srebrną obrączkę Jacka... Tuż po jego zniknięciu...

- Mogę włożyć ten półmisek na najniższą półkę? - Gośka, nie czekając na odpowiedź, już pochylała się nad piecem.

- Nie! - Doskoczyłam do niej błyskawicznie, niemal rozbijając na pół wielki talerz, który trzymała w rękach. - Puszczę dziś wypał, ale nie tutaj. Z moim piecem dzieje się coś niedobrego. Muszę chyba wezwać fachowca.

- Coś z programatorem? - Gośka już wyjmowała z torby śrubokrętek. - Jeśli chcesz, zajrzę do niego i sprawdzę, co się stało. Znam się trochę na tych podzespołach.

No jasne, jak mogłam zapomnieć. Gośka zna się absolutnie na wszystkim.

- Nie ruszaj - poprosiłam.

A po policzkach zaczęły mi lecieć łzy. Jak groch. Całymi strumieniami. Chciałam jakoś im to wyjaśnić. Ale jak? Jak miałam powiedzieć, że podejrzewam, iż mój mąż przesłał mi sygnał z zaświatów? Chociaż nie mogę być pewna, bo istnieje też druga możliwość: że Jacek wciąż żyje, a obrączkę podrzucił na znak, że zwraca mi wolność. Jak miałam opowiedzieć im o tych wszystkich myślach, które kłębiły się w mojej głowie? Nie umiałam tego zrobić, nie odezwałam się więc ani słowem.

Gośka, zdumiona i zdezorientowana, w milczeniu wyszła na próg pracowni.

- Mamusiu, co się stało? - W drzwiach między pracownią a mieszkaniem stał Jędrzej z moją starą walizką w ręku. - Dlaczego wyrzuciłaś Małgosię? Małgosiu, poczekaj! Nie odchodź! Kocham cię, słyszysz?!

MARTA

Sporo mnie to kosztowało. Zawiozłam Ice najnowsze gry, prosto z centrali w Norwegii. Nawet Miejski skok w wersji 7.3, którego nie widział żaden klient w Europie. Wszystko po to, by ją przekonać, że Piotrek tylko żartował. I że marzy o adopcji jeszcze mocniej niż ja.

Nie była przekonana. Jednak zgodziła się, jakimś cudem, dopuścić nas do pierwszych testów. Rysunkowych. Podobno

najprostszyc, a jednoczesnie majacych decydujace znaczenie. Sa ośrodki adopcyjne, w ktorych na tym etapie odpada niemal polowa kandydatow!

Tym razem postanowilam przygotowac Piotrka naprawde precyzyjnie. Nie moglam sobie pozwolic na kolejna wpadke. Gdyby znów z czymś wyskoczył, nie pomogłyby nawet Zombie. Wielki powrót, ścigniete kurierem z Oslo w dniu, gdy prototypowe plansze zejda z taśmy produkcyjnej.

W ostatniej chwili udalo mi sie sprowadzic z księgarni w Krakowie klucz do interpretacji tych rysunkow. Nie przeanalizowalam go dokladnie, ale to, co wyczytalam wczoraj, siedzac do drugiej w nocy, powinno chyba wystarczyc. Najlepiej jestem przygotowana do rysowania rodziny. Wiem juz, ze kazda z postaci musi stac na ziemi i ze linia tej ziemi powinna byc wyraźnie zaznaczona. Jesli maja stopy w powietrzu albo stoją na dolnej krawędzi kartki, to mozna to zinterpretowac na moja niekorzysc - jako zaburzenie. Nie pamietam jakie - ale co to ma za znaczenie? Przeciez nie narysuję ich kwitujacych pośrodku kartki! Wiem tez, ze nie moga dosiegac glowami górnej krawędzi. Postac, ktora nie mieści sie na rysunku, świadczy - o ile dobrze pamietam - o rozbuchanym ego. Osoby o rozbuchanym ego najwyraźniej nie powinny byc rodzicami. Idealne ego pozostawia dwadzieścia procent kartki puste bez wzgledu na to, czy rysuje sie drzewo, rodzinę czy domek.

Do domku tez jestem przygotowana całkiem nieźle. Najwazniejsze, zeby mial komin. I to nie byle jaki komin: musi byc prosty i proporcjonalny. Nie za duzy i nie za maly. Duzy to nadmierne zainteresowanie seksem, a maly... No, nie pamietam, ale tez cos, czego nie powinien wykazywac przyszly rodzic.

Chyba szlag by mnie trafil, gdyby sie okazalo, ze po tych wszystkich korowodach, szantażowaniu Piotrka i

oblaskawianiu Iki zdyskwalifikował mnie komin nieodpowiedniej wielkości!

- Błagam, skup się. - Chciałam przekazać Piotrkowi przynajmniej część tej mojej wiedzy. - Wynotowałam ci wszystko w punktach. Najlepiej przećwicz sobie rysowanie rodziny... bo prawdopodobnie będzie rodzina. Pamiętaj, żeby mieli symetryczne ramiona. I żeby się nie przechylali w jedną stronę. Niech się trzymają za ręce, ale żadna z tych rąk nie powinna być dłuższa od drugiej. No i...

On nie słuchał. Miał to gdzieś!

- Nie mam tego gdzieś - wyjaśnił spokojnie. - Po prostu uważam, że powinniśmy być uczciwi. Mieć takie same szanse jak inne pary. Myślisz, że wszyscy się przygotowują do takiego rysowania, ściągając z księgarni uniwersyteckiej skrypty do psychologicznej analizy rysunku?

- Nie interesują mnie wszyscy. Interesujemy mnie my - odparłam lodowatym tonem. - Chcę, żebyśmy dobrze wypadli. Żeby nie było najmniejszych wątpliwości, że będziemy świetnymi rodzicami. A czy to uczciwe wobec innych? Mam to gdzieś! Wydałam na te skrypty cztery stowy, więc bądź łaskaw na moment się skupić!

- Zróbmy inaczej - zaproponował Piotrek po chwili wahania. - Ja narysuję rodzinę, drzewo, dom i co tam jeszcze wymyślisz, a ty sprawdzisz w tych swoich materiałach, czy można mi powierzyć dziecko. Zgoda?

Zgoda. Lepsze to niż nic.

- Nie jestem dewiantem, potrafię przecież narysować drzewo. - Uśmiechnął się mój niedewiant, pochylając się nad kartką papieru.

- Nie! Wszystko nie tak! - Załamalam się, patrząc na jego rysunek. - Drzewo jest zwichrowane, niesymetryczne. Ma za duże owoce. Nie ma korzeni. Musi mieć korzenie!

- Przekrój? Mam narysować, co się dzieje pod powierzchnią ziemi? - zainteresował się Piotrek. - Jesteś pewna?

- Nie przekrój, tylko takie wygrubienie na dole. Mam cię zabrać na spacer do parku, żebyś obejrzał drzewa? Musi być na dole ślad, że drzewo ma korzenie. To symbol więzi z rodziną.

- Spacer to niezły pomysł. - Mój mąż zapalił się do tego pomysłu. Sięgnął nawet po kurtkę. - Chyba od roku nie byliśmy na spacerze.

- Leje deszcz. Jest ciemno. I nie mamy czasu. Znajdę ci drzewo w internecie - zdecydowałam. - A potem nauczysz się na pamięć, jak ma wyglądać. I narysujesz je dokładnie tak jak na tym wzorze. Nie dodawaj niczego od siebie, rozumiesz? Zwłaszcza dziupli! Dziupla może wskazywać, że byłeś molestowany w dzieciństwie!

- Molestowanym nie dają dzieci? - Piotrek po raz pierwszy naprawdę zainteresował się procedurami adopcyjnymi.

Skąd ja miałam wiedzieć, czy dają, czy nie? Pewnie dają, w końcu to nie ich wina, że ktoś kiedyś zrobił im coś złego. Dają, na pewno, lecz najpierw kierują na dodatkowe konsultacje albo na terapię. Nie mieliśmy na to czasu. Straciliśmy go już dostatecznie dużo.

Rozdział 22

Drzewo drzewu nierówne

MARTA

- A ty co, wszystko z pamięci chcesz rysować? - Hubert popatrzył zdumiony na moją małą torebkę.

- Z pamięci? - Nie byłam pewna, co ma na myśli. - Chodzi o wyobraźnię, o naszą psychikę. Nie musimy odtwarzać idealnej jabłoni ani gruszy.

- Jakiej jabłoni? - On naprawdę wpatrywał się we mnie jak w kosmitkę.

- No, pytasz o drzewo, tak? - upewniłam się. - Z tego, co wiem, na dzisiejszej sesji wszyscy rysujemy drzewo. Taki test...

- No, właśnie o tym mówię. - Uśmiechnął się szeroko. - Dobrze, że Marek z pierwszej grupy puścił cynk. Przygotowałam się solidnie, mam akt urodzenia prababci i zdjęcia ze Lwowa, robione u fotografa na tle kartonowego księżycy i gwiazdek, przypiętych do ściany. No i znalazłem u babci w komodzie prawdziwy hit: laurkę, którą narysował mój wujek, który urodził się w obozie koncentracyjnym. Nie uwierzysz, czym on rysował tę laurkę. To będzie najlepsze drzewo genealogiczne, jakie można sobie wyobrazić!

NORA

Od śmierci Jacka minęło osiem miesięcy. Miałam coraz więcej zamówień na urny, dziewczyny też lepiły coraz sprawniej. W dodatku dwie panie z sąsiedztwa zaczęły przyprawiać do mnie na lekcje swoje dzieci. Pracownia naprawdę żyła.

- Nie mogę jeździć do ciebie z każdym wypałem - powiedziałam Karolowi z poważną miną. - Muszę oczyścić piec i zacząć... zacząć sama.

- Mogę przyjeżdżać po te rzeczy, jeśli nie masz czasu - zdenerwował się od razu. - A jeśli chodzi o pieniądze, o prąd,

to naprawdę się nie przejmuj. Oddasz mi kiedyś, jak będziesz miała. Albo wcale. Jeśli mogę pomóc...

- Jesteś kochany. - Przytuliłam go ze łzami w oczach. - Jak brat, którego nigdy nie miałam.

- Masz siostrę - przypomniał mi delikatnie.

Jasne, mam siostrę. Która nie wie, jak ze mną rozmawiać po śmierci Jacka, więc nie rozmawia wcale. Albo przysyła esemesa z lakonicznym: „Trzymacie się jakoś?”. Wiem, wiem, nie powinnam narzekać. Po prostu jest zajęta. Ale na Gwiazdkę przesłała chłopcom prezenty przez Karola!

- Wciąż ją kochasz? - odważyłam się zapytać o to po raz pierwszy po tylu latach.

Ich związek trwał tylko miesiąc. Dla mojej siostry był epizodem bez znaczenia, zabawną przygodą Polki i Polaka, którzy wpadli na siebie na dworcu w Helsinkach i przejechali razem pół Europy. Dla Karola był najważniejszym wydarzeniem, jakie go spotkało w życiu. Pielęgnował to uczucie od ośmiu lat, wbrew wszelkiej logice. Zaprzyjaźnił się z całą naszą rodziną. Wspierał moją mamę, mnie, chłopców, nawet Pysię w potrzebie zabierał do weterynarza. Miał zamiar przeczekać kolejne miłości mojej siostry, jej ślub. Wierzył, że ona w końcu zobaczy, że tylko on jeden kocha ją naprawdę.

- Wiesz, to niesamowite, ale... no więc chyba mi przeszło. - Zacerwienił się jak sztubak. - Chyba zakochałem się w kimś innym. I to jest jeszcze bardziej beznadziejne. Ona kompletnie mnie nie zauważa. I ma innego. Niedługo wyjedzie do niego na stałe.

- Nie wyjedzie! - roześmiałam się.

Więc przeczucia mnie nie myliły. Słusznie odczytywałam te rumieńce w drzwiach pracowni, desperackie próby odwiedzania mnie wtedy, gdy przychodzi Gośka, zmianę fryzury. Mój syn i mój przyjaciel kochali tę samą kobietę!

Kobietę z truskawkowymi włosami, nadwagą i energią godną wulkanu.

- Nie wyjedzie? - zdziwił się Karol.

- Nie. - Pokiwałam głową. - Zaufaj mi. Wiem, co mówię. Ma złamane serce, lecz to nie potrwa długo, zobaczysz. Teraz, kiedy przekonała się, że on ją okłamywał przez tyle lat... Ze ma dzieci w dwóch albo i trzech krajach i piękną młodą żonę zamiast starej sekretnicy, o której z detalami opowiadał...

- Co takiego? - Karol aż usiadł z wrażenia.

No i przepadło. Musiałam opowiedzieć mu dokładnie całą historię wielkiej miłości Goški. Miałam tylko nadzieję, że nie będzie na mnie zła. I że pozwoli Karolowi pokochać ją i Cloe, tak jak na to zasługują. Bez kłamstw i fałszywych obietnic.

LENA

Wiedziałam, że ten telefon pewnego dnia zadzwoni. Przygotowywałam się na to. A jednak, gdy zobaczyłam na wyświetlaczu komórki to nazwisko, ręce zaczęły mi drżeć, a nogi zrobiły się miękkie jak z waty.

- Inspektor Rogala, dzień dobry. - Usłyszałam.

- Dzień dobry! - Staralam się brzmieć beztrudno i profesjonalnie jednocześnie. - W czym mogę pomóc?

- Chciałbym się spotkać z panią w piątek powiedzmy o jedenastej. W sprawie tej kobiety podejrzanej o zabicie męża. Tego ceramika, Wójcika, pamięta pani.

- Oczywiście, przygotowuję na piątek szczegółowy raport. - Mam nadzieję, że głos nie zadrżał mi ani na moment. - Czas już zamknąć sprawę, mamy chyba wszystkie potrzebne informacje.

- Sprawa jest dużego kalibru. - Przypomniał mi Rogala, jakbym nie wiedziała. - Poproszę więc o obecność także pani szefa.

- Oczywiście. - Ręce nagle zaczęły mi się pocić. - Oczywiście, sama chciałam, żeby szef był obecny. Zawsze go o to proszę w sprawach tego rodzaju.

- No to do zobaczenia w piątek. - Głos Rogali brzmiał niemal zalotnie. - Mam nadzieję, że ma pani dla nas jakieś przełomowe informacje.

MARTA

Nie wiem, jakim cudem przeszliśmy przez rysowanie drzewa genealogicznego kompletnie bez przygotowania. Piotrek prawie umarł ze śmiechu, kiedy się okazało, że to nie będzie psychologiczny test drzewa, który wbijałam mu do głowy przez ostatnie dni.

Cóż, każdemu wolno się pomylić...

Z wrażenia zapomniałam umieścić na tym drzewie ciotkę Klarę, siostrę mojego ojca. A ojcu dodałam trzy lata. Nie byłby zadowolony.

Najważniejsze, że jakoś przez to przebrnęliśmy. Mamy to za sobą. Jutro kolejny etap: USG domu. Czyli wizyta dwóch osób z ośrodka adopcyjnego. Mają sprawdzić, czy dziecko będzie miało u nas właściwe warunki do rozwoju.

- Powinniśmy kupić mebelki albo przynajmniej dywan, żeby było miękko i bezpiecznie. I pomalować ściany. - Rozglądałam się w panice po pokoju, w którym stały biurko i dwa regały z książkami. - Cholera, skreślą nas. Nie mamy odpowiedniego miejsca dla dziecka. To znaczy mamy, nieurządzone. A gdyby dziecko znalazło się już teraz? Dzisiaj? Gdzie byśmy je położyli spać?

- W łóżeczku, które kupilibyśmy w drodze po dziecko, w centrum handlowym. Cała transakcja zajęłaby nam dwie minuty. - Piotr jak zwykle usiłował mnie uspokoić. - Poza tym może to wcale nie będzie noworodek? Słyszałaś przecież, że równie dobrze mogą zaproponować nam dziecko trochę starsze.

- Półroczne. - Pokiwałam głową. - I ono też będzie spało w łóżeczku, a nie na tapczanie. Potrzebujemy łóżeczka. Żeby pokazać, że jesteśmy przygotowani na przyjęcie dziecka w każdej chwili. Pomyśl tylko: jeśli będą musieli szybko oddać komuś dziecko, wybiorą nas. Bo...

- Bo będziemy mieli łóżeczko? - roześmiał się Piotr. No dobra, poniosła mnie wyobraźnia. Przechodzimy testy.

Obserwują nas. Rozmawiamy z psychologami, pedagogami, chodzimy na warsztaty. Zapraszamy pracowników ośrodka do domu. Rysujemy drzewka. Sięgamy do historii naszych babć, dziadków i ciotek. Wszystko po to, żeby poznali nas jak najlepiej. Żeby wiedzieli, z jakim dzieckiem stworzymy prawdziwą udaną rodzinę. I do jakiego dziecka będziemy pasowali. Nie rzucają nagle całej tej wiedzy w kąć tylko dlatego, że mamy łóżeczko.

- Chyba nie każesz mi teraz jechać do sklepu? - W głosie Piotra słychać było lekką panikę. - Za kwadrans zamykają, a po drodze są światła i dwa radary.

- Dobra, nie będzie łóżeczka. - Dałam się przekonać, po czym złapałam obrus i ściągnęłam go zdecydowanym ruchem ze stołu. - Kurz - wyjaśniłam, widząc zdumiony wzrok Piotra. - Wszystkie tkaniny to siedlisko kurzu. A dziecko może mieć alergię.

- Przed chwilą chciałaś kupować dywan...

- Głupio chciałam. Żadnych dywanów. Musimy pozbyć się zasłon, kupić rolety, żaluzje, cokolwiek, co nie przyciąga kurzu. Pojedziesz do sklepu jutro z samego rana, może zdążymy je zamontować. Nie dam się wyrolować jakiejś innej parze tylko dlatego, że mam w oknach zasłony, a na stole obrus! Wyobraź sobie te wszystkie roztocza, które zbudowały domy między włóknami. Brrr.

- Będziemy jedli na ceracie? - upewnił się mój mąż.

- Jeszcze o tym nie myślałam. Ale tak, cerata jest bardzo praktyczna. Zwłaszcza przy małym dziecku.

Rozdział 23

Czas zamknąć sprawę

MARTA

- Może się czegoś napijecie? - zaproponował Piotrek. - Whisky, sherry, porto? A może Southern Comfort? Nauczyłem się to pić, gdy byłem na stypendium w Londynie. W upały znakomicie smakuje z colą i lodem.

- Jest marzec. Minus cztery stopnie mrozu - mruknęłam, mając nadzieję, że ich zniechęcę. Nie mogłam powiedzieć nic więcej.

- Nigdy nie słyszałem o Southern Comfort. - Szef Piotrka uśmiechnął się szeroko. - Nalej, trzeba być otwartym na świat.

Piotr obrócił się na pięcie w stronę szafki, na której ustawialiśmy butelki w oczekiwaniu na barek z prawdziwego zdarzenia.

Butelek tam nie było. Stały za to trzy miski z gliny, każda z innej parafii. W płaskiej szamotowej leżały czekoladki. Chyba już lekko przeterminowane. Miałam nadzieję, że szef Piotrka nie skusi się na pralinkę w sreberku. Z pękatej miski pokrytej kobaltowym krystalicznym szkliwem wystawały przykurzone wrzosy. Albo wrzośce. Nigdy nie zgłębiłam różnicy.

Najdramatyczniej prezentowała się trzecia micha, moja ulubiona, cała w akacjowe listki przecierane na czarno. Leżało w niej jabłko. Jedno jabłko. Było świeże... osiem dni temu. Teraz zapadło się lekko z jednej strony. Wolałam nie podchodzić bliżej i nie sprawdzać dlaczego. Miałam pewną koncepcję...

- Nie możesz znaleźć tego trunku, który tak zachwalałeś?
- Szef był nieco zdziwiony. - Nie przejmuj się, spróbuję innym razem. Nalej mi po prostu jakiejś dobrej whisky. W całej firmie słyniesz jako koneser...

Mój mąż uśmiechnął się zadowolony z komplementu... i w tej samej chwili w jego oczach pojawiła się panika. Gdzie są jego cenne zbiory? Butelki ze strefy wolnocłowej? I te przywożone ze Szkocji, prosto z destylarni?

- Pójdę po nie na górę. - Postanowiłam wkroczyć do akcji.

- Macie barek w sypialni? - Szef był coraz bardziej zdziwiony. - No, to nawet nie jest zły pomysł, jeśli spędza się tam dużo czasu. Właściwie, tak, mógłbym wprowadzić to w domu, gdyby nie fakt, że robię się po alkoholu bardzo senny. Moja żona nie byłaby zachwycona, gdybym zasypiał w połowie namiętnej akcji.

W połowie namiętnej akcji?! Mógłby oszczędzić nam szczegółów. Ja na pewno zamierzałam oszczędzić jemu opowieści o tym, co butelki robią na górze. Jeśli chce myśleć, że upijamy się na wesoło i turlamy po łóżku, to proszę bardzo, jego sprawa. Lepsze to niż dyskusje wszystkich współpracowników Piotra na temat naszych planów adopcyjnych. Zresztą świat jest mały, tak? Kto wie, czy któryś z jego kolegów nie jest bratem, narzeczonym albo sąsiadem Iki z ośrodka adopcyjnego? Jeszcze tylko tego mi brakowało, żeby dowiedziała się, że schowaliśmy butelki w szufladach z majtkami przed jej wizytą.

- A piętnastoletnia...? - Piotr wpadł do sypialni akurat wtedy, gdy udało mi się odpędzić wspomnienie jego zdumionego szefa i zasnąć. - Gdzie wyniosłaś tę butelkę?

W odpowiedzi wrzuciłam ramionami. Nie jestem pewna, czy osoba stojąca w drzwiach, patrząca na kołdrę i wystającą spod niej głowę w ogóle mogła to wzruszenie dostrzec. Na wszelki wypadek przewróciłam jeszcze oczami.

- Nie udawaj trupa z oczyma w słup, tylko powiedz, gdzie ją wsadziłaś! - Był naprawdę zdenerwowany.

- Zdaje się, że to ty wynosiłaś swoje drogocenne zbiory na górę. A poza tym jest druga w nocy. Goście dawno wyszli. To chyba nie najlepsza pora na poszukiwania.

- Wynosiłem, bo mi kazałaś. No i lubię wiedzieć, gdzie są moje rzeczy - oznajmił mi to, co od dawna wiedziałam.

I ruszył dalej przewracać swoje skarpetki i moje majtki. Gdzieś między nimi powinna kryć się cenna butelka.

- Nie ma - oświadczył po trzech kwadransach, czyli akurat wtedy, gdy udało mi się włożyć palec do ucha zamiast zatyczki i zasnąć.

Prawda jest taka, że zatyczka zrobiona z palca wskazującego to za mało, gdy ma się do czynienia z desperatem.

Czy jednak on musi o tym wiedzieć? Nie musi. Miałam tylko nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy zmierzyć poziom decybeli własnego głosu oraz gęstość albo inny parametr ludzkiego palca, by się dowiedzieć, czy powinnam go usłyszeć, czy nie. W końcu kiedyś zmierzył decybele, które produkowali nasi goście podczas lipcowego grilla na działce teściów. A wszystko po to, by udowodnić sąsiadom, że nasze rozmowy nie mogą przeszkadzać im w oglądaniu telewizji, co usiłowali nam wmówić. Ale ja nie jestem złośliwym sąsiadem. Nie trzeba toczyć ze mną boju o trzeciej nad ranem. Ja po prostu chcę spać!

- Gdzie schowałaś tę whisky? Skup się! - Piotr podniósł kołdrę, którą miałam naciągniętą na głowę, i wyjął mój własny palec z mojego własnego ucha.

Uznałam, że granica została przekroczona. Wstałam i wyszłam, razem z kołdrą. Na kanapę.

Było mi zimno jak diabli, ale przynajmniej nikt nie próbował złamać mi palca!

LENA

- Spędziłaś u niej łącznie trzydzieści osiem godzin. - Szeff stuknął palcem w zestawienie, które spreparowałam dla niego wczoraj wieczorem.

Gdybym zanotowała absolutnie wszystkie spotkania z Norą, godzin wyszłoby raczej trzysta osiemdziesiąt. Ale to mogłoby wzbudzić jego podejrzenia. Wiadomo, że angażuję się w sprawy, które zleca mi firma, od czterech lat jestem jedną z najlepszych... Mimo to trzysta osiemdziesiąt godzin poświęconych na badanie pojedynczego przypadku nigdy mi się nie zdarzyło.

- I nic? - Komisarz Rogala patrzył na mnie z niedowierzaniem. - Nie wygadała się? Z niczym się nie zdradziła?

- Z niczym. - Mogłam to powiedzieć z pełnym przekonaniem. - Podpytywałam, zastawiałam zasadzki. Jestem pewna, że nie ma o tym wszystkim pojęcia.

- Nie maczała palców w śmierci męża? - Szeff nie zamierzał mi odpuścić.

- Nie wie, co się z nim stało. - Tu też nie kłamałam. - Jeden z jej synów ma poważne problemy psychiczne właśnie z powodu tej całej zagadki. Lekarze mówią, że nie może przeżyć żałoby do końca i pójść dalej, właśnie z powodu braku ciała. Gdyby Nora, Eleonora, gdyby pani Eleonora Wójcik wiedziała, gdzie jest ciało, gdyby choć podejrzewała, stanęłaby na głowie, żeby urządzić mężowi pogrzeb z prawdziwego zdarzenia. Zaraz po zaginięciu pojechała do Krakowa. Błagała tamtejszą policję, by nurkowie jeszcze raz przeszukali dno Wisły. Doskonale wie, że znalezienie zwłok przyniosłoby ulgę jej synom. A ona dla dzieci zrobi wszystko.

- Na przykład wyłudzi ubezpieczenie? - Rogala nie spuszczał ze mnie wzroku.

Wzięłam głęboki oddech. Wiedziałam, jak wielka jest stawka.

- Pani Wójcik nie ma pojęcia o istnieniu tej polisy - orzekłam, patrząc inspektorowi w oczy. Po czym przeniosłam wzrok na szefa i westchnęłam. - Zastosowałam wszystkie możliwe środki. Podpuszczałam ją, jak mogłam. Wykorzystałam pełen arsenał.

- Nawet metodę A - 11? - Szef zmrużył oczy. Tym razem to on mnie podpuszczał.

Zaryzykowałam.

- Wiem, że to środek z pogranicza, że nie należy go stosować pochopnie. Uznałam jednak, po wykorzystaniu wszystkich innych możliwości...

- I oddaniu siedemnastu strzałów ostrzegawczych - prychnął Rogala. - Zrobiła pani to, prawda?

- Zrobiłam. - Spuściłam wzrok. - To była ostateczność. Lecz przy tej stawce zdecydowałam, że muszę uciec się do prowokacji.

- I nic? - Szef był zdruzgotany.

- Nic. Musimy przyjąć, że zgodnie z zeznaniami pani Wójcik, jej dzieci i innych świadków zaginiony wyjechał do Krakowa. Miał przeprowadzić zakontraktowane od dawna szkolenie z podstaw ceramiki artystycznej dla emerytów z Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Nigdy nie dotarł na miejsce. Tego dnia była burza. Musiał przejść do domu kultury spory kawałek wąską ścieżką wzdłuż brzegu Wisły. Nie ma innego wyjaśnienia. Po prostu poślizgnął się i wpadł do wody. Wcześniej czy później rzeka wyrzuci jego ciało gdzieś na drugim końcu Polski. - Miałam nadzieję, że przesłuchanie dobiegnie wreszcie końca i na teczce Nory zostanie postawiony stempel: „Śledztwo zamknięte”.

Pomyliłam się. Szef przyjrzał mi się uważnie i wyjął z szuflady plik kolorowych zdjęć.

- Stawka jest bardzo duża, tak jak powiedziałaś. - Pokiwał głową. - Dlatego zleciłem superwizję...

- Kazałeś mnie śledzić? - A więc nie miałam manii prześladowczej! Nie wydawało mi się, że widzę kilka razy tego samego faceta w czarnym samochodzie. I ten błysk aparatu gdzieś w krzakach, o północy...

Szef uważnie przyglądał się zestawieniu, które przed nim leżało. Stuknął palcem w puste miejsce, pod ostatnią pozycją.

- Brakuje tu kilku spotkań - wycodził. - Wyjścia do klubu nocnego w towarzystwie podejrzaney, jej wizyty u ciebie w domu. Nie wydaje ci się, że to skandaliczne złamanie zasad bezpieczeństwa? Podałaś podejrzaney swoje prawdziwe nazwisko i adres? Odnoszę wrażenie, że tym razem zaangażowałaś się w sprawę stanowczo zbyt głęboko. I straciłaś obiektywizm i przenikliwość, za które tak cię cenię.

- Ja... - Nerwowo myślałam, jak mogę z tego wybrnąć. Ziemia usuwała mi się spod nóg.

Ratunek nadszedł z najmniej spodziewanej strony.

- Czy Wójcik nie miała żadnych podejrzeń? - zapytał inspektor Rogala. Jego polszczyzna nie była może doskonała, lecz pomysł, który mi podsunął, zdecydowanie zasługiwał na miano idealnego.

- Miała - przytaknęłam, błyskawicznie układając w głowie linię obrony. - Była potwornie nieufna. Przeżyła traumę, kilka osób próbowało zabrać jej sprzęt z pracowni ceramicznej, a nawet dom. Znajomi męża nie mieli skrupułów i chcieli wykorzystać jej naiwność. W dodatku jedna z kobiet, które przyszły na ten, pożałujcie Boże, kurs ceramiki, zaatakowała ją za brak profesjonalizmu. Eleonora Wójcik zamknęła się w sobie. Potrzebowałam czasu, żeby mi zaufała.

- To dlatego... - Rogala chciał zadać jakieś pytanie, ale mu nie pozwoliłam. Byłam jak w transie i mówiłam dalej:

- Dlatego wychodziłam z nią nawet w weekendy i wieczorami, a nawet wpuściłam do siebie do domu. Zresztą i tak się stamtąd za miesiąc wyprowadzam. A nazwisko

podałam jej fikcyjne. To znaczy byłego męża. Nigdy go nie nosiłam. Nie znajdzie mnie, jestem pewna. Ona niczego nie podejrzewa. Ufa mi właśnie dzięki tym niekonwencjonalnym krokom.

- Dlaczego nie ujęłaś w zestawieniu wszystkich tych spotkań? - Szef nie zamierzał tak łatwo odpuścić.

- Ujęłam tylko te, które jakoś popychały sprawę do przodu. - Na to wyjaśnienie wpadłam naprawdę w ostatniej chwili. - Te, na których zadałam choćby jedno pytanie dotyczące męża lub ubezpieczenia, albo podczas których usłyszałam coś na ten temat. Te, które służyły rozmiękczeniu podejrzanej, to znaczy zdobywaniu zaufania - tych nie wpisywałam, żeby nie zawyżać kosztów. To w końcu była moja decyzja, moja próba wejścia w jej świat i moje ryzyko. Gdyby dzięki temu sprawa zakończyła się sukcesem, gdybyśmy udowodnili jej oszustwo albo nawet zabicie męża, wpisałabym każdą minutę i domagała się jeszcze premii. Niestety, w mojej ocenie Wójcik jest czysta. A więc te koszty biorę na siebie.

- A targi fune... funeralne? - odczytał szef z kartki. - Jak wyjaśnisz tę eskapadę za granicę? Nie pojechałaś z nią, nie byłaś na miejscu. Czemu to miało służyć?

Na to pytanie, na szczęście, szczegółowo się przygotowałam.

- Opłaciłam ten wyjazd z funduszu dodatkowego, niezwiązanego ze sprawą pani Wójcik. Nie dopisałam go do rozliczenia, bo nie przyniósł przełomu. Oczywiście był tam mój informator. - Uśmiechnęłam się krzywo. - Uznałam, że w przypadku osoby, którą podejrzewamy o ukrywanie ciała, o zabójstwo nawet, jak wynika z otrzymanych informacji, przebywanie w miejscu pełnym urn i trumien może się okazać przełomowe. Ze może ją to skłonić do przyznania się lub do nerwowych ruchów.

- Ale ty tam nie pojechałaś? - naciskał szef.
- Chciałam zejść jej na chwilę z oczu, żeby poczuła się bezpiecznie z kimś, kogo dobrze zna.
- Skąd wiesz, że ten informator nie gra na dwa fronty? Ze jej nie ostrzegł?
- Spotkałam go przy innej sprawie w poprzedniej firmie. Nie mogę mówić o szczegółach ze względu na konflikt interesów oraz klauzulę, którą w poprzedniej pracy podpisałam. Ale jest profesjonalistą. A z panią Wójcik łączy go luźna znajomość. Nie jest jej krewnym, partnerem, w żaden sposób nie jest zaangażowany emocjonalnie. Można mu zaufać.

Uff, największe kłamstwo, które musiałam wygłosić, było nareszcie za mną. Mogłam odetchnąć. Karolek, nawet gdyby go kroili, nie przyzna się, że skłamałam. I że widziałam go po raz pierwszy w życiu tej zimy u Nory w pracowni, gdy przynosił jej wypalone miski, których nie była w stanie włożyć do pieca. Pieca, w którym znalazła obrączkę, co uznała za ponury znak, wiadomość z zaświatów... Tak, Karolek naprawdę jest gotowy zrobić dla niej wszystko. Nie ma pojęcia, rzecz jasna, jak wielka jest stawka, ale nawet te drobiazgi, które mu opowiedziałam, wystarczą, żeby zeznał słowo w słowo to, co zapisałam mu na kartce.

Miałam tylko nadzieję, że spalił ją, tak jak prosiłam.

- Spotkałem się z panem Karolem Olczakiem. - Rogala zajrzał w swoje notatki. - Nie jest rozmowny i trudno mu się dziwić. Dyskrecja w jego profesji to podstawa. Potwierdził jednak wszystko, co mówi pani Tokarska. Próbował nagrywać Eleonorę Wójcik podczas pobytu w Brnie, podprowadzać ją na temat śmierci męża - bez skutku. Powtarzała tylko, że nie ma pojęcia, co się stało. I że oddałaby wszystko, żeby się tego dowiedzieć.

- A więc... Cóż, nie mamy żadnego punktu zaczepienia? - westchnął szef, nerwowo przerzucając papiery.

Odetchnęłam z ulgą. Temat Karolka był jedynym, na którym mogłam zaliczyć wpadkę. W każdej innej sprawie czułam się pewnie. Nikt mi nie udowodni, że złamałam regulamin i zaprzyjaźniłam się z Norą! I niemal od samego początku naszych spotkań nie prowadziłam żadnych przesłuchań ani prowokacji, bo po prostu jej wierzyłam. I koncentrowałam się raczej na tym, by ustalić, kto napisał szkalujący ją anonim, niż na zastawianiu na nią pułapek.

- Może należałoby ją jeszcze raz przesłuchać? Trochę przycisnąć? - Mój szef patrzył błagalnie na Rogalę. Wyraźnie nie miał ochoty wypłacić Norze tych pieniędzy.

- Nie mamy podstaw. - Rogala bawił się długopisem. Chciał już chyba podpisać zamknięcie sprawy i zapomnieć o Norze i jej zaginionym mężu. - Nasz komendant w ogóle unika jakichkolwiek działań w oparciu o anonimowe doniesienia. Ewentualnie jakieś nieformalne rozpytania w terenie. Ale żadnych przesłuchań, żadnych przeszukań, żadnych wezwań na komisariat. W sprawie tego anonimu zrobiliśmy znacznie więcej niż normalnie. Na waszą prośbę. Współpracowaliśmy z panią Tokarską przy jej dochodzeniu ubezpieczeniowym w naprawdę szerokim zakresie.

- I nic? - Szef wciąż liczył na cud.

- Nic. - Rogala zdjął skuwkę z długopisu. - Nie potwierdziło się absolutnie nic z tego, co napisał życzliwy informator. Dzieci nie są zaniedbywane. Pani Wójcik nie ma żadnego romansu, który uzasadniałby zamordowanie męża. Przez pierwsze miesiące po jego zniknięciu żyła w niedostatku, teraz wychodzi na prostą, wspierana przez przyjaciółki...

Tu spojrział na mnie przeciągle. Aż zrobiło mi się zimno.

- Gdyby wiedziała o ubezpieczeniu, próbowałaby chyba jakoś przyspieszyć jego wypłatę? - wtrąciłam się, żeby przerwać niewygodny dla mnie wątek.

- Nie próbowała - musiał przyznać mój szef. - Ani razu nie kontaktowała się z naszą firmą.

- Anonimowy informator przewidział, że tego nie zrobi - przypomniałam mu dla przyzwoitości. - Napisał, że jest na to zbyt sprytna. Zabiła męża, żeby zgarnąć ubezpieczenie, i jest gotowa długo czekać na wypłatę.

Szkoda, że mój szef nie widział wnętrza lodówki Nory, kiedy odwiedziłam ją po raz pierwszy! Że nie widział jej wzroku, nie słyszał, ile było w niej strachu o przyszłość. O to, że wyłączą jej prąd, że będzie musiała przenieść Jędrzeja do tej odrapanej szkoły najbliżej domu. Tak się nie zachowuje osoba, która wie, że za miesiąc czy rok dostanie fortunę.

- Wersję przedstawioną w pierwszym anonimie musimy odrzucić - z żalem powiedział szef, wertując mój raport. - Gdyby ta cała Wójcik zamordowała męża, a ciało spaliła w piecu ceramicznym, jak sugeruje informator, obrączka też by się stopiła. Tak?

- Tak. - Wyprostowałam się tym razem pewna siebie. Tu nie miałam nic do ukrycia. Mówiłam samą prawdę, popartą twardymi naukowymi dowodami. - Pani Wójcik do dziś nie umie programować pieca. Jest on ustawiony na tak zwaną kamionkę, czyli wypał w wysokiej temperaturze. Tysiąc dwieście czterdzieści stopni. Dwanaście godzin stopniowego rośnięcia temperatury i potem dwanaście albo trzynaście stopniowego stygnięcia. Srebrna obrączka nigdy by tego nie przetrwała. Temperatura topnienia srebra to trochę ponad dziewięćset sześćdziesiąt jeden stopni. Wszyscy o tym wiedzą.

Szef popatrzył na mnie z uznaniem. Najwyraźniej nie miał pojęcia o tym, jak zachowują się metale w naprawdę gorącym powietrzu. Zainteresowanie jednak bardzo szybko zgasło.

- Może przestawiła ten program już po fakcie? - zapytał. -
Może przedtem temperatura była niższa?

- Ostatnie trzy wypały w tym piecu, jeszcze przed śmiercią. .. przed zaginięciem Jacka Wójcika, były przeprowadzane na tym samym programie. Zostały zapisane dokładnie w pamięci programatora i w komputerze. Z datą, godziną, wagą wkładu do pieca. Za każdym razem identyczna temperatura. Tysiąc dwieście czterdzieści stopni.

- Żadnych możliwości manipulacji? - Mój szef nie składał broni.

- Żadnych. - Rogala wyręczył mnie tym razem w byciu adwokatem Nory. - Sprawdzaliśmy ten piec bardzo dokładnie. Nie ma śladów organicznych. Na piecu ani na obrączce. Nikt nie palił w nim żadnych szczątków. Zleciliśmy dwie niezależne ekspertyzy. Nie ma najmniejszych podstaw, żeby podejrzewać panią Wójcik o takie działanie.

- Tylko po co zaginiony wykupił rozszerzenie polisy o sporty ekstremalne? - Szef wrócił jeszcze raz do sprawy, którą wałkowaliśmy od miesiący. - Może uprawiał paralotniarstwo? Albo wspinaczkę?

Musiałam się roześmiać, zerkając na zdjęcie Jacka, leżące na stole. Łysiejący facet z brzuszkiem naprawdę nie wyglądał na wyczynowca. Wiedziałam od Nory, że kiedyś faktycznie lubił skałki. Wieki temu, jeszcze przed ich ślubem.

- Wysłał żonie pocztówkę z krakowskiego rynku - przypomniałam. - Godzinę później był umówiony z emerytami nad Wisłą.

- Nikt nie widział tej pocztówki, oprócz żony - przypomniał Rogala. - Nie mamy żadnego dowodu, że w ogóle dotarł do Krakowa!

- Nie zapominajmy o anonimie! - Mój szef podjął ostatnią próbę.

- Dwóch anonimach. - Rogala się skrzywił. - Kilka tygodni temu przyszedł jeszcze jeden. Sugerujący, że pani Wójcik jest niepoczytalna i nie powinna zajmować się dziećmi.

- Słucham?! Niepoczytalna?! - Gdzieś już słyszałam to słowo. Tak, na pewno... Nagle dotarło do mnie rozwiązanie, które cały czas miałam pod samym nosem. - Idiotka! Ależ ze mnie idiotka! - wyrwało mi się, oczywiście pod moim własnym adresem.

- Słucham? - Szef spojrział na mnie znad okularów.

Zrobiło mi się niedobrze z nerwów. Nie chciałam się dzielić z nim tym odkryciem, zanim nie przekonam się sama... i nie porozmawiam o wszystkim z Norą.

- Idiotka - powtórzyłam powoli. - Idiotka ze mnie, że tyle czasu straciłam na tę sprawę. Przecież od pierwszej chwili było widać, że ona... że pani Wójcik naprawdę o niczym nie wie.

Nie musiałam nawet prosić Nory o adres. Cudem zapamiętałam, że pokazywała mi kiedyś, gdzie mieszka jej teściowa. Na Grójeckiej, w budynku sąsiadującym z Och - Teatrem. Wystarczyło poczekać chwilę pod blokiem, wślizgnąć się do środka razem z wracającym z zakupami emerytem, a potem przeczytać listę lokatorów. Na szczęście w tym bloku nie zdjęto jej jeszcze w trosce o ochronę danych osobowych. Nie miałam więc najmniejszego problemu z ustaleniem, że pani Marianna Wójcik zajmuje lokal na drugim piętrze, po lewej. Uspokoiliłam oddech, przełknęłam ślinę i zapukałam do jej drzwi.

Rozdział 24

Ostatnia tajemnica

MARTA

Podziwiałam Nataszę i Goškę za to, że zdecydowały się na taką wyprawę. Ale po tym, co wysłedziłam we Francji, naprawdę kipiały ze złości. I straciły resztki uczuć do tego... tego... Znowu zapomniałam, jak on się nazywa! Do tego Pierre'a - Oliviera! Ta młoda żona, małe dziecko i kolejne w drodze. To, jak do kamerki w mojej komórce przechwalał się, że nic nie cieszy go tak bardzo jak fakt, że nareszcie ma dziedzica.

Nie wiem, jakim cudem uwierzył w to, że jestem dziennikarką. Jaka dziennikarka robi zdjęcia komórką, nagrywa na komórkę, filmuje komórką? Dobrze, że w końcu, tuż przed wyjazdem, odebrałam z działu administracyjnego tego nowego smartfona! Chociaż i tak nie wygląda on ani trochę jak sprzęt profesjonalnej reporterki.

Zdradliwy Claude jednak uwierzył, że nią jestem. Oprowadzał mnie po winnicy, obejmując żonę, niosąc synka na barana. I wciąż mówił, i mówił o tych swoich wielkich planach. O tym, że chciałby zbudować imperium, prawdziwe winne imperium, które przekaże synowi.

- A córkom nie? - zapytałam niewinnie, gdy stał akurat w wyjątkowo dobrym świetle.

Delikatnie zbliżyłam do niego komórkę, tak żeby nagrało się każde słowo i każdy grymas na jego twarzy.

- Mam nadzieję, że tym razem... Żona idzie na USG dopiero za dwa tygodnie... Mam nadzieję, że to będzie córka. - Słowo daję, on to mówił ze łzami w oczach! - Przez całe życie marzyłem o byciu ojcem. I zawsze wyobrażałem sobie siebie jako ojca dziewczynki. Z poprzednimi dwoma żonami nie miałem dzieci. Myślałem, że te marzenia nigdy się nie spełnią,

że umrę bezdzietnie... Aż wreszcie, dwa lata temu, urodził się mój pierworodny!

Nawet powieka mu nie drgnęła, gdy to mówił!

Goście zresztą też, gdy przez cały wieczór raz za razem oglądała to nagranie. Zaciskała usta coraz bardziej, lecz nie rozplakała się, nie powiedziała ani słowa...

A dwa dni później oświadczyła nam, że jadą z Nataszą i dziewczynkami do Francji. I że zadzwonią po powrocie.

LENA

- Dlaczego pani tak nienawidzi Nory? - zapytałam wprost.
- Dlaczego postanowiła ją pani zniszczyć?

Wymalowana jak pisanka kobieta stojąca w progu roześmiała się perliście.

- Nie wiem, o co pani chodzi! - rzuciła, próbując zatrzaskać drzwi.

Byłam jednak silniejsza.

- Dlaczego napisała pani te anonimy? Te bzdury o morderstwie, którego dokonała Nora? - Miałam do niej tyle pytań! - Dlaczego podrzuciła pani obrączkę do pieca?

- Skąd pani wie? Skąd pani wie o obrączce?! - pisnęła. - Przecież nikt...

Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy dotarło do niej, że dała się złapać w pułapkę. Próbowwała jakoś z tego wybrnąć.

- Nie wiem, o czym pani mówi! O jakiej obrączce! Trochę za późno! Z trudem powstrzymałam uśmiech i miłosiernie zmieniłam temat, przynajmniej pozornie.

- Syn dawał pani sporo pieniędzy, prawda? - zapytałam niemal ze współczuciem. - Musi go pani bardzo brakować...

- Kochałam go! - wściekła się, tak jak przewidywałam. - Wciąż go kocham, może pani w to uwierzyć? Dawał mi pieniądze, owszem. Dbał, żeby niczego mi nie brakowało. Przywoził, ile tylko mógł. Był takim dobrym synem. Dopiero, kiedy pojawiła się ta larwa...

- Nora - poprawiłam ją odruchowo. - Ona ma imię Nora. Eleonora, dokładnie rzecz biorąc.

- Rodziła te dzieciory jedno za drugim! Jak opętana! A mój Jacuś całkiem stracił głowę. Już go nie obchodziłam! Przestał przychodzić co niedziela na obiady, przestał mi dawać tyle pieniędzy co przedtem. Jakbym już nie miała swojego życia, swoich potrzeb. A ja przecież muszę gdzieś wyjść, wyjechać, uczesać się.

Potrzeby Marianny Wójcik średnio mnie interesowały.

Sprawa obrączki została wyjaśniona.

Był już tylko jeden element, którego brakowało.

Zaryzykowałam.

- Wtedy w nocy, gdy wrzuciła pani obrączkę do pieca, zabrała pani pocztówkę z Krakowa, prawda? Nora zostawiła ją na stole w pracowni. Niczego sobie nie wymyśliła...

Nie powiedziała „tak”. Nie kiwnęła głową. Zrobiła się cała purpurowa. Żałowałam, że nie mogę szybko przełączyć komórki na tryb filmowania.

Musiałam wyciągnąć z niej odpowiedź.

- Wiedziała pani o tym ubezpieczeniu, prawda? Jej wzrok mówił wszystko.

- Wiedziała pani - powtórzyłam.

- I co z tego? - Zrobiła krok w moją stronę. Wszystkie klocuszki wskoczyły na właściwe miejsce.

- Wiedziała pani od początku, dokąd pojechał pani syn i jak zginął - wycedziłam, sprawdzając w kieszeni, czy dyktafon przypadkiem się nie wyłączył. - Pani jednej wyznał wszystko. Zdawał sobie sprawę, że ryzykuje. Przed każdym wyjazdem zostawiał pani kopię polisy, obrączkę ślubną, żeby nie przepadła razem z nim. Może coś jeszcze? Chciał, żeby zaopiekowała się pani jego żoną i dziećmi, gdyby coś mu się stało. A pani, zamiast zeznać prawdę policjantom, zaczęła

prowadzić własną grę. Zgadłam? Grę przeciwko Norze o bardzo duże pieniądze...

Nie odpowiedziała, tylko otworzyła drzwi nieco szerzej.

- Niech pani wejdzie - westchnęła przeciągle.

GOŚKA

Naprawdę musiałam to zrobić. Wiedziałam, że Claude - - Olivier nie daruje sobie wizyty na Vinexpo w Bordeaux. Na tej imprezie co roku zawierał kontrakty, które ustawiały go na cały sezon. Pokazywał mi zdjęcia swojego pięknego stoiska sprzed roku, dwóch, trzech lat. Jeśli chciałyśmy wprowadzić nasz plan w życie, to Bordeaux było miejscem idealnym.

- Jesteś pewna? - zapytałam Nataszę w drzwiach do hali targowej.

Pokiwała głową. Ona też chciała już mieć to za sobą i pójść dalej.

- Mamusiu, po co my tu przyjechałyśmy? - Cloe była niespokojna.

Trochę się bałam, czy wszystko przebiegnie zgodnie z planem. Chciałam ośmieszyć Claude'a - Oliviera, ale tak, żeby Cloe i Clotilde nie do końca zdawały sobie sprawę, jak wielkim draniem jest ich ojciec. Dziecko powinno mieć o swoim rodzicu dobre zdanie bez względu na wszystko... A z drugiej strony musiałam jakoś wyjaśnić mojej Cloe, dlaczego zostajemy w Polsce. I dlaczego jednak nie wybierze imienia dla swojego konia.

- Stoisko numer osiemnaście, w głównej alejce - szepnęła Natasza, ciągnąc Clotilde za rękaw.

- Wyglądasz jak milion dolców - powiedziałam i uśmiechnęłam się do niej.

- Ty też. - Spojrzała z podziwem na szpilki, które włożyłam. Nie nosiłam takich obcasów od wieków!

Los nam sprzyjał. Claude'a - Oliviera nie było na stoisku. Stała tam zaś jego piękna ciężarna żona, śmiejąca się perliście

do dwóch mężczyzn z plakietkami „Przedstawiciele handlu detalicznego”.

- Dzień dobry - powiedziałam po polsku. A potem przeszłam na francuski: - Pomyślałyśmy, że już czas, żeby mały Timothee poznał swoje starsze siostry.

W tym momencie przed stoiskiem pojawił się Claude - Olivier z synkiem na ręku.

Jego mina wystarczyła, bym poczuła się całkowicie uleczona z tej miłości. Ominęłam go wzrokiem i zwróciłam się do Cloe:

- Chcesz się pobawić z chłopczykiem, kochanie? Tylko pamiętaj, żeby mówić do niego po francusku...

LENA

- Proszę po prostu zanieść tę pocztówkę na policję. Jeszcze dziś - powtórzyłam po raz trzeci. - I wyznać im wszystko, co pani wie na temat jego śmierci. Wszystko, co powiedziała mi pani przed chwilą.

Roześmiała się, jakby usłyszała najlepszy żart na świecie.

- Niby dlaczego miałabym to zrobić? I tak nie znajdą ciała Jacusia. Nikt nie wejdzie do tej jaskini! Nikt nie zdoła go wyciągnąć! A skoro tak, wolę, żeby policja myślała, że ona go zabiła... Wszystko przemyślałam. To najlepsze wyjście. Nie rozumie pani? Jeśli uwierzą, że po prostu się poślizgnął i przez przypadek wpadł do Wisły, Nora dostanie cały ten spadek! To ogromne ubezpieczenie, z którego był taki dumny! Na tę polisę szło chyba więcej pieniędzy niż na same wyjazdy! Wpisał ją tam jako uposażoną, czy jak to się nazywa, chociaż wcale na to nie zasłużyła. Najpierw chciałam, żeby podejrzewano samobójstwo. To by wystarczyło, żeby nie wypłacili jej pieniędzy. Widziałam polisę. Obejmuje wszystkie sporty ekstremalne, ale nie śmierć samobójczą. A z pocztówki jasno wynika jego świetny humor podczas wyprawy do Krakowa. Samobójca nie pisałby takich rzeczy.

Pocztówka musiała zniknąć. Wtedy wydawało mi się, że podsuniecie policji myśli o samobójstwie w zupełności wystarczy. Pozbawię ją pieniędzy, będę patrzyła, jak się męczy, traci dom, odbiorę jej dzieci... A potem zrozumiałam, że jest lepsze rozwiązanie. Jeśli Nora by go zamordowała. .. z zimną krwią... Jeśli udałoby mi się udowodnić, że spaliła ciało w piecu...

- Sąd orzeknie niegodność dziedziczenia. - Pokiwałam głową.

Oczywiście! Jak mogłam wcześniej na to nie wpaść! Jeśli spadkobierca zabija spadkodawcę, nie może po nim dziedziczyć. Spadek przeszedłby na chłopców. A skoro oni są niepełnoletni, majątkiem zarządzaliby dziadkowie. Czyli raczej matka Jacka niż rodzice Nory, wrednej morderczyni. Pani Marianna Wójcik dostałaby dom, pieniądze.

Nieźle to wykombinowała! Na szczęście nie sprawdziła temperatury topnienia srebra. Nie wiedziała, że obrączka stopiłaby się w piecu przy paleniu zwłok i nie mogłaby stanowić dowodu obciążającego Norę.

- Dzieciom niczego by nie brakowało - próbowała się bronić. - Miałyby ze mną lepiej niż z tą rozlazłą, depresyjną larwą! Dobrze byśmy się bawili.

Nie, nie mogłam się wdać w awanturę. Musiałam przekonać ją, żeby zrobiła to, na czym najbardziej mi zależało.

- Niech pani zanieśie tę pocztówkę na policję - powtórzyłam nieco ostrzej. - Niech pani powie, że włożyła ją przypadkiem do torebki, odwiedzając wnuki. Niech pani idzie i ją odda, jeszcze dziś. I niech pani powie wszystko o jego wyjazdach. O obsesji na punkcie tej jaskini, niezbadanej mimo tylu prób.

- A jeśli nie pójdę? - zakpiła.

- Jeśli pani nie pójdzie, pójdę tam ja. I powiem, że to pani napisała oba anonimy. Ukrywała dowody w sprawie śmierci

syna. I próbowała z premedytacją rzucić na Norę fałszywe oskarżenia. A za to czeka panią sprawa karna. Mam nagrane każde pani słowo.

Zamachałam jej komórką przed nosem. Zrobiła się blada jak ściana. Myślałam, że zacznie płakać, ale nie. Bez ostrzeżenia, jak pantera rzuciła się do przodu, by wyrwać mi telefon z ręki. Cofnęłam dłoń w ostatniej chwili. Jej paznokcie wbiły mi się w przedramię.

- Kochała go pani! - syknęłam, hamując furię. - Nie chciałyby pani urządzać mu pogrzebu?! Dowiedzieć się, co się tak naprawdę tam stało? Jak umarł? Nienawiść do Nory jest ważniejsza niż pani miłość do syna? Bo przecież nie chodzi tylko o pieniądze, prawda?

Tym razem nie grała. Skurczyła się, stała niemal przezroczysta. Oparła się o drzwi, a po policzkach płynęły jej łzy, żłobiąc tunele w grubej warstwie pudru. Prawie chciałam ją objąć i pocieszyć.

Ostatecznie podałam jej tylko chusteczkę.

NORA

Nie sądziłam, że wiadomość o tym, że mężczyzna mojego życia naprawdę umarł, a nie odszedł z kochanką na drugi koniec świata, fingując swoje samobójstwo, może sprawić taką ulgę. Nie miałam nawet siły płakać.

- Od tylu miesięcy żyłam w strachu - mówiłam chyba po raz piąty do Lenki, która przyniosła mi tę wiadomość. - Najpierw o niego, że gdzieś jest, czeka na pomoc, że może zostać porwany i zaraz ktoś zadzwoni i zażąda okupu, na który mnie nie stać. Potem zaczęłam myśleć, że może jest zupełnie inaczej, że on wciąż żyje, tylko nie chce, żebym o tym wiedziała... I jeszcze ta zaginiona pocztówka z Krakowa, i obrączka na dnie pieca... Bałam się, że zaczynam wariować!

- Nie dziwię ci się.

Lenka już od godziny siedziała za stołem, oficjalnie, sztywno, jak nie ona. Właściwie to wciąż nie miałam pojęcia, skąd ona to wszystko wie. Najwyraźniej coś ukrywała.

Przypomniały mi się dziwne wizyty policjantów i wezwania na komisariat. I rozmowa z sąsiadką, która w wielkiej tajemnicy zdradziła mi, że ktoś o mnie wypytywał.

- Jesteś policjantką? - zapytałam.

Lenka roześmiała się nerwowo i pokręciła głową.

- Piszę doktorat, jak wiesz... A poza tym pracuję dla... dla firmy ubezpieczeniowej - wydusiła wreszcie.

Wszystko jasne! Chodziło o te trzy tysiące, które miałam dostać. Ubezpieczenie samochodu z polisą na życie. Może wreszcie je zobaczę? A może nie, skoro sprzedalam ten samochód tak szybko, zaraz po śmierci Jacka?

- Przyszłaś powiedzieć, że nic mi się nie należy? - domyśliłam się. - Nie dostanę ani grosza z tego ubezpieczenia?

- Wiedziałaś o ubezpieczeniu? - Zrobiła się czerwona jak burak. Patrzyła na mnie, dysząc ciężko. W końcu wyszeptała: - Co ja im teraz powiem?

- Komu? - Nie rozumiałam. To przecież nie była żadna tajemnica! - Ja przecież... przecież mówiłam wam o tym samochodzie i dodatkowej składce... Prawdę mówiąc, bardzo liczyłam na te trzy tysiące.

- Trzy tysiące?

Wyraz twarzy Lenki nagle się zmienił. Przez moment wpatrywała się we mnie jakby z niedowierzaniem, a potem ukryła twarz w dłoniach i zaczęły drżeć jej plecy. Czyżby płakała? Bo przecież chyba nie mogła się śmiać, przynosząc mi wiadomość o śmierci męża!

LENA

Nie miałam pojęcia, że Nora sama doszła mniej więcej do tych samych wniosków co mój szef i Rogala. Tak samo jak

oni podejrzewała Jacka o sfigowanie własnej śmierci. Tyle że ona uważała, że zrobił to po to, by uciec z kochanką i mieć święty spokój, oni zaś - że był w zмовie z Norą i wszystko miało na celu wyłudzenie gigantycznego ubezpieczenia. A ja... ja przez pewien czas znajdowałam się ze swoimi podejrzeniami dokładnie pośrodku, to znaczy, byłam pewna, że Jacek żyje z nową kobietą, gdzieś w Alpach albo innym miejscu, do którego można dotrzeć, nie pokazując dokumentów. Ze odszedł od Nory i że wymyślił sobie na to pokrętny, a jego zdaniem honorowy sposób. Czyli upozorowanie własnej śmierci, żeby żona i chłopcy dostali ubezpieczenie i nie martwili się o pieniądze do końca życia. W końcu ludzie mają różne dziwne pomysły, a ja nigdy Jacka nie spotkałam i mogłam go podejrzewać o dowolne głupoty.

MARTA

Pięciu rudych chłopców stojących nad grobem ojca. Ten widok naprawdę mógł rozerwać serce. Oni jednak byli dziwnie spokojni. Tak jak i Nora.

- Teściowa się nie pojawiła? - szepnęłam do Lenki. Wzruszyła ramionami.

- Tam stoi, pod drzewem. Gdyby podeszła bliżej, ktoś mógłby wydrapać jej oczy.

- Kto? - Nie rozumiałam.

- Opowiem ci potem. - Pociągnęła mnie znacząco za rękaw.

Oj, niewiele brakowało, żebym przegadała spuszczenie trumny do grobu.

I to ja! Ja, która zawsze mówię pracownikom, że trzeba zachowywać się odpowiednio do sytuacji, tak?

LENA

To była najdziwniejsza stypa, w jakiej kiedykolwiek brałam udział. Chłopcy i Cloe szybko czmychnęli na górę, krewni w ogóle nie zostali zaproszeni.

- Nie będę im tłumaczyć, że Jacek robił ze mnie idiotkę przez tyle lat. - Nora zacisnęła zęby.

- Miesiące. - Poczulałam się w obowiązku bronić jego honoru. - To wcale nie trwało tak długo. Zaczął się uczyć czternaście miesięcy temu, ubezpieczył się dwa miesiące później, a pierwsze nurkowanie wykonał dopiero pół roku przed śmiercią.

- Nurkowanie? - zdziwiła się Gośka. - Chyba coś przegapiłam... To on nie zabił się, odkrywając jakąś jaskinię?

- Nurkowanie jaskiniowe - syknęła Nora. - Tylko on mógł wymyślić coś tak głupiego!

- Nigdy przedtem się tym nie interesował? - Gośka nie dowierzała.

- Interesował! - Dłonie Nory zacisnęły się gwałtownie. - Opowiadałam wam przecież o tych cholernych skałkach, po których wspinał się przed naszym ślubem. Jaskinie też wtedy zaliczał, a jakże, chociaż bez sprzętu do nurkowania. Kręciło go to jak diabli. A ja umierałam ze strachu za każdym razem, gdy zaczynał pakować plecak albo oglądać mapę. W końcu postawiłam ultimatum: albo zrywa ze wspinaczką, albo ze mną.

- Zerwał ze wspinaczką i wybrał ciebie. - Pokiwałam głową.

Sama na miejscu Jacka na pewno bez wahania wybrałabym Norę. Jest przecież wyjątkowa.

- Dotrzymywał słowa, naprawdę. - Próbowwała go choć trochę rozgrzeszyć. - Aż do spotkania z Michałem. Teraz już pamiętam, wpadli na siebie na ulicy, może z półtora roku przed śmiercią Jacka. Wrócił do domu taki podekscytowany. Myślałam, że zaprosi starego kumpla do nas z żoną, z dziećmi... Ale on natychmiast przestał o nim mówić. Michał musiał go w to wciągnąć. To zawsze był niespokojny duch.

Paralotnie, awionetki, wspinaczka na lodowcu. I to cholerne nurkowanie jaskiniowe!

- Nie miałaś żadnych podejrzeń? - Marta, która podejrzewa wszystkich o wszystko, nie mogła w to uwierzyć.
- Przecież musiał wyjeżdżać?

- Jechał prowadzić warsztaty, plener ceramiczny albo kupować okazyjnie szkliva od jakiegoś Niemca - wymieniała Nora niemal bez tchu. - Miał setki powodów. A ja, oczywiście, nie dopytywałam. Przecież zawsze wysyłał nam pocztówki! Nawet z jednodniowych wypadów! Niczego nie podejrzewałam, nawet kiedy z trzydniowego wyjazdu po najlepszą czeską glinę wrócił z pustymi rękami! I kiedy w domowym budżecie nie przybyło ani złotówki po warsztatach dla ośmiu osób. Myślałam, że się wstydzi, że interesy marnie idą. A on... on po prostu każdą wolną chwilę i każdą złotówkę przeznaczal na to głupie nurkowanie!

- Nie każdą. - Poczułam się w obowiązku wreszcie powiedzieć to głośno. - Wykupił polisę, naprawdę znakomitą polisę.

- Ubezpieczył samochód. - Nora pokiwała głową. - Wiem. Ale nie dostanę tych trzech tysięcy. Dowiedziałam się dwa dni temu. Sporty ekstremalne są z polisy wyłączone.

- Wykupił drugą. - Wzięłam głęboki oddech. - I te pieniądze dostaniesz w przyszłym tygodniu. Równiutkie trzy miliony.

- Trzy... trzy co...? - Nora zrobiła się czerwona jak burak, potem blada jak ściana, a potem po prostu osunęła się na ziemię.

Gośka bez wahania chlusnęła jej na twarz wodę ze szklanki, którą właśnie podnosiła do ust. I zaczęła się śmiać.

- Głupio tak mówić na stypie, ale... wygląda na to, że wszystko dobrze się skończy. No, tak dobrze, jak to możliwe. Wreszcie wiemy, że Jacek nie zamienił się w kupkę popiołu w

piecu stojącym w rogu pracowni, nie uciekł z kochanką, nie leży na dnie Wisły, tylko we własnym grobie. Nora wie, że nie oszalała, nie wymyśliła sobie pocztówki, której nie było, i żadne duchy nie komunikują się z nią za pomocą obrączki podrzucanej do pieca w środku nocy. I w dodatku... O kurczę blade, Nora! Dostaniesz trzy miliony! Książd Marek musi chyba poszukać nowego dostawcy urn!

Ten jej śmiech... Nie wytrzymałam, zaczęłam chichotać razem z nią. I już po chwili śmiałyśmy się głośno wszystkie cztery. Ubrane na czarno i naprawdę przepełnione żalobą!

*

Weszłam do domu, wciąż uśmiechając się do siebie. Gośka miała rację. To była najmiłsza stypa i prawdziwy happy end. Ta okropna misja, która tak mi ciążyła, została zakończona. Teczka Jacka trafiła na półkę z napisem: „Do wypłaty”. A Nora nie znienawidziła mnie wcale za to, że od razu jej nie powiedziałam, dlaczego przyszedłam do pracowni. Zrozumiała, że taką mam pracę. Tyle tylko, że mi samej jest coraz trudniej to rozumieć i jakoś wcale nie mam ochoty na rozpracowywanie kolejnej podejrzanej o oszustwo wdowy. Może po powrocie z Japonii wystąpię o etat na uczelni? Skupię się na studentach i będę pisała doktorat przy świetle dziennym, a nie o trzeciej w nocy, jak do tej pory? I niech George albo Iza sami badają kolejne kontrowersyjne polisy.

Cóż, perspektywa była kusząca. Beznadziejna finansowo, lecz kusząca jak diabli! Ale o tym, czy tak zrobić - jak mawiała Scarlett, ulubienica Nory - pomyślę jutro.

Na razie najważniejsze jest to, że Nora wreszcie wie, co się stało z jej mężem i że ma grób, na którym tak jej zależało. A w dodatku dostanie pieniądze. Gośka, jeśli dobrze pójdzie, umówi się w końcu do kina z Karolkiem. To z jej powodu tak się czerwienił, kto by pomyślał! Nasza energiczna, wyższa od niego o głowę Gośka, była jego obiektem westchnień! Marta

też wcześniej czy później będzie miała to, na czym jej zależy. Lada chwila ośrodek adopcyjny wystawi jej zaświadczenie, że jest idealną kandydatką na matkę, i zaproponuje jej dziecko. Albo ona sama odnajdzie je gdzieś, choćby na drugim końcu świata. Znając Martę, nie będzie siedziała i czekała z założonymi rękami.

Marta... Jej numer właśnie wyświetlił się na mojej komórce.

- Lenka, mam dla ciebie świetnego kandydata na ojca. - Cóż, wyglądało na to, że dzwoni do mnie z kolejną rewelacyjną propozycją.

- Ja już mam ojca, całkiem fajnego - parsknęłam. - Dziękuję za kolejnego.

- Oj, przestań, nie mam ochoty na żarty. - Marta była wyraźnie wkurzona. - Chcesz mieć dziecko, a ten facet ma ich już siedmioro. Lubi dzieci. I młode ładne dziewczyny. Bez żadnych pytań z radością spędzi z tobą noc... albo kilka nocy.

- Naprawdę wyglądam już na taką desperatkę? - Próbowałam obrócić sprawę w żart. - Nie wiem nawet, czy on jest zdrowy. Przy takim trybie życia...

- Poprosisz go o wyniki badań. - Marta nie widziała problemu, naprawdę! - Myślałam, że o to ci chodzi. O gościa, z którym będziesz mogła zająć natychmiast w ciążę. Żeby zdążyć przed operacją, która cię czeka.

- Dzięki, Marta. Pomyślę o tym. - Rozłączyłam się i wyciszyłam telefon.

Faktycznie, musiałam pomyśleć i to bardzo poważnie.

O nieudanych randkach w ciemno, na których byłam. O nieudanych związkach, których miałam za sobą całkiem sporo.

I o operacji, rutynowej - jak orzekła lekarka. I niestanowiącej żadnego zagrożenia dla mojego życia.

Zagrożeniem może być jedynie niepoddanie się jej w ciągu najbliższych jedenastu miesięcy.

- Przyjdzie pani do szpitala na jedną noc, to naprawdę nic takiego - zapewniała mnie lekarka.

Nic takiego... Tyle że po tej operacji nigdy już nie zajdę w ciążę.

Musiałam się więc bardzo śpieszyć.

Musiałam... Albo i nie!

Nagle w ułamku sekundy zrozumiałam, że mogę żyć tak jak do tej pory. Bez dziecka. Ze nie muszę go rodzić. Na siłę, z byle kim, byle jak. I że przede wszystkim nie chcę już iść na żadną cholerną randkę w ciemno.

I w tym momencie znowu zadzwonił telefon. Tym razem domowy. Tego, niestety, nie wyciszyłam.

- Słuchaj, dziękuję, wiem, że masz dobre intencje, ale nie pójdę do łóżka z jakimś starym rozwiązłym dziadem tylko dlatego, że to dla mnie ostatni dzwonek. Wolę nie mieć dziecka, niż mieć je w taki sposób, z kimś, kogo nie znam, bez szans na to, że dziecko pozna swojego ojca albo będzie miało takie kontakty jak Cloe z tym durniem, Claude'em - - Olivierem. Nie skorzystam z twojej propozycji, nie gniewaj się... I nie umawiaj mnie już z nikim, proszę... - wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

- Dobrze zrozumiałem? Chcesz mieć dziecko i to szybko, tylko nie bardzo masz z kim? - Ciepły, delikatnie kpiący głos Marcela sprawił, że zakręciło mi się w głowie. - Nie wiem, czy to zabrzmiało dobrze, ale ja... ja bardzo chętnie... w kwestii dziecka, ślubu, czego tylko zechcesz. Oświadczałem ci się już wiele razy. Może chciałabyś to omówić jeszcze raz? Obiecuję, że nie będę zazdrosny o twoje spotkania z koleżankami. Ani o fińskie masło. Będę nad sobą pracował. Mogę iść nawet na terapię, dam się zahipnotyzować w sprawie tego cholernego masła, jeśli zechcesz. Tylko... zgodzisz się?

- Nie. Tak. To znaczy... Nie. Muszę zebrać myśli. Zadzwoń później. - Boże, dlaczego on musiał usłyszeć to wszystko, co z siebie wyrzuciłam w przeświadczeniu, że mówię do Marty?!

- Czekam na dole. - Znów ten lekko kpiący ton! - Nie śpiesz się, mam co czytać. Zdobyłem wygodną miejscówkę na ławce pod kasztanowcem. Mogę poczekać parę tygodni, aż zacznie kwitnąć...

Epilog

Dziewięć miesięcy później

MARIA

Stałam na środku sali. Osiemdziesiąt par małych oczu wpatrywało się we mnie z nadzieją. Nigdy dotąd nie prowadziłam testów na tak wielkiej grupie. Do tego grupie z przeróżnymi deficytami. Co mnie podkusiło, żeby przekonać Norwegów, że zorganizowanie międzynarodowych mistrzostw domów dziecka w grach planszowych będzie dla firmy niezwykle prestiżowe?

Nie no, jasne, wiem doskonale, co mnie podkusiło. Wymyśliłam sobie sprytnie, że jeżdżąc po placówkach w Polsce, Rosji, na Litwie, wreszcie znajdę moje dziecko. To idealne, które rozpoznam od pierwszego wejrzenia. I wtedy Piotr będzie musiał zgodzić się na adopcję... Jednak od tamtej pory wszystko się zmieniło. Piotr powiedział stanowczo: „Nie”. Zrobił ze mnie idiotkę przed tym psychologiem, który zaświadczył własnym podpisem, że jesteśmy wymarzonymi kandydatami na rodziców. Owszem, podpis zdobyliśmy, lecz co z tego? Lada chwila odbędzie się pierwsza rozprawa. On uważa, że mi odbiło, że wcale nie potrzebujemy dziecka do szczęścia. Mało tego: on uważa, że to ja mam problem, bo nie przyjmuję do wiadomości, że dziecka zwyczajnie mieć nie możemy i powinniśmy żyć bez niego. Nie możemy...? Ja mogę! I po rozwodzie być może zrobię to samo, co próbowała zrobić Lenka. Poszukam dobrego materiału genetycznego! U niej te poszukiwania skończyły się ślubem, ja na ślub wcale nie mam ochoty, bo... chcę być mamą! Zoną już byłam i powtórka naprawdę niespecjalnie mnie interesuje.

Przez moment zapomniałam o wpatrujących się we mnie małych buźkach. Czekwały na wielką przygodę, którą im obiecałyśmy. Na gry, które przeniosą całą tę osiemdziesiątkę w inny świat. Musiałam oderwać się wreszcie od swoich

problemów i wypić piwo, którego sobie nawarzyłam. Rozłożyć gry i jakoś... jakoś zająć te dzieciaki przez dwie godziny. Mimo że miałam ochotę się rozplakać. I powiedzieć im szczerze, że czuję się bardziej bezradna niż one. Miałam za sobą pakowanie walizek, a przed sobą przeprowadzkę do kawalerki. I układanie sobie życia bez Piotra. W dodatku nie miałam gier dla tak małych dzieci. Dla tak dużej grupy... Co najmniej połowa tych dzieciaków nie będzie miała w co grać. Ale o tym wiedziały na razie tylko moje przyjaciółki.

Wychowawczynie pomachały mi na pożegnanie i wyszły z sali. No tak, jasne, miały dwie godziny wolnego i zamierzały je dobrze wykorzystać. Cała osiemdziesiątka została pod moją opieką!

- Witam was, dzieci, na eliminacjach do mistrzostw Europy. Czeka nas świetna zabawa - powiedziałam zdumiona, jak bardzo drży mi głos.

Nagle zaskrzypiały drzwi. No tak, pewnie osiemdziesiąte pierwsze spóźnione dziecko przyszło zobaczyć moją kompromitację.

Ale nie, to nie był kolejny przedszkolak. To były one. Stały tam we trzy i uśmiechały się do mnie szeroko. Malutka Lenka ze swoim wielkim brzuchem. Nora w drucianych okularkach, z nieodłączną torbą, pomarańczową jak włosy jej synów. Nie kupiła sobie nowej nawet teraz, kiedy ma te swoje miliony?! No i Gośka, z truskawkowymi włosami spiętymi w kitki.

Tak właściwie to Gośka nie stała. Ona chyba nigdy nie stoi bez ruchu. Energicznie przeszła przez całą salę, wyciągnęła z torebki kilka kapsli wyklejonych w środku kolorowymi obrazkami.

- Kto chce ze mną pograć?! - zawołała i dzieciaki zaraz zaczęły do niej biec ze wszystkich stron. - Ja, moja córeczka i

mój chłopak często gramy w kapsle wieczorami, to naprawdę świetna zabawa...

- A może ktoś chciałby coś ze mną ulepić? - zapytała Nora.

Dopiero wtedy zobaczyłam, że ma ze sobą ten śmieszny wózeczek zrobiony przez Gośkę, a na nim cztery paczki gliny.

Ciekawe, czy Lenka też im coś proponuje?
Uczestnictwo w porodzie?

- Kto chce posłuchać, jak bije serce dzidziusia u mnie w brzuchu?! - zawołała, wyciągając z kieszeni stetoskop należący pewnie do Marcela.

Dzieci przestały zwracać na mnie uwagę. Biegały między Norą, Lenką i Gośką. Mogłam spokojnie usiąść i wziąć głęboki oddech, a potem w końcu rozłożyć gry na stolikach.

- Dlaczego pani płacze? - Hmm, najwyraźniej jednak nie wszystkie dzieci zajęły się gliną, kapslami i słuchaniem serduszka. - Źle się pani czuje?

- Ależ skąd... - odparłam i uśmiechnęłam się. - Nie płakałaś nigdy ze szczęścia? Wiesz, czasami człowiekowi jest tak dobrze, że aż mu leczą łzy.

- Tak jak pani teraz? - Dziewczynka patrzyła na mnie uważnie.

- Właśnie tak jak mi teraz. - Pokiwałam głową. - Bo wiesz... mam wspaniałe przyjaciółki, na które zawsze mogę liczyć. I wiem, że poradzę sobie ze wszystkim, jeśli tylko będą przy mnie.

- Ja też mam przyjaciółkę, ma na imię Ania. Jest niewidzialna, mieszka na mojej półce. Kiedy jest mi smutno, opowiadam jej wszystko i od razu jest lepiej. Chce ją pani zobaczyć?

- Zobaczyć? Przecież jest niewidzialna? - Kurczę, ja chyba nigdy nie nauczę się rozmawiać z dziećmi!

- No tak, ale może pani się pokaże? Co nam szkodzi spróbować? - Dziewczynka wpatrywała się we mnie z nadzieją.

Jasne, co nam szkodzi. W końcu kilkanaście miesięcy temu moje przyjaciółki też były niewidzialne. A ja szłam na pierwsze spotkanie u Nory przekonana, że to strata czasu.

- Chodźmy, może naprawdę mi się pokaże - powiedziałam, wstając z miejsca i biorąc dziewczynkę za małą, ciepłą rączkę.

Podziękowania

Ta książka nigdy by nie powstała, gdyby nie było dwóch pracowni ceramicznych pod Warszawą i trzeciej w Tatrach. Dziękuję więc Zojce i Ewie, które z anielską cierpliwością tłumaczyły mi gliniane zawilości. To ich pracownie stały się miejscami, do których zawsze pędzę jak na skrzydłach.

Dziękuję też Uli, Aśce, Oli, z którymi przez lata lepiłam i z którymi mam nadzieję ulepić coś jeszcze w przyszłości. Mogłabym napisać powieść o każdej z nich. Mogłabym wypełnić sto stron podziękowaniami, a i tak nie powiedziałabym wszystkiego. Więc nawet nie próbuję.

Powtórzę więc tylko: dziękuję, dziewczyny.

Przede wszystkim jednak dziękuję Małgosi. Gosiu! Byłaś najwspanialszą korektorką, podpowiadaczką, wymyślaczką i krytykiem. To także twoja książka; wiesz o tym, prawda? Dziękuję. Jesteś przyjaciółką, o jakiej nawet nie śmiałam marzyć.

Tak, ta książka nie powstałaby, gdyby nie moje ukochane dziewczyny z gliny. Ale to nie jest książka o nich. Słowo daję, że nie opisałam w niej niczego, co się na naszych ceramicznych spotkaniach dzieje. Bohaterki zostały wymyślane w czasie niekończących się rozmów z Małgosią na naszym plenerze ceramicznym, u Ewy w górach. Nadawałyśmy im imiona, siedząc przy niezrównanej zupie z serków; decydowałyśmy o tym, ile będą miały dzieci, dłubiąc wzorki w siedemnastu glinianych talerzykach; pchałyśmy je w ramiona dobrych i złych mężczyzn, pławiąc się w wypełnionej wodą termalną dziurze w ziemi na Słowacji.

Jedyny wyjątek to Pysia, suka po przejściach. Ona istnieje naprawdę i od lat towarzyszy nam w czasie lepienia u Ewy.

Muszę też podziękować kobietom, które nigdy niczego nie ulepiły, a jednak w Z jednej gliny uwierzyły od pierwszego usłyszenia. Tulce i Ninie. One są przy mnie, nawet kiedy nie

mamy czasu na telefon czy maila, całymi miesiącami. I wiem, że zawsze wysłuchają i pomogą, jeśli będę ich potrzebować. Dziękuję też Agnieszce, która potrafi śmiać się do łez, nawet wypełniając Księgę życia na kursie adopcyjnym. Marcie, której doświadczenia sprzed lat nie jeden raz przy pisaniu przywoływałam. Koali, mojej najbardziej szalonej i cudownej siostrze. Hance, która wspierała mnie zawsze i we wszystkim i której mądrości brakuje mi każdego dnia. Wiele bym dała, żebyś wciąż tu była, żebyś zadzwoniła, jak zwykle tuż przed północą. I Kasi, która wie o mnie więcej niż ja sama, zna moje najczarniejsze strony; i mimo to już od trzydziestu lat jest obok i wierzy we mnie jak nikt. Kasieńko, bez twojego poczucia humoru i naszych niekończących się dygresyjnych dyskusji przez telefon mój świat naprawdę byłby znacznie gorszy.

*

Dziękuję też Iwonce, która tę książkę zredagowała. Od lat jesteś dla mnie ideałem redaktora, ważnym i kreatywnym. To zaszczyt, że akurat Ty czytałaś *Z jednej gliny*. Książki, przynajmniej w tej formie, nie byłoby też, gdyby nie dwie wspaniałe kobiety z Naszej Księgarni: Pani Ania i Pani Agnieszka. Dziękuję, że uwierzyłyście w moją zwariowaną historię z gliną w tle!

Dopiero pisząc tę dedykację, zobaczyłam, ile jest obok mnie fantastycznych kobiet. I jak wielką siłę ma babska przyjaźń, o której mówi ta książka!

Już kończę, ale... naprawdę muszę jeszcze podziękować dwóm osobom, dzięki którym to moje lepienie i znikanie w pracowni u Ewy było i jest możliwe. Mojej Mamie i mojemu Tomkowi, dzięki którym mój dom funkcjonuje, córka ma odrobione lekcje, a ja mogę czasami zatracić się w pisaniu. Obydwoje gotują jak anioły. I obydwoje kochają mnie mimo moich przywar. Dziękuję, że żyjecie z tym moim bałaganem,

moimi humorami, moją wrzeszczącą papugą i wciąż macie do mnie cierpliwość. Niestety, nadużyję jej jeszcze nie raz...

Tomku, dziękuję ci też za kreatywne rozmyślenia nad tytułem. Za to, że służyłeś dzielnie jako pogotowie chemiczne i językowe. A przede wszystkim za to, że zawsze mogę na ciebie liczyć, tak po prostu.